

# Nadwiśłocze

OGÓLNOPOLSKI KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY NR 4 (29) 2010

[www.promocja.mielec.pl](http://www.promocja.mielec.pl)

KOLPORTAŻ MIELEC - ZIEMIA MIELECKA - PODKARPACKIE I OKOLICZNE - PRENUMERATA KRAJOWA I ZAGRANICZNA

Nr indeksu 381802 cena 5 zł (w tym 8% podatku VAT)

Sprawiedliwi i nie tylko nad Wisłoką i Wisłą...

## Wieczność w kurniku, czyli młoda Żydówka podczas wojny w Mielcu

str.46-49



str. 20-21

**MIELEC Z POLSKIMI SIŁAMI POWIETRZNYMI**

**SERWIS KLIMATYZACJI**  
 Napelnianie układów  
 Płukanie układów **samochodowej**  
**REGENERACJA SPRĘŻAREK**  
 Dorabianie węży  
 Sprawdzanie szczelności **klimatyzacji**

**KUM-FAF**  
 kom: 503 507 206  
 tel/fax: (17) 585 33 26

39-300 Mielec  
 ul. Wojsławska 62  
 e-mail: firma@klim-faf.pl  
 www.klim-faf.pl

**MARKPOL**  
 Chorzele 20  
 tel. 17 5841448, 796969151  
 www.markpol.mielec.pl

*nowa linia - konkurencyjne ceny*

**MIELEC - KRAKÓW**  
 (Stara Stacja PKS) Przez Szczucin (Dworzec Główny)

**KRAKÓW - MIELEC**  
 (Dworzec Główny) Przez Szczucin (Stara Stacja PKS)

**WYNAJEM LUKSUSOWYCH  
 BUSÓW I AUTOKARÓW**

**MAKFOL**  
 ODZYSK SUROWCÓW WTÓRNYCH

39-300 Mielec  
 ul. Piaskowa 9 (baza GS)  
 tel. 17 583 70 20  
 kom. 609 717 135



**Manhattan  
 NIGHTCLUB**

tel. 17.780.07.74-Rezerwacje  
 Mielec, ul. Powstańców Warszawy 2  
 Klub mieści się w nowo otwartym basenie na Osiedlu Smoczka

**KAMIENIARSTWO**  
 NAGROBKI  
 GROBOWCE  
 PARAPETY



**Rak Tadeusz**

39-460 Nowa Dęba, ul. Kolejowa 21  
 tel. 15 846 41 77, fax 15 846 28 18  
 tel. kom. 509 387 123 www.rak.nowadeba.pl

**BIBMOT**

**STACJA  
 KONTROLI  
 POJAZDÓW**

ul. Drzewieckiego 1 ul. Przemysłowa 61  
 tel. 17 774 58 43 tel. 17 774 58 18




WYŻSZA SZKOŁA GOSPODARKI I ZARZĄDZANIA W KRAKOWIE  
**WYDZIAŁ ZAMIEJSCOWY W MIELCU**




ul. Sękowskiego 1, 39-300 Mielec  
 tel./fax 17 773 03 64, 773 03 80, tel. 17 583 01 00  
 www.wsgiz.mielec.pl; e-mail: wsgiz@wsgiz.mielec.pl

Oferujemy:

studia licencjackie stacjonarne i niestacjonarne  
 na kierunku EKONOMIA w następujących specjalnościach:

- + RACHUNKOWOŚĆ I UBEZPIECZENIA
- + EKONOMIKA I ZARZĄDZANIE FIRMĄ
- + EKONOMIKA TURYSTYKI MIĘDZYNARODOWEJ
- + GOSPODARKA EUROPEJSKA
- + GOSPODARKA NIERUCHOMOŚCIAMI
- + EKONOMIKA I ZARZĄDZANIE PRODUKCJĄ
- + GOSPODARKA I ADMINISTRACJA PUBLICZNA

Studia podyplomowe:

- + ORGANIZACJA I ZARZĄDZANIE OŚWIATĄ

Na okładce, u góry: Żydzi mieleccy podczas deportacji z miasta 9 marca 1942 r. Fot. Kurt Hippert, źródło: www.spiegel.de  
 Na zdjęciu u dołu: samolot-pomnik „Iryda” przy rondzie na ul. Wolności w Mielcu. Fot. Włodzimierz Gąsiewski

**Spis treści:**

**Mielecjana i Regionalia**

str. 4 - **Włodzimierz Gąsiewski**, *Jerzy Kazana znów prezesem TMZM w Mielcu*; tenże, s. 5, *Regularne „Mieleckie Zapiski nr 12-13. Rocznik Ziemi Mieleckiej 2009-2010*; tenże, s. 6, *Opowiem o mojej szkole. Szkoła Podstawowa w Glinach Małych 1910-2010*; tenże, s. 6, *Podajmy rękę historii*; tenże, s. 6, *Kronika wspomnień*; tenże, s. 6, *Przyrodniczy szlak Puszczy Sandomierskiej. Mapa-przewodnik*; tenże, s. 7, *70 lat Klubu Sportowego Stal Mielec*; tenże, s. 7, *Padewskie wydawnictwa*; tenże, s. 7, *70 lat mieleckiego szpitalnictwa*.

str. 8 - **Jacek Krzysztofik**, *Feliks Podgórnjak - ksiądz i ludowiec (1901-1985)*.

str. 9 - **Włodzimierz Gąsiewski**, *Ludowcy uczcili swojego kapłana*.

str. 10-11 - **Mirosław Osowski**, *Zauroczonej regionem* (wywiad z Dionizym Garbaczem).

str. 11 - **Adam Rząsa**, *Stanisław Staruch. Wspomnienie (1930-2010)*.

str. 12 - **Edward Winiarski**, *Jubileusz 130 lat Koła Łowieckiego „Towarzystwo Myśliwych” w Rzeszowie. Okolicznościowa wystawa łowiecka*.

str. 13 - **Barbara Bator**, *Spotkanie z Bartoszem Gałązką - gościem specjalnym tegorocznej edycji Tradycyjnego Podkarpackiego Kołodowania*.

str. 13 - **Włodzimierz Gąsiewski**, *Sytuacje kryzysowe w regionie mieleckim - rys historyczny* (notka bibliograficzna).

**Wspomnieniowe Nadwisłocze**

str. 14-15 - **Janina Korpanty**, *Rodzina Korpantych (5). Moja praca zawodowa*.

str. 16-19 - **Teofil Lenartowicz**, *Przeclawskie wspomnienia, cz. IX. W Warszawie na Nowogrodzkiej*.

**Lotnicze Nadwisłocze**

str. 20-21 - **Jacek Krzysztofik**, *Mielec z Polskimi Siłami Powietrznymi. Seminarium o współpracy przemysłu z Polskimi Siłami Powietrznymi na Przykładzie Mielca*.

str. 22 - **Włodzimierz Gąsiewski**, *Działowski przerywa milczenie* (notka bibliograficzna).

str. 22 - **Teofil Lenartowicz**, *„Czas przerwać milczenie”* (felieton).

str. 23 - **Włodzimierz Gąsiewski**, *Pilot por. obs. Józef Bolesław Kądzioła - urodzony w Jaślanach więzień Starobielska - zamordowany przez NKWD w Charkowie*; tenże, s. 23, *Foto-zagadka lotnicza*.

**Kresowe Nadwisłocze**

str. 24 - **Witold (junior) Kazimierz Kwiatkowski**, *Żołnierz kresowy. Witold Feliks Kwiatkowski herbu Nowina*.

str. 25-27 - **Witold Kwiatkowski**, *Kresowe wspomnienia. Wojna polsko-ukraińska*.

str. 28-31 - **Mieczysław Kuriański**, *Ze wspomnień repatrianta - Memories of repatriate. III. We wsi osiedlenia. Lata próby - In the Village of Residence. Trial Years (1971-1982)*.

**Historia i ludzie**

str. 32 - **ks. Janusz Królikowski**, *Setna rocznica urodzin generała Władysława Sikorskiego w Chorzelowie - 24 maja 1981 roku*.

str. 32-35 - **Biskup Jerzy Ablewicz**, *Bóg, honor i Ojczyzna* (homilia wygłoszona podczas obchodów 100. rocznicy urodzin gen. Wł. Sikorskiego w Chorzelowie k. Mielca).

str. 36-37 - **Włodzimierz Gąsiewski** - *Walory pocztowe Instytutu Polskiego i Muzeum im. Generała Sikorskiego w Londynie*.

str. 38-40 - **Józef Zajac**, *Początki szkoły w Otałęży i jej najdawniejsi nauczyciele, w świetle zapisów metrykalnych oraz informacji prasowych w latach 1868-1918*.

str. 40-41 - **Grażyna Woźny**, *Ksiądz Andrzej Niwa - żołnierz zamordowany na Wschodzie*.

str. 42-45 - **Antoni Rejman**, *Rozmowy z kolonistami*; tenże, s. 46-47, *Sprawiedliwi i nie tylko nad Wisłoką i Wisłą. Wieczność w kurniku, czyli młoda Żydówka podczas wojny w Mielcu*; tenże,

s. 48-49, *Wieczność w kurniku* (z: „Tageszeitung, sobota/niedziela, 9/10 czerwiec 2007 r.).

str. 50-51 - **Teofil Lenartowicz**, *Polemika ze „Strachem” Grossa*.

str. 51 - **Włodzimierz Gąsiewski**, *Archiwum Istnień* (informacja o filmie w TVP Justyny Łuczaj Salej).

str. 52-53 - **Bartosz Walicki**, *Hołd pomordowanym w Turcy*.

**Historia i wiara**

str. 54 - **Mieczysław Kuriański**, *Polska krzyżem stoi*.

str. 55-57 - **Ks. Józef Mandziuk**, *Postacie z dziejów Kościoła katolickiego na Śląsku w czasach nowożytnych. Cz. X. Biskup Daniel Eliaszer Sommerfeld - „Śląski Boromeusz”, Szlachcic Adam Borka fundator Pomerzkiego klasztoru bonifraterskiego, Jan Ernest i Eleonora von Sprintzenstein - dobrodziejce śląskich jezuitów, Opat Innocenty Frytsch - budowniczy kościoła Panny Maryi Łaskawej w Krzeszowie*.

**Kultura i cywilizacja**

str. 58-60 - **Włodzimierz Gąsiewski**, *Multimedia w edukacji i praktyce... (2). Media w edukacji*.

**Literackie Nadwisłocze**

str. 62 - **Mieczysław Kuriański**, *Pana zrodzenie. Też Wigilia*.

str. 62 - **Włodzimierz Gąsiewski**, *Bronisław Przyłuski (1905-2010). Antologia pod redakcją Jacka K. Danela* (notka bibliograficzna).

str. 63 - **Daromiła Wąsowska-Tomawska**, *„W głosach domu”*.

str. 64 - *Rozstrzygnięto I Ogólnopolski Konkurs Poetycki „O kwiat dziewięcisiła” pod patronatem wójta gminy Tokarnia*.

str. 64 - *VII Ogólnopolski i Polonijny Turniej Poetycki o „Srebrne Pióro Prezydenta Miasta Mielca” oraz Laury Kwartalnika „Nadwisłocze”, „Więści Regionalnych” i „Poetycki Exlibris” Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej w Rzeszowie Filia w Mielcu. Pod patronatem w kategorii POLONIA Senatora Rzeczypospolitej Polskiej Władysława Ortyla. Regalamin*.

str. 65 - **Ryszard Mścisz**, *Jeżowskie licealistki laureatkami Wrześciana*.

str. 66 - **Marta Gdula-Żukowicz**, *Zanurzam się w czasie*.

str. 66 - **Krzysztof Graboń**, *Z doświadczeń Kantora; Próba; Kredyt słowa na przyszłość; 14 października 2009*.

str. 67 - **Ryszard Mścisz**, *Maski i cienie czasu w opowiadaniach Mirosława Osowskiego*; tenże, s. 68-69, *Różaniec w rękach anioła czyli o poezji Moniki Kuszał z drugiego tomiku*.

str. 69 - **Kazimiera Szczykutowicz**, *Petnia; Bezdomni; Gilotyna; Na szlaku*.

str. 70-71 - **Robert Czop**, *Takie sobie pogaduchy z innym literatem o współczesnej doli i niedoli miłośnika pióra i wszelkich innych sztuk* (dokończenie z poprzedniego numeru).

**Obronne Nadwisłocze**

str. 72-73 - **Wojskowy Komendant Uzupełnień w Mielcu informuje**.

str. 73 - **Włodzimierz Gąsiewski**, *Mapa Lager Mielec* (informacja).

„Nadwisłocze” Ogólnopolski Kwartalnik Społeczno-Kulturalny.  
 Wydawca: **Agencja Wydawnicza „Promocja”**.  
 Honorowa współpraca wydawnicza: **Towarzystwo Miłośników Ziemi Mieleckiej w Mielcu** oraz **Stowarzyszenie na rzecz Rozwoju Lokalnego w Zarówce**.  
 Redaktor naczelny: **Włodzimierz Gąsiewski**.  
 Sekretarz Redakcji: **Krzyszyna Gargas-Gąsiewska**,  
 Współpraca redakcyjna: Adam Chrabąszcz, Robert Czop, Jacek Krzysztof Danel, Bronisław Dryja, Olga Gąsiewska, Krzysztof Graboń, Jerzy Kazana, Józef Kawalek, Paweł Komoński, Szczepan Komoński, Ks. Janusz Królikowski, Józefa Krzak, Jacek Krzysztofik, Józefa Kwiatkowska, Dorota Kwoka, Olga Lalić-Krowicka, Tadeusz Łakomy, Zbigniew Michalski, Leszek Midura, Ryszard Mścisz, Mirosław Ossowski, Teresa Paryna, Kryszyna Philipp, Andrzej Przybyszewski, Ewelina Radion, Antoni Rejman, Adam Rząsa, Janusz Strzala, Leszek Szot, Edward Winiarski.  
 Skład komputerowy i łamanie własne. Druk: **Autograf - Mielec**. Kolportaż: **RUCH SA Warszawa O/Rzeszów**. Prenumerata krajowa i zagraniczna - można zamawiać poprzez punkty sprzedaży prasy RUCH.  
 Biuro redakcji i reklam: **39-300 Mielec, ul. Mickiewicza 7, tel./fax 017 5831498, www.promocja.mielec.pl**,  
**e-mail: promocja@nb.com.pl lub kontakt@promocja.mielec.pl**  
 Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść ogłoszeń i reklam oraz zastrzega sobie prawo do ew. redagowania nadsyłanych tekstów, które publikowane są nieodpłatnie (bez honorariów). Zapraszamy do współpracy.

# Jerzy Kazana znów prezesem TMZM w Mielcu

11 grudnia 2010 r. w Sali Królewskiej w Mielcu odbyło się Walne Zebranie Sprawozdawczo-Wyborcze Towarzystwa Miłośników Ziemi Mieleckiej im. Władysława Szafera w Mielcu. Uświetnił je koncert solistów Państwowej Szkoły Muzycznej I i II stopnia im. M. Karłowicza w Mielcu.

Podczas zebrania sprawozdanie z działalności TMZM przedstawił Bronisław Kowalczuk. Wręczono też wyróżnienia i dyplomy, które otrzymali wyróżnieni wpisem do Złotej Księgi TMZM z pismem gratulacyjnym: Bogumiła Gajowiec, Krysztyna Gargas-Gąsiewska, Jerzy Kazana,



Gość honorowy i członek TMZM *Zdzisław Nowakowski* (fot. W. Gąsiewski)

Bronisław Kowalczuk, Jacek Krzysztofik, Zbigniew Michalski, Jan Stępień, Zbigniew Wicherski, Marek Woźniak, Janusz Zborowski.

Wyróżnieni Odznaką Jubileuszową TMZM przyznaną uchwałą Zarządu Towarzystwa: Bogdan Bieniek, Janusz Chodorowski, Andrzej Chrabąszcz, Włodzimierz Gąsiewski, Dorota Kieraś-Jędrychowska, Józefa Krasoń, Ryszard Kusek, Janina Marszałek, Zdzisław Nowakowski, Małgorzata Rojkowicz, Józef Smaczny, Jacek Tejchma, Józef Zaskalski.

Wyróżnieni pismem z podziękowaniem od Zarządu TMZM: Bogdan Bieniek, Maria Błażków, Janusz Chodorowski, Andrzej Chrabąszcz, Dorota Kieraś-Jędrychowska, Józefa Krasoń, Ryszard Kusek, Janina Marszałek, Małgorzata Rojkowicz, Józef Smaczny, Jacek Tejchma, Józef Zaskalski.

Przyjęto w poczet nowych członków w osobach: Andrzej Krempa, Stanisław Lejko, Teresa Leyko, Czesława Maciąg, Jan Madej, Marek Paprocki, Teresa Wenta.

Podczas zebrania wybrano też władze Towarzystwa na następną czteroletnią kadencję, w tym zarząd w składzie: Jerzy Kazana - prezes, Maria Błażków - I wiceprezes, Józef Roguz - II wiceprezes, Bronisław



*Jerzy Kazana* (fot. W. Gąsiewski)

Kowalczuk - sekretarz, Jadwiga Jankowska - z-ca sekretarza, Teresa Stępczyk - skarbnik oraz członkowie zarządu: Bogumiła Gajowiec, Janusz Grdeń, Jadwiga Klaus, Andrzej Kobylarz, Jacek Krzysztofik, Tadeusz Łakomy, Zbigniew Michalski, Jolanta Strycharz, Zbigniew Wicherski, Marek Woźniak, Janusz Wyzina., Józef Zaskalski i Janusz Zborowski. Wybrano też Komisję Rewizyjną w składzie: Jan Madej - przewodniczący, Stanisław Furdyna i Józef Prade oraz Sąd Koleżeński: Marek Żalotyński - przewodniczący, Stanisław Czarnecki i Elżbieta Solarska.

**Włodzimierz Gąsiewski**



Uczestnicy Walnego Zebrania TMZM (fot. Jacek Krzysztofik).

11 grudnia 2010 r. podczas Walnego Zebrania Sprawozdawczego Towarzystwa Miłośników Ziemi Mieleckiej im. Władysława Szafera w Mielcu zostały zaprezentowane kolejne „Mieleckie Zapiski nr 12-13. Rocznik Ziemi Mieleckiej 2009-2010”. Redaktorem publikacji jest Włodzimierz Gąsiewski, zaś w skład zespołu redakcyjnego weszli: Maria Błażków, Bogumiła Gajowiec, Krystyna Gargas-Gąsiewska, Janusz Grdeń, Jerzy Kazana, Barbara Kowalczyk, Bronisław Kowalczyk, Józefa Krasoń, Andrzej Krempa, ks. Janusz Królikowski, Zbigniew Michalski, Elżbieta Minorczyk, Renata Paterak, Elwira Przewoźnik, Halina Sęk, Teresa Stępczyk, Jolanta Strycharz, Zbigniew Wicherski, Józef Witek, Marek Zalotyński.

Wydana książka jest formatu 23,5x16 cm z kolorową okładką według projektu Krystyny Gargas-Gąsiewskiej i Włodzimierza Gąsiewskiego. Liczy 240 stron plus 8 stron kolorowych przedstawiających współczesne wnętrza bazyliki mniejszej pw. św. Mateusza w Mielcu. Wydawcą jest Towarzystwo Miłośników Ziemi Mieleckiej im. Władysława Szafera w Mielcu, przy współpracy Agencji Wydawniczej „Promocja” w Mielcu, zaś druk opłacono dzięki pomocy finansowej Starostwa Powiatowego w Mielcu, który wykonał Zakład Poligraficzny Zbigniewa Gajka w Mielcu.

Bieżące wydanie *Zapisków* „dogania” numeracją i datowaniem czasy współczesne, niemal na bieżąco dokumentując ważniejsze wydarzenia lokalne i regionalne.



## REGULARNE „MIELECKIE ZAPISKI nr 12-13” „ROCZNIK ZIEMI MIELECKIEJ 2009-2010”

Szanowni Państwo!

Przekazujemy Państwu kolejne wydanie *Mieleckich Zapisków nr 12-13 Rocznik Ziemi Mieleckiej 2009-2010*, które mimo swojej podwójnej numeracji, już na bieżąco przedstawia życie społeczno-kulturalno-oświatowe regionu, jak też odnosi się do aktualnych rocznic i wydarzeń, zarówno lokalnych jak i ogólnopolskich.

Po drobnych zmianach, jakie zostały wprowadzone w poprzednim wydaniu nr 9-11 obejmującym lata 2006-2008, w zasadzie koncepcja obecnej publikacji jest kontynuacją poprzedniej, a zwłaszcza układu rozdziałów i szaty graficznej, która jednak tym razem urozmaicona jest kolorową 8-stronicową wkładką zdjęć wnętrza bazyliki mniejszej pw. św. Mateusza w Mielcu i chcielibyśmy, aby w następnych edycjach kolor pojawił się nie tylko w zdjęciach np. sakralnych, ale też w malarstwie, rzeźbie czy też barwnej fotografii artystycznej. Tradycją jest także szaro-srebrna okładka, tym razem z „Matką Boską Katyńską i Gimnazjalną”, która jest artystyczną kompilacją obrazu i fotografii oraz nawiązuje do jednego z rozdziałów pt.: *Katyń – Mielec – Smoleńsk 1940-2010*, odnoszącego się nie tylko do 70. rocznicy zbrodni katyńskiej, ale też i w szczególności do „katyńczyków” – profesorów, uczniów i absolwentów Gimnazjum w Mielcu, jak i do tragicznej katastrofy lotniczej pod Smoleńskiem 10 kwietnia 2010 r., śmierci prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego i jego małżonki Marii Kaczyńskiej, towarzyszących mu osób, w tym Leszka Deptuły – posła na Sejm RP z Ziemi Mieleckiej.

Jednak przed tematyką katyńską w dziale *Z historii Mielca i regionu*, na uwagę zasługują artykuły: ks. Janusza Królikowskiego pt. *Znamienita Mielczanka Zofia z Mieleckich Chodkiewiczowa*, w którym autor odkrywa nowe i nieznane fakty związane z jedną z najznamienitszych przedstawicielek rodu Mieleckich. Z kolei dzięki ks. prof. Franciszkowi Knutelskiemu poznamy tłumaczony po raz pierwszy z łaciny bardzo ciekawy tekst z końca XVI w. o Mikołaju Mieleckim. Jest w tym także zasługa Janusza Grdenia, który wystarał się o to bezinteresowne tłumaczenie. Kolejni autorzy: Włodzimierz Gąsiewski, Edward Winiarski oraz Jacek Matuszkiewicz i Tadeusz Matuszkiewicz w różnych artykułach przedstawiają nieznane fakty związane z gen. Władysławem Sikorskim oraz jego politycznym i osobistym przyjacielem – Karolem Popielem, *nota bene* obydwóch wywodzących się z Ziemi Mieleckiej. Na uwagę zasługuje też prawie nieznaną reprint konspiracyjnego czasopisma z 15 lipca 1943 r., w którym zawarte są informacje i pierwsze reakcje po śmierci gen. Wł. Sikorskiego 4 lipca 1943 r. Na zakończenie tego działu Adam Krempa po raz kolejny podejmuje trudną tematykę sąsiedztwa Polaków i kolonistów niemieckich w okolicach Mielca, z których wielu podpisało Volkslistę, choć zdarzyli się i tacy, którzy odmówili współpracy z niemieckim, hitlerowskim okupantem, za co też ponosili konsekwencje.

Niezwykle bogatą treścią wypełniony jest dział *Kronika społeczno-kulturalno-oświatowa*, w którym z okazji 600-lecia bitwy pod Grunwaldem ks. Janusz Królikowski odnosi się do „grunwaldzkiej wiktorii”. Zaś kolejny obszerny rozdział

autorstwa Włodzimierza Gąsiewskiego, to wspomniany już *Katyń - Mielec - Smoleńsk 1940-2010*, w którym m.in. przedstawiony jest uzupełniony o nowe wątki życiorys śp. Leszka Deptuły, jego pogrzeb, jak też i informacje o obchodach 70. rocznicy zbrodni katyńskiej w Mielcu. W tym miejscu autor publikuje poszerzoną o 18 nieznanych wcześniej nazwisk listę mieleckich „katyńczyków”, do tej pory nie upamiętnionych w żadnej publikacji czy też na tzw. „Ścianie Katyńskiej” na murze kościelnym bazyliki mniejszej pw. św. Mateusza w Mielcu. W listę tę wpisują się też mieleccy profesorowie i gimnazjaliści, których aż 23 zginęło wiosną 1940 r.

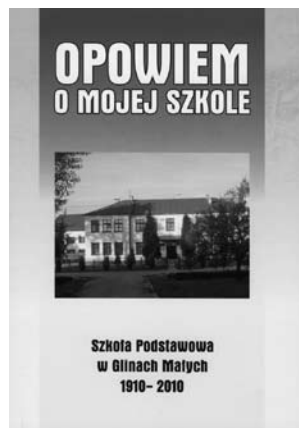
Na kolejnych stronach *Mieleckich Zapisków*, trudna i bolesna tematyka rocznicowa ustępuje miejsca prezentacjom aż czterech bibliotek z Ziemi Mieleckiej, w tym z I LO w Mielcu, zbiory której opisuje Elwira Przewoźnik, biblioteki z Tuszowa Narodowego, o której pisze Renata Paterak, Miejskiej Biblioteki Publicznej, działalność której przybliży Jolanta Strycharz oraz „biblioteki na miarę XXI wieku”, tj. Pedagogiczną Bibliotekę Wojewódzką w Rzeszowie - Filia w Mielcu, dokonania której przedstawiają Józefa Krasoń i Elżbieta Minorczyk. Następnie rozpoczyna się „seria” sprawozdań z różnorodnej działalności Towarzystwa Miłośników Ziemi Mieleckiej im. Wł. Szafera w Mielcu, opracowanych przez Bronisława Kowalczyka, Halinę Sęk i Teresę Stępczyk, Zbigniewa Michalskiego, Bogumiłę Gajowiec, Włodzimierza Gąsiewskiego, Barbarę Kowalczyk i Zbigniewa Wicherskiego. Wykazują one jak ożywioną i bogatą w treści działalność prowadziło TMZM w ciągu niespełna dwóch lat 2009-2010.

W kolejnym dziale *Ludzie Ziemi Mieleckiej i okolic* Marek Zalotyński podjął się trudu spisania dziejów życia księdza

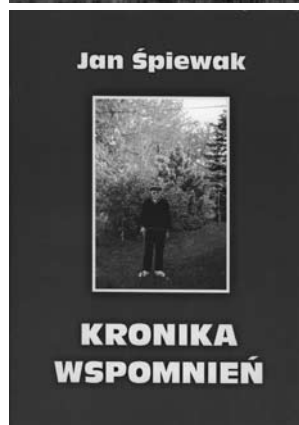
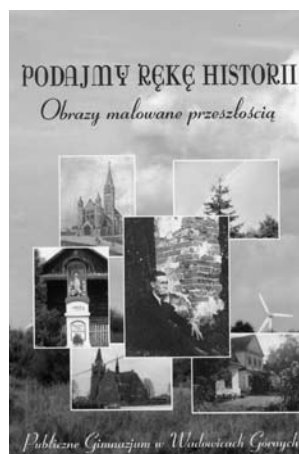
Józefa Smaczniaka, rodem z podmieleckiego Rzochowa, także ofiarę sowieckich prześladowań, umęczonego na „Golgotcie Wschodu”. Włodzimierz Gąsiewski zaś przedstawia krótki, lecz uzupełniony o wiele nowych faktów i źródeł biogram poety i rolnika Stanisława Harli, który dzięki uprzejmości Janusza Grdeń zamyka kilkunastu reprint poezji Harli, wydany w przedwojennej drukarni Fiałkowskiego w Mielcu. Następny dział *Zapiski Regionalne* wypełnia artykuł Józefa Witka o mieleckiej bazylice pw. św. Mateusza, który ilustrują czarno-białe archiwalne zdjęcia ze zbiorów autora oraz Janusza Strzały, Jerzego Jarosza, Zdzisława Korpantego i Włodzimierza Gąsiewskiego. Kolorowe zdjęcia natomiast wykonali Tomasz Jaworski i Wiesław Madej. Po nich natomiast w dziale *Foto zapiski regionalne* Krystyna Gargas-Gąsiewska i Janusz Grdeń przedstawiają żalobne wspomnienie mieleckiego fotografa Janusza Strzały, który zmarł w 2010 r., zaś Włodzimierz Gąsiewski prezentuje kilka ciekawych i nieznanymi mieleckich zdjęć archiwalnych pod wspólnym tytułem *Mielec i mieleczanie na starej fotografii*. *Mieleckie Zapiski* kończą *Recenzje - omówienia - noty*, a w nich dłuższe lub krótsze opisy 26 publikacji i ich autorów tylko z 2009 roku. Nie obejmują one całego dorobku wydawniczego Ziemi Mieleckiej tego roku, jak też i kolejnego 2010. Będą więc one sukcesywnie prezentowane w następnych wydaniach *Zapisków*.

Szanowni Państwo i Drodzy Czytelnicy. *Mieleckie zapiski* powstały i tym razem dzięki pracy wielu osób, zaangażowaniu Zarządu TMZM i wsparciu finansowemu Starostwa Powiatowego w Mielcu, za co należą się gorące podziękowania. Na pewno przedstawiona tematyka nie ukazuje ani wszystkich ważnych wydarzeń, ani też nie wyczerpuje poruszonych zagadnień. Jest to więc zachęta do dalszej pracy w prezentowaniu bogactwa historii i codziennego życia mieszkańców Ziemi Mieleckiej.

Włodzimierz Gąsiewski



Książka ukazała się w 2010 r., format ok. 16x23 cm, 108 stron. Druk: Zakład Poligraficzny Z. Gajek Mielec.



## OPOWIEM O MOJEJ SZKOLE

### Szkoła Podstawowa w Glinach Małych 1910-2010

Każdego roku wiele instytucji, w tym oświatowych obchodzi swoje jubileusze. Bardzo często, zwłaszcza w szkołach sprowadzają się one jednak do dość nudnych akademii oraz bankietów lub obiadów dla nauczycieli i dość skromnego zazwyczaj grona zaproszonych gości, często z pominięciem nawet byłych pedagogów.

Jednak Szkoła Podstawowa w Glinach Małych w gminie Borowa, bardziej kulturalnie i trwale uwieczniła swoje 100-lecie, wydając okolicznościową

publikację. Jest to całkiem pokaźna książka, formatu 16x23 cm, z kolorową okładką, licząca 108 stron, kredowego matowego papieru, także z kolorowymi ilustracjami. Wydawnictwo jest doskonałą lekcją historii i współczesności szkoły, miejscowości, a poprzez nią także gminy Borowa. Ukazane są w niej wydarzenia i ludzie – nauczyciele, katecheci i uczniowie. Pozostanie więc ona nie tylko w domowych bibliotekach, ale też i sercach czytelników.

## PODAJMY RĘKĘ HISTORII

...z podtytułem *Obrazy malowane przeszłością*, to mało znana publikacja Publicznego Gimnazjum w Wadowicach Górnych, która jako praca zbiorowa pod redakcją Justyny Owcarz i Krystyny Wyzgi ukazała się w 2009 r. Opracowanie to, formatu 16x23 cm, z kolorową okładką, liczy 104 strony, zawierające rozdziały: Miejsce na ziemi; Niezwykłe życiorysy, Obrazki z przeszłości, Od gawędy do wiersza, Przedwojenna opowieść o księdzu detektywie; Legendy o Wampierzowie; Kabaret pod „Topolami”; Przemyslenia w strofy ujęte; Język, obyczaje, tradycja. W znacznej części treść stanowi kompilację znanych już wcześniej opracowań i artykułów, choć można odnaleźć również i nowe elementy. Także i bibliografia publikacji nie zawiera wszystkich aktualnych pozycji. W sumie jednak jest ona cennym przyczynkiem do historii regionu mieleckiego i warta jest popularyzacji. Druk książki wykonał Zakład Z. Gajka w Mielcu.

## KRONIKA WSPOMNIENI

Wydawcą tej wspomnieniowej publikacji Jana Śpiewaka, datowanej i sygnowanej: Czermin 2010 jest Gminny Ośrodek Kultury i Sportu w Czerminie, zaś opracowania redakcyjnego i graficznego dokonała Bernadeta Adamczyk. Jan Śpiewak to od urodzenia w 1919 r. mieszkaniec Czermina i od wielu lat spisuje historię tej miejscowości i okolic. Jego artykuły publikowaliśmy wielokrotnie m.in. na

łamach „Wieści Regionalnych”. Autora wspomnień interesuje szczególnie okres II wojny światowej i okupacji niemieckiej w Czerminie, w tym relacje pomiędzy mieszkającymi tam od wieków Polakami oraz kolonistami niemieckimi, których większość podczas wojny podpisała Volkslistę dokonując prześladowań. Publikacja formatu A-4 liczy 51 stron i została wydrukowana w drukarni GZAZ w Maliniu.

## Przyrodniczy szlak Puszczy Sandomierskiej Mapa-przewodnik

To prawie nieznanne i unikalne w skali regionu wydawnictwo nadleśnictw: Kolbuszowa, Mielec, Głogów Małopolski, Nowa Dęba, Rudnik oraz Muzeum Kultury Ludowej w Kolbuszowej i Urzędu Miejskiego w Kolbuszowej. Na kolorowej mapce prowadzi przez ścieżki przyrodnicze: „Biakówka”, „Świerczówka”, „Dymarka”, „Na szkółce”, „Maziarnia”, „Morgi”, „Bratkowice”, „Annopol”, „Bór”,

„Turza”, „Werynia”, „Zalesie Maziarnia”, „Do Bobra”, „Podróżnik”, „Trześń”, „Ostrowy”, „Rozalin”, „Berówka”, „Zielony szlak” oraz „Ścieżka dydaktyczna Nadleśnictwa Nowa Dęba i Stowarzyszenia Przyjaciół Huty Komorowskiej. Rozłożona mapka ma wymiary 59x42 cm, zawiera także kolorowe zdjęcia i opisy. Druk Zakł. Poligr. Z. Gajek Mielec. Wydawnictwo bezpłatne i jest dostępne zapewne u wyżej wymienionych Wydawców.



## 70 lat Klubu Sportowego Stal Mielec

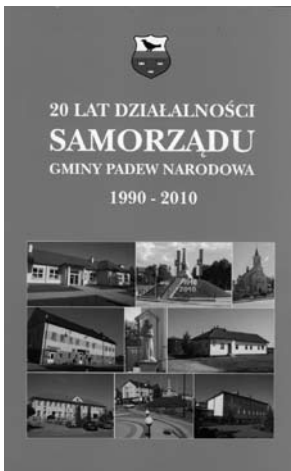
Książka autorstwa Józefa Witka i Wiesława Madeja ukazała się pod koniec 2009 r., na dobre wchodząc do obiegu wydawniczego już w 2010 roku. Jest to niezwykle obszerna i monumentalna publikacja, 480 stron, formatu 22x30 cm, czyni z niej niemal mielecką rekordzistkę wydawniczą, ale też i zajmuje się prawie pomnikowym zespołem sportowym FKS „Stal” Mielec, który przez 70 lat swojego istnienia przysporzył wiele sławy i chwały miastu Mielec, jak również całej Ziemi Mieleckiej.

Publikacja zawiera wstęp dotyczący Polskich Zakładów Lotniczych oraz ich następców w okresie powojennym oraz miasta Mielca. Po czym przedstawiona jest historia klubu sportowego w latach 1939-1997, która stanowi 3/4 objętości książki oraz historia oddzielonych klubów sportowych „Stali” od 1997 do 2009 roku. Publikację również w 3/4 wypełniają zdjęcia oraz wykazy osobowe, statystyki i biogramy niektórych sportowców. Druk: Drukarnia Wydawnicza Anczyca w Krakowie.



70 lat mieleckiego szpitalnictwa

## PADEWSKIE WYDAWNICTWA

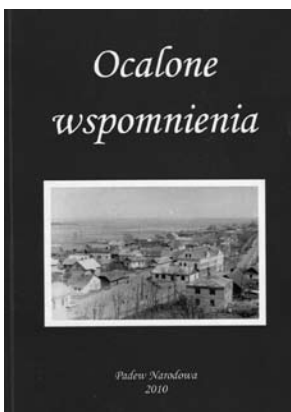


Gmina Padew Narodowa niewątpliwie przoduje jako samorządowy wydawca, nie tylko wśród wiejskich gmin powiatu mieleckiego, ale też skutecznie konkuruje w tym zakresie z Mielcem, bijąc na głowę gminy miejskie: Radomyśl Wielki i Przecław. W latach 2009-2010 w Padwi Narodowej ukazało się aż pięć wydawnictw. Gmina, jako jedyna w powiecie wydała dość obszerną książkę pt. „20 lat działalności samorządu Gminy Padew Narodowa 1990-2010”, formatu A-4, o objętości 60 stron, z kolorowymi zdjęciami, na wysokiej jakości kolorowym papierze. Redakcji i opracowania dokonała Edyta Pazdan - Skórska, przy współpracy zespołu.



Inna jubileuszowa publikacja, tym razem z 2009 r. to „X - lecie Publicznego Gimnazjum im. Franciszka Kremy w Padwi Narodowej, która w nieco skromniejszej formule (rozmiar A-4, 24 strony, w tym część kolorowych na kredowym papierze) przedstawia historię i osiągnięcia padewskiego gimnazjum.

Wieś Padew Narodowa niedawno zafundowała sobie ulice, co wiązało się z koniecznością informacji o ich nazwach i stąd zapewne w 2009 r. ukazał się plan Padwi Narodowej, a przy okazji uproszczona mapka całej gminy. Plan zawiera również część informacyjno-opisową, a więc nazwy ulic i ich lokalizację, granice gminy, sołectw, oznakowanie kościołów i niektórych kapliczek, instytucji użyteczności publicznej, stacji benzynowych, parkingów i pomników przyrody. Część opisowa przedstawia zwięźle poszczególne miejscowości, w tym ich osiągnięcia, zabijki i atrakcje turystyczne.



„Ocalone wspomnienia” to 112 stronicowa książka wydana w 2010 r. przez Gminną Bibliotekę Publiczną w Padwi Narodowej i Bibliotekę Szkolną Publicznego Gimnazjum w Padwi Narodowej ze środków Unii Europejskiej. Redakcji dokonali: Edyta Pazdan-Skórska, Bogumiła Pierzchała, Anna Burghardt, Lucyna Gunia i Bogusława Mazur, przy współpracy również kilkuosobowego zespołu. Ciekawostką książki są m.in. wspomnienia potomków byłych kolonistów niemieckich z tej miejscowości, wiele ciekawych zdjęć i rysunków, w tym również kolorowych. W 2010 r. w Gminie Padew Narodowa ukazała się również okolicznościowa publikacja nawiązująca do rocznicy zwycięskiej bitwy pod Grunwaldem w 1410 r.



## 70 lat mieleckiego szpitalnictwa

Obecnie Szpital Powiatowy im. Edmunda Biernackiego w Mielcu zajmuje czołowe miejsce w rankingach wojewódzkich i ogólnopolskich, stąd być może pomysł ukazania historii szpitalnictwa mieleckiego, które może stanowić tło porównawcze, jak również korzenie współczesnych sukcesów. Książkę datowaną na 2010 r. o formacie A-4, w twardej okładkach z obwolutą i 71 stronach zredagowali: Aneta Dyka-Urbańska (koordynator zespołu), Elżbieta Kasprzak-Stypa oraz Józef Witka. Wydawcą jest Szpital Powiatowy w Mielcu oraz Starostwo Powiatowe w Mielcu. Druku dokonał: Zakład Poligraficzny w Mielcu. Słowem wstępnym książkę opatrzył Leszek Kończak - dyrektor szpitala oraz Andrzej Chrabąszcz - Starosta Mielecki. Publikacja zawiera



rozdziały: „Historia służby zdrowia w Mielcu” autorstwa Józefa Witka; „Historia szpitala z innej perspektywy” - Anety Dyki-Urbańskiej i teże autorki: „Mielecki szpital dziś” i „Jeden z siedemdziesięciu - rok w Szpitalu Powiatowym im. E. Biernackiego w Mielcu”. Kolejny rozdział to „Mielecki szpital w pigułce” Elżbiety Kasprzak-Stypa oraz aneksy Daniela Szelbi i Józefa Witka. Książce towarzyszy płyta CD z informacjami o mieleckim szpitalu.

Wszystkie notki bibliograficzne: W. Gąsiewski

## FELIKS PODGÓRNIAK – KSIĄDZ I LUDOWIEC

(1901 – 1985)

Ksiądz Feliks Podgórnjak to postać niewątpliwie wielka, o niezwykle burzliwym życiorysie. Wielka swoimi dążeniami do określonych celów w życiu, wielka swoim zaangażowaniem dla ludzi i dla Ruchu Ludowego. Aby ukazać jak duże było to poświęcenie, przed II wojną światową (a i po niej także), kiedy to ksiądz F. Podgórnjak był szykanowany i represjonowany za swe poglądy i poparcie dla ludowców, zarówno przez ówczesne władze państwowe jak i kościelnych zwierzchników, przytoczę tu za księdzem prałatem prof. dr Adamem Nowakiem kilka zdań z Jego publikacji pt. „Księża tarnowscy w anegdocie” (Tarnów 2010, s. 12):

„Ksiądz Feliks Podgórnjak, proboszcz w Rzędzianowicach, znany był ze swojej sympatii do ruchu ludowego. Portret Wincentego Witosa wisiał w jego mieszkaniu na poczesnym miejscu. Zwykle w pierwszy dzień Zielonych Świąt, główne święto ludowców, chłopci masowo zjeżdżali do Mielca, zbierali się na rynku, a ksiądz Podgórnjak przemawiał do nich z balkonu kamienicy Łojczyka. Tym razem rzędzianowickiemu proboszczowi towarzyszył znany prawnik, doktor Andrzej Dziadyk, również ludowiec. Ksiądz siedział na krześle, a mecenas, stojąc obok niego z plikiem kartek w rękę, oświadczył zgromadzonym: „Ponieważ władza kościelna pod groźbą suspensy zakazała księdzu Podgórnjakowi wygłaszania mów na wiecach chłopskich, to postanowił swoje wystąpienie spisać, a mnie pozwolił w swoim imieniu je przeczytać”. W ten sposób i prawu stało się zadość, i chłopci byli zadowoleni.”

Nieugięty był także w czasie okupacji niemieckiej, jak i po II wojnie światowej, kiedy to był poddawany represjom przez Urząd Bezpieczeństwa Publicznego.

Z tą wielkością księdza Podgórnjaka musiał się zmierzyć dr Włodzimierz Gąsiewski, który podjął się w 2010 roku przygotowania książki pt. „Z ludu i dla ludu. Ks. Feliks Podgórnjak (1901 – 1985). Proboszcz z Rzędzianowic – Jego parafia i parafianie” (Rzędzianowice 2010, ss. 156) wydanej drukiem przez Agencję Wydawniczą „Promocja” w Mielcu, dzięki także pomocy finansowej Starostwa Powiatowego w Mielcu. Książka ta była jakby częścią uroczystości upamiętnienia 25. rocznicy śmierci ks. Podgórnjaka, przygotowanej przez parafian rzędzianowickiego kościoła.

Przed autorem stało więc trudne zadanie: po pierwsze zebrania materiałów dotyczących księdza F. Podgórnjaka, po drugie zebrania materiałów o środowi-

sku, społecznościach itp. w których żył, pełnił posługę kapłańską i działał ksiądz Proboszcz F. Podgórnjak, a po trzecie analiza tego wszystkiego co udało się zebrać. Książka, która później powstała, może budzić różne uwagi, może mieć takie czy inne braki. Niemniej autorowi należy się chwała za to, że mimo wszystko podjął się jej napisania, bo tym samym moźolnie wypełnia luki w dziejach naszej regionalnej historii, bo przez takie publikacje kolejne miejscowości (parafie) mogą się cieszyć opracowaniami dotyczącymi ich dziejów.

Autor zachęcając czytelnika do jej przeczytania, posłużył się charakterystycznym dla siebie sposobem ukazania celu jaki przed sobą postawił. Stąd w pierwszej części przedstawił dzieje wsi Rzędzianowice i Wola Pławska, ukazał na tym tle parafię Rzędzianowice, później kościół, jego wyposażenie i cmentarz parafialny. W drugiej części zaprezentował kapliczki, figury i krzyże przydrożne w obu miejscowościach. W następnej części – trzeciej – kapłanów parafii Rzędzianowice. Wśród niewielu kapłanów wywodzących się z tej parafii szczególnie na uwagę zasługują: ks. prałat prof. dr Adam Nowak – długoletni wykładowca Seminarium Duchownego w Tarnowie, autor wielu opracowań i publikacji dot. historii Kościoła w diecezji tarnowskiej, w tym m. in. autor czterotomowego opracowania pt. „Słownik biograficzny kapłanów diecezji tarnowskiej 1786 – 1985”, popularyzator postaci błogosławionego księdza Romana Sitko (napisał o Nim: „Ksiądz Roman Sitko. Życie, działalność i męczeństwo”, Tarnów 1998), czy księdza Jana Pyzikiewicza („Ks. Jan Pyzikiewicz (1901-1943). Więzień Oświęcimia”, Tarnów 2004). Drugi kapłan to ksiądz kanonik Eugeniusz Kowalczyk, obecnie rezydent w parafii Ducha Świętego w Mielcu, który m. in. był proboszczem w Gródku koło Grybowa, później w Chronowie koło Nowego Wiśnicza, a następnie w Zabrnii koło Szczucina. W tej części autor pisze także o Siostrach Służebniczkach w Rzędzianowicach, jak i o siostrach wywodzących się z tej parafii.

Czwarta i piąta część publikacji poświęcona jest księdzu Podgórnjakowi, Jego droga życiowa, pełnienie funkcji Proboszcza parafii Rzędzianowice w trudnych latach przed II wojną światową, podczas okupacji niemieckiej i po wojnie. Część piąta ukazująca działalność Ruchu Ludowego w Rzędzianowicach



Ks. Feliks Podgórnjak, fot. z książki: *Z ludu i dla ludu...*

i Woli Pławskiej to bezsprzecznie ukazanie ludowców w służbie dla nie tylko własnego środowiska, dla których przez długie lata patronem był właśnie ksiądz proboszcz Feliks Podgórnjak. Dlatego – pod takim patronatem - organizacje (czy to ludowe, młodzieżowe, strażackie i inne) należały do przodujących w powiecie mieleckim, a wielu działaczy ludowych (i nie tylko) wywodzących się z tych miejscowości zapisało się złotymi literami w dziejach Ziemi Mieleckiej, Podkarpacia i Polski.

Książkę zamyka obszerny fragment zawierający biogramy wielu osób związanych z Rzędzianowicami i Wolą Pławską, zestawienie źródeł, bibliografia, indeks nazwisk, pseudonimów i imion świętych.

Ksiądz Feliks Podgórnjak zarówno przed II wojną światową jak i po niej był wybitną postacią: jako kapłan służył nie tylko swoim parafianom, nie odmawiał innym, bo niejedyn ludowy sztandar był przez Niego poświęcony, dla ludowców Ziemi Mieleckiej był drogowskazem walki o lepsze jutro dla podmieleckiej wsi. Do ostatnich dni swojego życia służył im radą i poparciem.

W tym roku przypada 110 rocznica urodzin księdza Feliksa Podgórnjaka.<sup>1</sup>

**Jacek Krzysztofik**

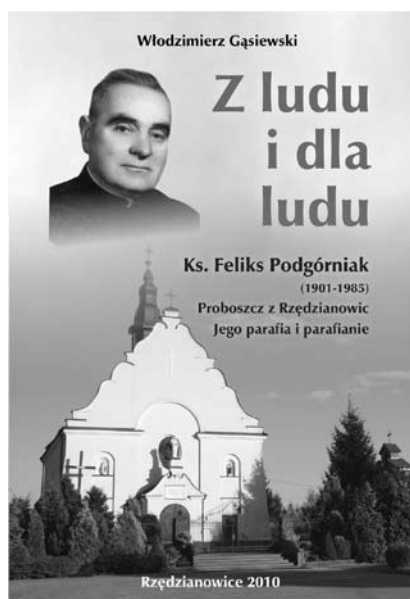
<sup>1</sup> Tekst został napisany w styczniu 2011 r., przyp. red.



Książka ukazała się w październiku 2010 r., formatu B-5, zawiera 156 stron. Wydawca Agencja Wydawnicza „Promocja”. Druk: Zakład Poligraficzny Z. Gajka w Mielcu.

Zawiera m.in.: *Zarys dziejów wsi Rzędzianowice i Wola Pławska; Szkic historyczny parafii Rzędzianowice; Powstanie i pierwsze lata parafii Rzędzianowice (kościół parafialny; dzwony kościelne i dzwonnica; plebania i inne budynki parafialne, cmentarz parafialny; kapliczki, figury i krzyże przydrożne: Rzędzianowice, Wola Pławska; kapłani parafii Rzędzianowice; kapłani wywodzący się z parafii Rzędzianowice; Siostry Służebniczki w Rzędzianowicach; siostry zakonne pochodzące z parafii Rzędzianowice); Ks. Feliks Podgórniak – proboszcz parafii Rzędzianowice w służbie Boga i ludu; Droga do kapłaństwa i wikariat w Kańczudze; W Rzędzianowicach i na Ziemi Mieleckiej w II Rzeczypospolitej; Przyjaciel Wincentego Witosa; Pasterz w nocy okupacji; W trudnych czasach PRL-u; Ks. Feliks Podgórniak we wspomnieniach i anegdotach; Krótka historia ruchu ludowego w Rzędzianowicach i Woli Pławskiej (Okres przedwojenny i czasy okupacji niemieckiej; PSL i ZSL w Rzędzianowicach w czasach PRL-u PSL w Rzędzianowicach w III Rzeczypospolitej Ruch ludowy w Woli Pławskiej); Niektóre osoby związane z miejscowościami Rzędzianowice i Wola Pławska; Indeks nazwisk, pseudonimów i imion świętych.*

**W. Gąsiewski**



## LUDOWCY UCZCILI SWOJEGO KAPŁANA



*Mszę Świętą w kościele parafialnym w Rzędzianowicach celebrują, od lewej: ks. Antoni Sowa, ks. Józef Mróz i ks. Eugeniusz Kowalczyk*

10 października 2010 r. w Rzędzianowicach, gmina Mielec obywateli się uroczystości 25 rocznicy śmierci ks. Feliksa Podgórniaka, proboszcza parafii Rzędzianowice w latach 1935-1982, a później rezydenta w tej parafii. Na uroczystości złożyły się: msza święta koncelebrowana przez ks. Antoniego Sowę - proboszcza parafii Rzędzianowice, ks. Józefa Mroza - proboszcza parafii Borowa i dziekana dekanatu Mielec Północ oraz ks. Eugeniusza Kowalczyka - rodaka z Rzędzianowic, obecnie rezydenta w parafii pw. Ducha Św. w Mielcu, który wygłosił homilię wspominając postać ks. Feliksa Podgórniaka.

Po mszy św. na miejscowym cmentarzu parafialnym odbyło się poświęcenie

nowego grobowca ks. Feliksa Podgórniaka, po którym z okolicznościowymi przemówieniami wystąpili Andrzej Chrabąszcz - Starosta Mielecki oraz Wiesław Rygiel - poseł na Sejm RP. W uroczystościach uczestniczył też m.in. Józef Smaczny - Wicestarosta Mielecki oraz ludowcy i samorządowcy z powiatu mieleckiego. Następnie odbyło się spotkanie ludowców z Rzędzianowic i Ziemi Mieleckiej. Z okazji rocznicy ukazała się książka autorstwa Włodzimierza Gąsiewskiego pt. „Z ludu i dla ludu. Ks. Feliks Podgórniak (1901-1985) Proboszcz z Rzędzianowic i Jego parafianie”.

**(W. Gąsiewski)**



*Ludowcy Ziemi Mieleckiej przed grobem ks. Feliksa Podgórniaka. Na pierwszym planie od lewej: Wiesław Rygiel - poseł PSL na Sejm RP, Andrzej Chrabąszcz - Starosta Mielecki i Józef Smaczny - Wicestarosta Mielecki (fot. W. Gąsiewski)*

# Zauroczony regionem

Wywiad ten został przeprowadzony w 1998 r. dla dwutygodnika „Sycyna”, którego redaktorem naczelnym był znany pisarz Wiesław Myśliwski. Niestety, nie został wydrukowany, gdyż pismo z powodu wstrzymania dotacji z ministerstwa kultury przestało wychodzić na początku 1999 r. Drukujemy go po ponad 10 latach, wierząc, że jest już świadectwem historycznym, pokazującym, jak rodziły się pierwsze wydawnictwa regionalne na Podkarpaciu w nowych warunkach społeczno-politycznych i ekonomicznych.

**Dionizy Garbacz urodził się 1940 r. w Kurzynie Wielkiej. Od dziecięcych lat mieszka w Stalowej Woli. Ukończył studia polonistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Od 1968 r. pracował w gazecie zakładowej Huty Stalowa Wola. W stanie wojennym zwolniony ze stanowiska redaktora naczelnego gazety i odsunięty od zawodu dziennikarskiego, internowany w Załężu i Uhercach. Obecnie jest dyrektorem Wydawnictwa „Sztafeta”. Wśród wielu wydanych jego książek największą jest czterotomowa monografia Stalowej Woli.**

## Kiedy i dlaczego zająłeś się historią swego miasta i regionu?

Stało się to po odsunięciu mnie od zawodu dziennikarskiego w grudniu 1981 roku. Nie miałem wówczas co robić i zacząłem zbierać materiały dotyczące II wojny światowej i działalności konspiracyjnej wszystkich organizacji działających w podziemiu na terenie Stalowej Woli, a także w naszym regionie. Najciekawsze było to, że gdy zwróciłem się do dyrektora Tadeusza Skrzata, a byłem wówczas osobą niemiłą władzy, mówiąc, że będę zbierał materiały dotyczące ruchu oporu, zdecydowanie temu zamiarowi przyklasnął i zapewnił, że Huta, to znaczy jej kierownictwo, mi to ułatwi. Dzięki jego staraniom mogłem więc korzystać z archiwów państwowych, a nawet mocno wtedy strzeżonego archiwum KC PZPR. W ten sposób zebrałem materiały do napisania monograficznej książki „Okupacja i konspiracja w Stalowej Woli 1939-1944”. Niestety, mimo wielu zabiegów nie udało się jej wydać. Ukazała się dopiero, ale poza oficjalnym obiegiem, w 1988 r., dzięki kurii biskupiej w Przemyślu i osobicie bp. Ignacemu Tokarczukowi. Należy wspomnieć, że skupiono tu wcześniej grupę niezależnych historyków, w części amatorów, której przewodniczyli dr Jan Draus i Jan Musiał, późniejsi senatorowie RP. Wspólnie mieliśmy zebrać materiały do dziejów diecezji przemyskiej w latach wojny i okupacji. Każdemu z nas wyznaczono pewien obszar, którym miał się zajmować. Ja otrzymałem rejon Tarnobrzega i Stalowej Woli, a więc ówczesną północ-

ną część województwa tarnobrzeskiego. Mając dostęp do wszystkich archiwów - państwowych i kościelnych, zebrałem wiele ciekawych materiałów. Nawiązałem też wiele cennych kontaktów z kombatanami, którzy pełnili na naszym terenie kierownicze funkcje w antyniemieckim i antykomunistycznym podziemiu. Uczestniczyłem także w wielu ważnych spotkaniach, które pogłębiły moją wiedzę o tym okresie. Zaowocowało to na początku napisaniem dwóch prac historycznych, liczących po 120 stron, o dekanacie rudnickim i ulanowskim. Niestety, wydanie całej monografii napotkało jednak spore trudności finansowe i techniczne. Udało mi się natomiast w roku 1987 wydać w drugim obiegu wspólnie z prof. Markiem Drozdowskim i Stefanem Bratkowskim niewielką rozmiarami, ale znaczącą wówczas ze względu na podjętą problematykę, książkę „Stalowa wola narodu polskiego”. W tych latach sporo publikowałem też, bo nie miałem innych możliwości, w pismach podziemnych i w prasie polonijnej. Lata 80. to także bliska znajomość i przyjaźń z Andrzejem Zagórskim, dziennikarzem i historykiem, zajmującym się dziejami AK. Miał on w tym czasie już bardzo bogate archiwum. We współpracy z nim powstała książka „W kleszczach czerwonych”, omawiająca dzieje Rzeszowszczyzny po wejściu Armii Czerwonej w 1944 r. Znalazła się w niej po raz pierwszy w powojennym dziejopisarstwie długa lista akowców wywiezionych do łagrow sowieckich na przełomie 1944 i 1945 r. Ta książka miała się ukazać w drugim obiegu, dla którego była zresztą pisana, ale na szczęście doczekała się już legalnego wydania. W 1988 roku uczestnicząc na terenie Huty Stalowa Wola w strajku i będąc jego rzecznikiem prasowym pisałem w sposób udokumentowany jego historię. Strajk ten, jak się dzisiaj uważa, miał wielkie znaczenie dla współczesnych dziejów, dla przyszłej transformacji ustrojowej. Marian Krzaklewski nazwał go po prostu „czwartym gwoździem do trumny polskiego komunizmu”.

**Jakie były największe „przekłamania” historyczne i twoje własne odkrycia? Czy udało ci się zdobyć jakieś bardzo cenne materiały, które zmieniły poglą-**

**dy, opinie lub spojrzenie na niektóre wydarzenia lub postaci historyczne?**

Wiele problemów z najnowszych dziejów w pracach czy podręcznikach historycznych, także tych regionalnych, było pomijanych lub zbywanych milczeniem albo zaznaczanych tylko półgębkiem, zresztą zgodnie z panującymi wówczas regułami i instrukcjami partyjno-ideologicznymi. Przykładem takich zakłamań była postać „Wołyniaka”. W szkole mówiło się o nim, że był to Ukraińiec związany z UPA, walczący w okresie powojennym z Polakami. Pasował nawet do tego jego pseudonim. Grzebiąc w archiwach i słuchając relacji naocznych świadków, byłych partyzantów dowiedziałem się, że to jeden z wybitniejszych polskich partyzantów, broniący ludności polskiej przed ukraińskimi „sotniami”. Bliższe zapoznanie się z jego dziejami zaowocowało książką „Wołyniak, legenda prawdziwa”, mającą za sobą już dwa wydania. Jest ona również jednym z przykładów odkłamywania naszych współczesnych dziejów i likwidowania „białych plam” przez historyków regionalistów, za jakiego się przecież uważam.

**Co rozumiesz przez „regionalizm”? Bo ta nazwa ma również swoje negatywne konotacje, często kojarzone z partykularyzmem i zaściankowością.**

W moim przypadku jest to zajmowanie się historią własnego regionu, ale w ścisłym powiązaniu z dziejami całego kraju, Polski. Natomiast przejmować się takimi właśnie negatywnymi opiniami - moim zdaniem - nie należy. Bo weryfikuje je samo życie.

**Czy jest na to obecnie „zapotrzebowanie”?**

Owszem, tak. Ludzie - wbrew temu, co sądzisz - chcą znać swoją „małą ojczyznę”. Interesują się nią nawet wtedy, gdy są daleko od kraju, od Polski. Widzę to także, mówiąc nieskromnie, po rozchodzeniu się moich książek. „Wołyniak...” trafił aż do księgarni w Nowym Jorku i to w dwa czy trzy tygodnie po ukazaniu się na naszym rynku wydawniczym. Historiografia uprawiana na podłożu regionalnym ma też - o czym nie zawsze się pamięta - ogromne znaczenie wychowawcze: kształtuje i pogłębia postawy patriotyczne i zacieśnienia więzi międzyludzkie. Chodzi między innymi o to, by mieszkańcy regionu znali nie tylko swoją przeszłość, ale byli z niej również dumni. Z tą myślą podjąłem się też napisania pracy dotyczącej dziejów Stalowej Woli, miasta, które ma zaledwie 60 lat.

**Czy to więc nie za szybko? Każda syn-teza - mówią historycy - wymaga dystansu czasowego.**

To klasycy głosili, że wszystko musi się uleżeć i nabrać historycznej mocy. Jestem innego zdania: im wcześniej zabieramy się za spisywanie dziejów, tym lepiej dla przyszłych badaczy. I co ciekawe, istnieje na takie opracowania społeczne zapotrzebowanie. Do tej pory na przykład ukazały się cztery tomy historii Stalowej Woli w nakładzie 2,5 tysięcy egzemplarzy każdy i wszystkie jakoś się rozeszły. A przecież miasto nie jest duże, ma ponad 70 tysięcy mieszkańców.

### **Jak liczny jest zespół ludzi, z którymi współpracujesz przy opracowaniu i pisaniu tej historii?**

To nie żaden zespół. Autorem wszystkim tomów jestem, niestety, ja. Na początku myślałem o pracy zespołowej, nawet szukałem do niej współpracowników. Ale chętnych do realizacji tego pomysłu i przygotowanych do wieloletnich badań i poszukiwań nie znalazłem, bo nikt wcześniej tym tematem poważnie się nie interesował i nie dysponował żadnymi materiałami. Powstała co prawda kiedyś taka historia w latach 80. przy okazji jubileuszu Huty, dokładnie 50-lecia, napisana przez dwóch stalowowolskich dziennikarzy, gdy byłem pozbawiony prawa legalnego publikowania, ale jej autorzy tak naprawdę z historią niewiele mieli wspólnego. Ot tak, zrobiono ją z doraźnej potrzeby i na jednorazowy użytek. Moja praca zaś jest dokładnie udokumentowana, także ikonograficznie. Dziś korzystają z niej uczniowie szkół podstawowych i średnich, a także studenci wyższych uczelni. W tym roku być może ukaże się piąty tom, dotyczący lat 1974-2000.

### **Domyślam się, że w ten sposób wyczerpałeś lub wyczerpięsz stalowowolską problematykę całkowicie...**

Niestety, nie. To się tylko wydaje komuś z zewnątrz. Dla badacza i historyka zawsze pojawiają się nowe nieznanne tematy. W 1998 roku na przykład ukazała się na jubileusz Huty Stalowa Wola moja praca monograficzna „Spotkanie z wielkim przemysłem”. Początek do niej dała napisana dwadzieścia lat temu broszurka o historii Huty w latach 1938-1978. Była to wówczas praca wręcz amatorska, ale w dużej mierze weryfikująca wiele faktów, zdarzeń i opinii o Hucie, Stalowej Woli i regionie. Napisałem też w ostatnim czasie kilka pozycji o firmach związanych z naszym terenem. Moja działalność pisarsko-historyczna to nie tylko publikacje książkowe. Wiele wysiłku włożyłem w sporządzenie dokumentacji ofiar wojny 1939-1945 roku, często wspólnie z innymi osobami. Stanowią one dziś cenne opracowania źródłowe.

### **Rozumiem, że wydawnictwo zamieniło się w rodzaj instytutu historycznego...**

### **Ale co mówią albo jaki mają stosunek do tego typu dziejopisarstwa historycy naukowcy?**

Są - wbrew temu, co może sądzisz - bardzo zainteresowani tymi pracami. Bo w jakimś sensie przecież ułatwia to ich działalność. Dowodem tego są liczne cytaty i odwołania w pracach uniwersyteckich historyków i z PAN-u do moich opracowań i książek.

### **Wyjaśnij mi jednak, skąd macie pieniądze na wydawanie tytułu książek? Przecież koszty tego są niemałe. Mają z tym problemy placówki stricte naukowe, a wy na wsparcie ministerstwa nie macie co liczyć. Czyżby tak hojne były lokalne samorządy i urząd wojewódzki?**

Bywa z tym różnie. Po prostu zależy to od ludzi. Gdy wydawałem książkę o „Wolyniaku”, partyzancie i antykomuniście, Leżajsk, na którego terenie działał jego oddział zbrojny, nie dał ani grosza. Natomiast otrzymałem znaczną pomoc finansową od Wydziału Kultury ówczesnego Urzędu Wojewódzkiego w Tarnobrzegu. Wspierają nas także, i można powiedzieć najwięcej, prywatni darczyńcy, tzw. sponsorzy.

### **Jeśli już mówimy o waszym wydawnictwie, to jaka jest - twoim zdaniem - jego rola kulturotwórcza w regionie? Jakie też są jego lokalne czy ponadlokalne zasługi?**

Emitujemy przede wszystkim pozycje związane tematycznie z naszym terenem i ludźmi. Wydawane przez nas publikacje i książki służą, jak to już powiedziałem, zgłębianiu, poszerzaniu wiedzy o regionie, jego miasteczkach, wsiach, na ogół zapomnianych przez naukowców historyków. Wydawnictwo „Sztafeta” wydało cały szereg pozycji związanych z historią naszego regionu, między innymi Benedykta Gajewskiego „Bieliny - wieś nad Sanem”, Janiny Stadnik „Na drogach Puszczy Sandomierskiej”, ks. Wilhelma Gaja-Piotrowskiego „Flisacki Ulanów”. Ale te pozycje nie zamykają naszej działalności. Jesteśmy - i tu muszę nieskromnie się pochwalić - jedynym wydawnictwem w Polsce południowo-wschodniej, które wydaje także tomiki poetyckie. Osobna sprawa to wydanie przez nas unikatowej pozycji „To my jesteśmy, Polsko” Anatola Diaczyńskiego - potomka zesłańców polskich deportowanych z Ukrainy do Kazachstanu w roku 1936. Książka opowiada o losach tych ludzi. Dziś wiele się mówi o umożliwieniu powrotu tym Polakom, ale my zajęliśmy się tą sprawą już sześć lat temu, kiedy bardzo niewielu ludzi o tym słyszało.

rozmawiał:  
**Mirosław Osowski**



**Stanisław Staruch**  
Wspomnienie (1930 - 2010)

Stanisław Staruch urodził się 10 maja 1930 roku. Pochodził z licznej rodziny, miał cztery siostry i jednego brata, rodzina była zwarta, światła, skupiona wokół czytanej i bardzo pracowitej matki - Józefy i statecznego ojca, byłego żołnierza, który przeżył niemiecką niewolę w 1939 roku. Stanisław jako najstarszy syn zastępował nieobecnego ojca, pomagał dzielnie matce w pracach polowych i opiece nad młodszym rodzeństwem. Ciekawy świata, odczytany działał bardzo aktywnie w harcerstwie, uprawiał sport. Maturę zdał w 1951 roku w Liceum Ogólnokształcącym w Lublinie, a następnie podjął studia w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie o specjalności filologia rosyjska. Po ukończeniu studiów otrzymał nakaz pracy i przybył do Rzeszowa wraz ze świeżo poślubioną żoną Anną z domu Sysło. Pracował najpierw w II Liceum Ogólnokształcącym, potem do 1962 roku był kierownikiem sekcji języka rosyjskiego w Okręgowym Ośrodku Metodycznym. Kierownictwo tworzącej się wówczas w Rzeszowie Wyższej Szkoły Pedagogicznej zaproponowało mu przejście do pracy na uczelni. Od 1965 roku został asystentem, a potem starszym wykładowcą tejże uczelni. Prowadził wykłady i ćwiczenia z dydaktyki, organizował praktyki studenckie. W szkołach prowadził kursy audiowizualne. Pasjonował się pracą z młodzieżą zarówno w Wyższej Szkole Pedagogicznej, jak później w Uniwersytecie Rzeszowskim. Na zasłużoną emeryturę przeszedł 1 lutego 1992 roku. Wśród studentów cieszył się wielkim autorytetem. Przez wiele lat z nim pracowałem w Wyższej Szkole Pedagogicznej. Bardzo kochał żonę, córkę Jolantę i wnuczki Dąmę i Barbarę oraz prawnuków Ewę i Rysia. Włączając się w życie społeczności uczelnianej pełnił przez wiele lat funkcję wiceprezesa ZNP przy WSP. Był także wiceprezesa Klubu Oficerów Rezerwy. Za długoletnią pracę zawodową i społeczną otrzymał wiele odznaczeń i medali, a mianowicie Krzyż Kawalerski Odrodzenia Polski, Złoty Krzyż Zasługi, Medal Komisji Edukacji Narodowej, Złotą Odznakę Związku Nauczycielstwa Polskiego. Odszedł od nas na zawsze 1 marca 2010 roku.

Non omnis Moriar.

**Adam Rząsa**  
emerytowany nauczyciel akademicki

Jubileusz 130 lat Koła Łowieckiego „Towarzystwo Myśliwych” w Rzeszowie

## Okolicznościowa wystawa łowiecka

Najstarsze w Polsce Koło Łowieckie „Towarzystwo Myśliwych”, założone we Lwowie przez ziemianina z podrzeszowskiego Zalesia Ignacego Guminińskiego, świętowało przypadający w bieżącym roku Jubileusz 130-lecia powstania (1880-2010). Uroczystość odbyła się w dworcu myśliwskim Jego Imienia w Wysokiej Głogowskiej 25 września 2010 roku. Rozpoczęła się Mszą świętą w miejscowym kościele parafialnym, koncelebrowaną przez kapłanów – pasjonatów myślistwa i księży proboszczów z parafii znajdujących się na terenach łowieckich, administrowanych przez Towarzystwo.

Następnie uroczystego otwarcia wystawy łowieckiej, urządzonej dzięki uprzejmości i zaangażowaniu pani Dyrektora Jolanty Kwarty w Zespole Szkół w Wysokiej Głogowskiej, dokonał Prezes Koła Łowieckiego „Towarzystwo Myśliwych” Jerzy Solarski, w licznej asyście zaproszonych gości: członków Zarządu Głównego Polskiego Związku Łowieckiego z Warszawy oraz władz okręgowych związku. Jej organizatorami i kustoszami byli dwaj myśliwi: Zbigniew Dec i Jan Banaś. Wystawa fascynowała nie tylko ilością eksponatów udostępnionych do ogólnego zwiedzania, ale ich różnorodnością i rozległością tematyczną, obejmując niemal wszystkie aspekty zagadnienia myślistwa i łowiectwa. Zaprezentowano przede wszystkim zbiór ok. 150 unikalnych trofeów członków Koła, głównie wieńce jeleni, parostki sarny-

rogacza, oręża dzicze. Szczególnego splendoru dodawały eksponaty medalowe, jak na przykład słynny wieniec Mieczysława Jachczyka, nagrodzony złotym medalem na Międzynarodowej Wystawie Łowieckiej w Budapeszcie w 1971 roku. Robert Kamiński udostępnił zbiór medalionów zwierząt afrykańskich: antylop Gnu przegowane, Kudu Wielkie, Steinbeck, Oryx oraz guźdzca i szakala. Sporo oryginalnych eksponatów użyczyli na wystawę członkowie rzeszowskiego Klubu Kolekcjonera i Kultury Łowieckiej. Wydatnie ubogaciło ją około 80 rogów i sygnałówek myśliwskich z XIX i XX wieku, pochodzących ze zbiorów Jana Banaś, 50 odznak, medali i plakietek kół łowieckich z Podkarpacia, zrzeszonych w Okręgowych Radach Łowieckich w Krośnie, Przemyślu i Rzeszowie, z kolekcji Zbigniewa Deca. Jedną ze swoich gablot poświęcił on ekspozycji archiwalnych dokumentów i cennych pamiątek z przeszłości najstarszego w Polsce koła łowieckiego.

Całość kompozycji znakomicie dopełniło 50 obrazów pędzla znakomitych malarzy polskich i zagranicznych oraz wyrobów rękodzieła artystycznego o tematyce łowieckiej jakie zdołał zebrać Edward Lech. 50 noży i kordełasów myśliwskich udostępnił Marek Zdeb, a Karol Ugenhaur kolekcjonerską tablicę z pamiątkowymi medalami i odznakami kół łowieckich okręgu rzeszowskiego. Zaś myśliwi zaprzyjaźnieni z obchodzącym Jubileusz Towa-

rzystwem Andrzej Płodzień i Leon Olszowy ubogacili wystawę eksponatami spreparowanych ptaków i ssaków, występujących w łowiskach Towarzystwa, jak: bażanty, kaczki, kuropatwy, gęsi, lisy, jenoty, borsuki, kuny, itp.

W centralnym punkcie wystawy, pod jubileuszowym hasłem, umieszczono ważne materiały historyczne z przeszłości Jubilata: statuy, kroniki, monografie, legitymacje członkowskie z lat 50-tych ubiegłego wieku, pochodzące ze zbiorów członków Zarządu Koła, zwłaszcza Prezesa Jerzego Solarskiego. Otaczały je okolicznościowe puchary i inne liczne pamiątki z poprzednich jubileuszów. Nad ową niezwykłą kompozycją unosił się niepowtarzalny zapach igliwi ze świerków i jodeł, pozyskanych ze szkółki Nadleśnictwa Kolbuszowa.

Zasadniczym celem tej szczególnej wystawy, oprócz uczczenia doniosłej daty w dziejach Koła Łowieckiego „Towarzystwo Myśliwych”, była edukacja z zakresu biologii, etyki i ekologii świata zwierząt i przyrody żywej, szczególnie dla dzieci i młodzieży szkół podstawowych i gimnazjalnych z terenu gminy i miasta Głogów Małopolski.

Główne uroczystości Jubileuszu 130-lecia Koła Łowieckiego „Towarzystwo Myśliwych” rozpoczęły się w godzinach popołudniowych owego dnia pod przewodnictwem wiceprezesa Koła Jarosława Janeczki, z udziałem reprezentantów naczelnych i regionalnych władz łowieckich, samorządowych gminy i miasta Głogów Małopolski, przedstawicieli Urzędu Marszałkowskiego, Wojewody Podkarpackiego, zarządów sąsiednich kół, rzeszy leśników. Ich punktem kulminacyjnym było odsłonięcie na frontowej ścianie dworcu myśliwskiego pamiątkowej tablicy, którego dokonali najstarsi członkowie Towarzystwa, uhonorowani za swoje osiągnięcia najwyższym odznaczeniem łowieckim ZŁOMEM. Uczestnicy jubileuszowej uroczystości, w otoczeniu rodzin, przy skocznej muzyce i wykwintnej kuchni myśliwskiej, do późnych godzin wieczornych wspominali ciekawe epizody z przeszłości Koła.

Spisał: **Edward Winiarski**  
na podstawie informacji  
p. Zbigniewa Deca



Na zdjęciu organizator wystawy (foto. arch. autora)



## Spotkanie z Bartoszem Gałązką - gościem specjalnym tegorocznej edycji Tradycyjnego Podkarpackiego Kolędowania

Czas na chwilę stanął w miejscu, ucichł miejski gwar i zamilkły odgłosy reklam. Zanurzyliśmy się w ciszę zimowego wieczoru. Pod stopami skrzący się w świetle księżycy śnieg, a przed nami ścieżka prowadząca do małej chatki. Pośród zawodzenia wiatru, coraz bliżej, dochodzi do nas dźwięk, to słyhać śpiew. Z oddali bije światło i zaprasza - wejdź miły gościu. W piecu tańczy ogień, u powały jemioła, a cała chałupa napełniona ciepłem i kolędą śpiewaną gromkim głosem, szczerze od pierwszej do ostatniej zwrotki.

Taki nastrój panował 20 stycznia w Bibliotece Muzycznej w Rzeszowie podczas wspólnego, tradycyjnego kolędowania. Sala dzięki wspaniałym dekoracjom zamieniła się w wiejską izbę pełną radosnego świętowania.

Gościem specjalnym spotkania był Bartosz Gałązka - współczesny Kolberg, folklorysta i wielki pasjonat tradycji Podkarpacia. Przemierza On nasz region w poszukiwaniu dawnych śpiewów, rejestruje je, opracowuje i wydaje w kolejnych zbiorach. Do tej pory ukazały się „Kolędy Regionu Krośnieńskiego” i Kolędy Podkarpacia” Podgórze I, w przygotowaniu jest kolejny tom kolęd, a wkrótce na półkach księgarń pojawią się „Śpiewy Religijne Podkarpacia”. Podczas swoich badań, które prowadzi od 14 lat zarejestro-

wał kilkadziesiąt tysięcy śpiewów. Zespół Vox Angeli czerpie wiele inspiracji z Jego pracy.

Spotkanie rozpoczęło się wejściem kolędników, w których wcielił się sam Pan Bartosz Gałązka wraz z zespołem Vox Angeli. Z gwiazdą i śpiewem już od progu domagali się piwa, życzyli gospodarzowi błogosławieństwa i z góry dziękowali za szcudroka, jak na kolędników przystało.

Na powitanie zabrzmiała kolęda życząca - „Jak się macie gospodarzu nasz miły, już rok minął jakżeśmy tu nie byli...” i rozpoczęło się wspólne śpiewanie przeplatane opowieściami Pana Gałązki.

Słuchacze otrzymali Kantyczki, dzięki którym mogli włączyć się w śpiew kolęd z naszego regionu, co czynili z wielką przyjemnością.

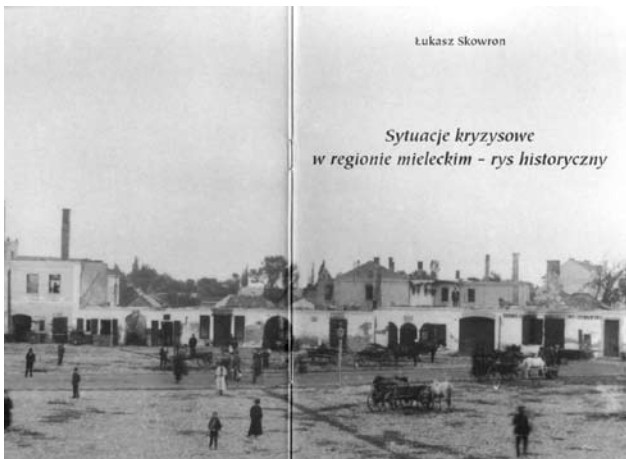
Kolędy raz wesołe, raz i smutne, kościelne, życzące, a wszystkie razem przepiękne są naszym narodowym skarbem. Często śpiewając je nie znamy jednak ich pochodzenia. Pan Bartosz przybliżył słuchaczom czas i miejsca w jakich powstawały, opowiadał o swojej pracy, o podróżach po naszym regionie, o wspaniałych ludziach, których spotkał i którzy z radością przekazali te piękne pieśni. Słuchacze mieli wiele pytań, a żadne z nich nie pozostało bez odpowiedzi. Wspólne kolędowanie przerodziło się w rozmowę, a nawet dyskusję na temat tradycji i jej postrzegania przez współczesne społeczeństwo.

W czasach lansowania popkultury, powinniśmy szczególnie uwagę zwrócić na to skąd pochodzą nasze korzenie. Tak wiele czerpiemy z innych narodów, zachwycamy się np. irlandzkim folklorem, a często gardzimy swoim własnym, którego z kolei inni nam zazdroszczą. Myślę, że tak naprawdę zbyt mało znamy naszą własną tradycję, naszą muzykę i obrzędy. W kościołach śpiewa się coraz mniej prawdziwych kolęd, a na płytach wydaje się piosenki świąteczne. To wspaniałe, że w tych trudnych dla kultury czasach są tacy pasjonaci, jak Pan Bartosz Gałązka. Dzięki Jego pracy to całe bogactwo form i melodii przetrwa dla przyszłych pokoleń, a tradycja naszego regionu nie zaginie.

W czwartkowy wieczór powróciliśmy do tradycji wspólnego kolędowania. Zaprosiliśmy słuchaczy pod strzechę wiejskiej chałupy aby usiedli przy ciepłym piecu i pośpiewali wspólnie, tak jak to dawniej ludzie czynili. Kolędowanie było wesołe, a i bogate bo kolędnicy szcudroka dostali. Na koniec zaśpiewali „Pójdziemy bracia w drogę z wieczora...” i dalej powędrowali do kolejnych domostw, po kolejne łupy.

Barbara Bator

## SYTUACJE KRYZYSOWE W REGIONIE MIELECKIM - RYS HISTORYCZNY



W 2010 r. ukazało się dość ciekawe wydawnictwo, pt. „Sytuacje kryzysowe w regionie mieleckim - rys historyczny”, autorstwa Łukasza Skowrona, który w publikacji o formacie 16 x 23,5 cm, na 40 stronicach przedstawił m.in.: powódzie i walkę z zagrożeniami powodziowymi, pożary i zwalczanie zagrożenia pożarowego oraz pozostałe sytuacje kryzysowe. Opracowanie to stanowi czynny przyczynek, do ewentualnej szerszej publikacji, która zajęłaby się kompleksowo tym tematem. Autor wprawdzie dotarł do kilkunastu opracowań regionalnych, niektórych artykułów prasowych oraz zdjęć, ale pominął wiele innych publikacji, zarówno traktujących o wydarzeniach historycznych, jak też i współczesnych, a zwłaszcza powodzi z 1997 r. Nie wykorzystał też materiałów archiwalnych, zarówno wojewódzkich, jak i lokalnych, chociażby miejscowych Ochotniczych Straży Pożarnych, które w swoich kronikach opisują ważniejsze akcje ratownicze. Autor dziękuje dyrektorowi Wydziału Zarządzania Kryzysowego Powiatu Mieleckiego Zenonowi Kamińskiemu, za pomoc w przygotowaniu opracowania. Wspomniany Wydział mógłby wykorzystać ten pomysł w przygotowaniu monograficznej analizy sytuacji kryzysowych w powiecie mieleckim, przydatnej w działaniach współczesnych. (W. Gaśiewski)

Janina Korpanty

# Rodzina Korpantych (5)

## Moja praca zawodowa – Otałęż 1929 rok

Opowiem o mojej pracy nauczycielskiej, czyli ja będę na pierwszym planie, a rodzina trochę w cieniu. Nie było już w domu rodzinnym Bronka, który od roku 1929 zaczął pracować w Krakowie; nie było też Kazka, bo pracował w Zbąszyniu przy cle. Chciał zostać oficerem, ale nie był całkiem zdrowy, potem przeniósł się do Tarnowa i pracował w Urzędzie Finansowym. Połowa dzieci już pracowała na siebie i rodzicom było lżej.

Jak już wcześniej napisałam, za wyróżnienie na maturze od 15 X roku 1929 dostałam posadę nauczycielską kontraktową w Otałęży. Nie było autobusów, wszędzie jechało się końmi, mnie odwiózł ten chłop Krużel, który uprawiał nasze pole. Nie brałam żadnych mebli tylko siennik, pościel i trochę ubrań. A ubrania miałam piękne, bo zawsze Tatuś decydował o kolorach sukienek, jego ulubionym kolorem był beż. Sam lubił ładne ubrania z dobrych materiałów.

Otałęż to wielka i bogata wieś nad Wisłą leżąca na krańcach powiatu mieleckiego, już sąsiedni powiat to Szczucin. Wieś należała do parafii Górki, do kościoła było ze 3 km drogą wiodącą przez puste pola. W zimie to się bardzo odczuwało, zimno przenikało do kości. Wieś, na którą przyjechałam, była ulicowa, to znaczy domy stały po obu stronach drogi. Szkoła piętrowa, zameldowałam się u kierownika. Mieszkanie już było gotowe, jedna izba z kominem do gotowania i jedno okno od drogi. Furman odjechał, a ja zostałam sama. Chyba coś zjadłam i chciałam położyć się spać, ale nie było łóżka, tylko siennik wpychany słomą. Zasnęłam go pościelą, noc, a tu myszy chodzą po mnie. Całą noc paliłam świeczkę, żeby mnie nie zjadły jak legendarnego Popiela. Nie wiem, czy na drugi dzień, czy na drugi tydzień furman przywiózł meble: łóżko białe żelazne, stół dębowy, krzesła, szafę dębową, nakaslik, stół kuchenny, garnki, talerze itd. Rano i wieczór gotowałam na prymusie (w zbiorniku nafta, wokoło palnika lało się spirytus i podpalało, aby się palnik rozgrzał, potem pompowało się, by powstał gaz).

Zwyczaj wymagał, aby złożyć wizyty kierownikowi, koleżankom, we dworze, w plebanii. Pamiętam wizytę we dworze, właścicielami byli Majowie, ich syn Julian chodził z Bronkiem do gimnazjum i jest lekarzem w Mielcu ożenionym z moją koleżanką Łucją z Borzęckich. Ten lekarz przeszedł całą wojnę na zachodzie, brał udział w bitwie pod Monte Cassino, nawet napisał książkę. Jego żona Łucja zaczęła studia polonistyczne, ale ich nie skończyła. Kiedy ja w roku 1945 zaczęłam pracować w Liceum Ogólnokształcącym im. Stanisława Konarskiego w Mielcu, to jej bardzo pomagałam w opracowywaniu lekcji. Majowie to nie była szlachta, lecz bogaci chłopcy. Przychodzimy z koleżankami (była np. Maria Kahlówna), proszą do pokoju, do sypialni, łóżka, nad łóżkami przybite arkusze zielonego papieru pakunkowego – dobrze to pamiętam. Wizyta, potem rewizyta, księża przychodzili, bo przyjeżdżali na religię do szkoły, każdy gospodarz jechał po księdza według kolejności. Kościół biało bielony, na rozstaju dróg. Z Otałęży robiliśmy wypadki do wsi Surowa, gdzie uczyła moja starsza koleżanka z Mielca, Helena Flis, zawsze u niej podziwiałam czystość, gospodarność. Z Otałęży również chodziłyśmy do Czermina na plebanię, a może i po pobory, nie pamiętam, ale mam w pamięci pobyt w gościnie u księży w Czerminie. Przyjęcie było takie: ksiądz położył na stole pętlę kielbasy, bochenek chleba, wyjął z kieszeni sutanny scyzoryk i mówi: jedzcie! Nic nas to nie zdziwiło, jadłyśmy, ksiądz zrobił herbatę i opowiadał kawały, wszyscy się śmiali. To były normalne czasy i ludzie sami

swoi, nikt się nie wywyższał, nikt nikogo nie miał w pogardzie. Niedawno, kiedy odwiedzałam w Tarnowie rodzinę Kazka, to pojechałam przez Szczucin, by zobaczyć te moje okolice z roku 1929. Dużo się zmieniło, ale krajobraz rolniczy, suszyły się na dachach ogórki nasienne, a koło Szczucina były lany truskawek.

Do domu przyjeżdżałam furmanką tylko od czasu do czasu na niedzielę, już miałam swoje dorosłe życie, poznawałam świat inny i innych ludzi. Na tej posadzie zaprzyjaźniłam się z koleżanką dużo starszą - Marią Kahl, która jeszcze żyje i mieszka w Mielcu u swojego brata, też nauczyciela. Pochodziła z niemieckich kolonistów ze wsi, która po roku 1945 nazywa się Orłów. W czasie wojny z tej wsi pochodzili volksdojczce, którzy męczyli Polaków, np. Zimmerman.

## Rok 1930 - Ruda koło Radomyśla Wielkiego

Drugą moją placówką była szkoła w Rudzie koło Radomyśla Wielkiego. W tej szkole było nas czworo, kierownik Józef Goralach, kawaler, piękny pan, jego siostra Stefania, jeszcze jedna nauczycielka i ja, był rok 1930. W tej wsi był kościół i dwór. Ja mieszkałam u Marii Machnik, starej panny, która miała matkę staruszkę. Dom składał się z pokoju, który ja zajmowałam, i małej kuchni, w której był duży piec, na którym spała ta stara matka. Moja gospodyni była czyściutka, posługiwała w kościele, ubierała ołtarze i nauczyła mnie swojej filozofii. A mówiła tak: każdy zły uczynek człowieka musi mieć tu na ziemi świadka, aby na Sądzie Ostatecznym Pan Bóg mógł się na niego powołać, gdy będzie sędził tego człowieka. U tej gospodyni brałam mleko, ona gotowała raz na dzień rano, ugotowane potrawy wstawiała do chlebowego pieca, otwór zastawiała blachą. Gdy przychodziłam ze szkoły, to sobie coś ugotowałam na prymusie, a czasem na kuchni, bo w pokoju był komin do gotowania, a koło niego małe drzwi do kuchni gospodyni. Pamiętam, że zawsze częstowała mnie kapustą kiszoną omaszczoną sadłem. Na tej posadzie byłam przez dzieci i rodziców bardzo lubiana, do niektórych domów chodziłam, np. do Wałęgów. Przed kilkoma laty mój uczeń z tego domu przysłał zaproszenie na prymicję. Pamiętam ks. proboszcza Józefa Grządziela, mam od Niego książeczkę i piękną Matkę Boską Częstochowską, proszę Pana Boga o szczęśliwość wieczną dla Jego duszy, był dobry dla wszystkich, często przechodził koło mojego ogródka, który był przy drodze. Ogródek był zawsze pełny kwiatów, bo gospodyni sadziła, aby mieć czym ubierać ołtarze.

W Rudzie był dwór Kosturkiewiczów, często wszyscy tam chodziliśmy, zawsze było dobre jedzenie, a wyborał herbatę podawali w szklankach w kształcie beczulek, na wierzch lali rum i zapalali. We dworze była stara matka, która mi raz tłumaczyła, że jest z nami spokrewniona. Syn jeden był żonaty, drugi, Feliks Kosturkiewicz, starszy kawaler, zalecał się do mnie i pewnego dnia wieczorem ten syn żonaty przyjechał powozem do mnie, ubrany w czarny garnitur, i prosił o rękę dla brata Feliksa. Ale mnie nie była w głowie żeniaczka, powiedziałam, że ja mam teraz egzamin i z tego nic nie będzie. Później słyszałam, że Feliks ożenił się z wdową, która mieszkała koło Dębicy. Rodzina Kosturkiewiczów miała wiele córek, które jako mężatki za dygnitarzami, oficerami, przyjeżdżały do matki do Rudy. Do kościoła zajeżdżały powozami, bo dwór był daleko. Panie szły w kościele do kolatorskiej ławki, a panowie zostawali w zakrystii i tam romansowali. To były piękne czasy.

A teraz szkoła. Kierownik Józef Goralach, dawny legionista, był kawalerem, przystojnym mężczyzną o szpakowatej głowie. Pięknie grał na skrzypcach, był dobrym nauczycielem i kierownikiem, stale chodził na hospitacje i instruował mnie, jak należy uczyć. Nie umiałam tego, ponieważ w czasie studiów w seminarium przeprowadziłam tylko kilka lekcji. Dlatego całe życie kupowałam książki o treści pedagogicznej i douczałam się. Kierownik Goralach był bardzo towarzyski, stale byli goście, proboszcz, dwór, koledzy np. pp. Popielowie z Łączek Brzeskich, to było małżeństwo bezdzietne, oboje piękni, pięknie mieli urządzone mieszkanie, bardzo mi imponowali.

Jak spędzało się czas? Poczęstunek, gry karciane. Kierownik zawsze siadał koło mnie i gapił się, a nie patrzył w karty, chciał mnie uczyć grać, ale nie pojmowałam zasad. Zaczął jawnie zalecać się do mnie. Ta druga koleżanka od lat była w Rudzie i od lat się w nim kochała. Ludzie różnie o tym mówili, ona cierpiała z tego powodu. Ja nie byłam kierownikiem zainteresowana, on później się z nią ożenił. Przyjęcia u kierownika były bardzo miłe, panowie weseli, prawili komplementy o oczach, uszach. Byłam młoda, w miarę ładna i budziłam zainteresowanie, ale nie tylko wyglądem zewnętrznym, bo miałam duże poczucie humoru, umiałam dowcipnie mówić i podniecona potrafiłam wielkie towarzystwo bawić, choć nie mówiłam kawałów, do których nie mam pamięci. Lubiłam taki finezyjny humor, który teraz rzadko mnie nawiedza, bo młodość dawno minęła, nie mam towarzystwa, jestem smutna i nie mam z kim porozmawiać. Zawsze ceniłam u ludzi mądrość, a prawdziwa mądrość prawie zawsze łączy się z dobrem i pięknem.

Koleżanki moje również urządzały przyjęcia. Wszystkie artykuły żywnościowe kupowaliśmy w Radomyślu Wielkim, do którego było ze dwa kilometry. Wędliny były niesmaczne, a ciastka kupowałam u Żydówki Cyrli, w tym sklepie był bardzo dobry i wysoki biszkopt, taki jak w Mielcu. Z wujciem Tadzkiem i wujką jadaliśmy go popijając wodą sodową, u Bensjera, przy naszej ulicy w pobliżu, rynku. Gdy miałam gości, podawałam wędliny z musztardą i ciastka. Na moje imieniny (24 czerwca, św. Jana Chrzyciela), przychodziło kilkanaście osób. Podawałam wędlinę, na gorąco kogutki (dziś się mówi kurczaki) z mizerią, nowe ziemniaki, co w tym czasie było rarytasem. Tort ponczowy zamawiany był w cukierni Mateusza Weryńskiego, który miał cukiernię w tym miejscu, gdzie dziś jest restauracja „Myśliwska.” Zapraszana byłam do Łączek Brzeskich do pp. Popielów, o których już pisałam, i do Janki, koleżanki pochodzącej z Tarnowa. Była to osoba bardzo inteligentna, oczytała, już starsza, bardzo mnie lubiła i tak mi mówiła i pisała: Ty moja Litwinko! (z powodu włosów), Ty moja Brazylijkko! (z powodu oprawy oczu). Wiosną i jesienią długo spacerowaliśmy wieczorami, chłód, opary rozciągały się nad łąkami, zapach pól, blask księżycy. Życie było piękne, bez lęku, bez większych konfliktów.

Częścią życia towarzyskiego nauczycieli były konferencje rejonowe, na których prowadziło się lekcje w wyznaczonej szkole. Po lekcjach była dyskusja, a potem spotkanie towarzyskie ciepłe, wesole, bo przyjeżdżało wielu nauczycieli. Późnym wieczorem powróć do domu furmanką przez lasy hr. Reja. Drzewa pachniały, świeciły robaczki świętojańskie. Pamiętam taką konferencję rejonową w Golezowie. Uczyla tam moja koleżanka z Mielca, Helena Leyko, córka burmistrza. Przyjęcie urządzone przez pana burmistrza i jego małżonkę było bardzo piękne, obrusy śnieżnobiałe, stare srebro stołowe, pączki, które bardzo lubię. Byłam zadowolona, że mieszczanie z Mielca tak się postawili, ot taki lokalny patriotyzm.

W Rudzie przeszedł nauczycielski chrzest bojowy, bo przeżyłam pierwszą wizytację inspektora szkolnego z Mielca - pana Pawłowicza. W Rudzie pewne klasy uczyły się w szkole, a młodsze w wynajętej od chłopca izbie, mówiło się „za mostem,” bo ten dom stał za mostem nad rzeczką. Pamiętam jak inspektor badał, czy w klasie pierwszej dzieci umieją czytać. Dzieci uczą się tekstu na pamięć, więc on zakrywał część wyrazu i kazał czytać; tę metodę przejęłam od niego i zawsze tak sprawdzałam czytanie dzieci w klasie pierwszej. Uczyć małe dzieci to wielka sztuka, bo musi człowiek zniżyć się do ich poziomu, musi zawsze być w dobrym nastroju, mieć dużo cierpliwości i dobroci, bo dzieci się boją. Dzieci wówczas były biedne, bo wieś była biedna, przeludniona, a żyła tylko z ziemi. Dzieciom dawałam ołówki, pióra, gumki, bo często nie miały za co kupić.

W roku 1933 w Rudzie miało miejsce zdarzenie dla mnie ważne. Jak do tego doszło, to dziś nie pamiętam. Oświadczyłam - chyba podczas konferencji, że na frontowej ścianie klasy najwyżej powinien wisieć Krzyż, a pod nim Orzeł Biały. Kierownik nie zgodził się na to i sprawa oparła się o Kuratorium Szkolne w Krakowie. Nie

otrzymałam żadnej nagany, ale na egzamin praktyczny przyjechał przedstawiciel z Kuratorium. Egzamin złożyłam z wynikiem bardzo dobrym, lecz pod koniec roku szkolnego zostałam wezwana do Inspektoratu Szkolnego w Mielcu, które mieściło się przy naszej ulicy w podwórzu w Starostwie, i zmuszono mnie do złożenia podania o przeniesienie „dla dobra szkoły” czyli dyscyplinarnie. Tak to za moje przekonania religijne musiałam pokutować, bo każda władza stosuje represje wobec swoich przeciwników, mnie też nie podobały się rządy Piłsudskiego, zresztą jak i wszystkie inne za mego życia.

Na skutek tej sprawy zapadłam na chorobę Basedowa, chora była tarczycą, zaczęłam tyć, nie spałam, płakałam i bolały mnie nogi, tak jakby mi kto wbijał gorące szpilki. W nogach, w kościach czułam gorąco, a nogi były zimne. Leczył mnie prof. Tadeusz Tempka, wielka sława, skończył gimnazjum za panowania Austrii w Krakowie z diamentowym dyplomem. Muszę opowiedzieć więcej o tym lekarzu, u którego w Krakowie leczyła się cała rodzina. Przyjmował w salonie, pokój bardzo duży, pełen obrazów, kwiaty stały w wazonach na podłodze, pamiętam mieczyki, wtedy to były bardzo rzadkie kwiaty. W jednym końcu salonu była leżanka (po każdym chorym zdejmował biały pokrowiec), w drugim końcu pokoju był parawan i tam oddawało się moc. Po jego zbadaniu zaraz rozpoznał chorobę i powiedział: „nie wolno się przejmować”, po czym zaraz dodał: „mnie dobrze mówić, pani gorzej wykonać”. Musiałam codziennie mierzyć szyję, bo rosło wole. Kładłam dwa palce u nasady szyi, z przodu powinnam mieć 42 cm. Nie mogłam chodzić i przez wrzesień miałam urlop zdrowotny, jedyny podczas 46 lat pracy nauczycielskiej. Później jeszcze się u prof. Tempki leczyłam, ale miał już gabinet lekarski. Zbadał mnie i powiedział: „Pani ma pot twarzy i pot ciała, tego nikt nie zauważy tylko lekarz”. Tatusia leczył na serce, Broniek zawsze płacił honorarium, chyba 30 zł. Pierwsza żona jego była gruba, umarła, a druga co roku daje za Jego duszę na dwie Msze Św. na Wawelu i w Tyńcu, zawsze jest nekrolog w „Tygodniku Powszechnym”. Skoro piszę o lekarzach, to wspomnę jeszcze dr Gawendę z Mielca, który nas leczył, mnie i Marysię, w okresie dojrzewania. Zawsze w kościele robiło się nam niedobrze, ciemno w oczach i tylko upaść. Lekarz kazał nas dobrze odżywiać i zalecił, abyśmy od 5 do 20 minut leżały na słońcu.

Nie napisałam o ważnej sprawie z lat dziecińczych i młodzieńczych, kiedy jeszcze byłam w domu. Co wieczór była wspólna długa modlitwa przed Matką Boską, Mamusia prowadziła, ale jej nie zapamiętałam. Gdy opowiadałam o latach 1918-1929, pominęłam ważny fakt historyczny, jakim był „Cud nad Wisłą” 15 sierpnia 1920 roku. Pamiętam, jak ochotnicy jechali na wojnę z bolszewikami. Byłam już dużą dziewczyną, miałam 10 lat. Orkiestra Straży Pożarnej szła przez miasto, my dzieci z „górk” wybiegłyśmy na ulicę, widząc tłumy, ludzie idą ławą całą szerokością ulicy, muzyka gra, obywatele starzy i młodszy i dzieci odprowadzają ochotników na dworzec kolejowy. Z naszej „górk” poszedł na wojnę Paweł Wanatowicz, syn brata dziadka Wanatowicza, wujka Stacha Wanatowicza. Z wojny Paweł wrócił szczęśliwie. Z tym czasem związana jest piosenka żołnierska pt. „Rozkwitają pąki białych róż,” nasza ulubiona piosenka młodości, którą nawet parodiowaliśmy w ten sposób: „rozkwitają pąki białych róż”, a solowy głos dodawał: „w cylindrze”.

Pominęłam także i to, że po maturze byłam z wycieczką szkolną na Powszechną Wystawę Krajową w 1929 r. w Poznaniu (jest zdjęcie w albumie). Z Poznania pojechaliśmy nad Morze Bałtyckie. Pamiętam, że pewnej nocy szliśmy wszyscy piechotą przez las, bo nie było pociągu, nie było jeszcze torów kolejowych. We wsi Gdynia ulokowano nas w baraku drewnianym, długim, szerokim. Spałyśmy na pryzkach i obsiadły mnie wszy. Każdego ranka i wieczora był apel, wciągano sztandar Polski przy śpiewie: rano - „Hymn Bałtyku,” wieczorem - „Słońce znów zaszło z gór, zaszło z mórz, Bóg jest tu! Bóg jest tu!”. Jest w moim albumie zdjęcie z tego pobytu nad morzem.

(Cdn.)

# Przeclawskie wspomnienia

z życia Teofila Lenartowicza ur. 20. 5. 1928 r.  
w Katowicach. Dotyczą Przeclawia i Ziemi Mieleckiej,  
które pozostały moją Małą Ojczyzną, do której zawsze  
wracam i za nią tęsknię - napisane w latach 1997-2005  
cz. IX

## W WARSZAWIE NA NOWOGRODZKIEJ

Do Warszawy pojechałem wieczorem w przeddzień wyznaczonego terminu. W tamtych czasach nie jeździło się tak jak obecnie. Wprawdzie tory kolejowe były już zwięzione i jeździły po nich pociągi osobowe, to jednak były one przerobione z wagonów towarowych. Do Warszawy jeździło się przez Lublin i były dwie przesiadki w Rozwadowie i Lublinie, gdzie na pociąg czekało się od dwóch do czterech godzin. Pociąg tak do Lublina jak i do Warszawy był niezmiernie przepełniony, więc jechałem na stojąco. Martwiłem się po drodze czy dojadę na czas. Egzamin rozpoczął się o godzinie 9-tej, ale przedtem należało pozatapiać formalności w sekretariacie. Pociągiem dojechałem na Dworzec Wschodni, a stamtąd tramwajem do Śródmieścia. Na szczęście nie musiałem szukać ulicy Nowogrodzkiej, bo zaczynała się zaraz przy skrzyżowaniu Marszałkowskiej z Alejami Jerozolimskimi, a pod numerem 45 znajdowała się poczta główna, dokąd właśnie jechałem. Znalazłem się tam około pół godziny przed egzaminem, więc czasu pozostało niewiele. Okazało się, że ponieważ mój rocznik był poborowy do wojska, to musiałem uzyskać zgodę referatu wojskowego. Wprawdzie referat wojskowy był w tym samym budynku, ale budynek był duży i musiałem sporo się nabiegać zanim trafiłem do właściwego człowieka. Całe szczęście, że miałem przy sobie książeczkę wojskową z odpowiednim wpisem. Po uzyskaniu parafki, natychmiast pobiegłem na salę egzaminacyjną.

Była to ogromna sala, na której wszyscy już pisali zadania egzaminacyjne. Dostałem kartkę z pytaniami i usiadłem w ławce. Zanim jednak wziąłem się za rozwiązywanie zadań musiałem nieco ochłonąć, bo byłem zaspany i spocony. Egzamin był z matematyki i należało rozwiązać 3 zadania. Pierwsze było działaniem rozwiązania piętrowego ułamka, o których w szkole nie uczyłem się. Nie wiedziałem jak się do tego zabrać, bo po raz pierwszy w życiu zobaczyłem takiego dziwoląga. W szkole, którą ukończyłem za okupacji nie było czasu na naukę, o czym pisałem w poprzednich rozdziałach, więc pomyślałem sobie, że najpierw rozwiążę to co jest w liczniku i mianowniku, a później pomartwię się dalej. Tak też zrobiłem i wyszedł mi z tego piętrowy ułamek. Na tym moje wiadomości matematyczne kończyły się i dalej nie byłem w stanie sobie poradzić, albowiem było to poza zakresem mojej okupacyjnej edukacji szkolnej. Ponieważ nie wiedziałem, co z tym zrobić, więc zagadnąłem o to sąsiada z boku. Popatrzył i powiedział, przemóż środkowe i skrajne przez siebie i wpisz wynik. W tym momencie egzaminator zauważył, że on odwraca się do mnie, podszedł do niego i na jego zadaniu zrobił parafkę. Zrozumiałem, że dla tego chłopca był to już koniec egzaminu. Dzięki jego pomocy rozwiązałem swoje zadanie i jak dzisiaj pamiętam wynik, wyszedł dwa. Są takie chwile w życiu, których człowiek nigdy nie zapomni i tak było w tym wypadku, bo nigdy o tym nie zapominałem. Ucieszyłem się, bo równa dwójka świadczyła, że zadanie rozwiązałem dobrze.

Następne zadanie było z algebry, o której nie miałem zielonego pojęcia. Wprost nie mieściło mi się w głowie jak można

dodawać, odejmować, mnożyć i dzielić przez siebie jakieś litery „a” „b” czy też „c”. Nie wysiłałem się nad tym i z rozbrajającą szczerością napisałem pod zadaniem, że się tego nie uczyłem, bo to była prawda.

Ostatnie zadanie było z geometrii, a pytanie brzmiało „ile wynosi przeciwprostokątna w trójkącie prostokątnym, jeśli jedna przyprostokątna posiada 3 cm, a druga 4 cm?” Tutaj moje wiadomości też nie były na tyle wielkie, aby wiedzieć, że jest to trójkąt pitagorejski, w którym suma kwadratów przyprostokątnych równa jest kwadratowi przeciwprostokątnej i że wystarczy zrobić proste działanie o pierwiastkowaniu. Oczywiście jest, że się tego nie uczyłem i nawet nie znałem takiego znaku jak pierwiastek. Wpadłem jednak na następujący pomysł. Kartka, na której pisałem była z kratkowanego papieru, więc narysowałem ten trójkąt na papierze, a następnie odwinąłem róg kartki i zmierzyłem długość przeciwprostokątnej. Zmierzona długość wynosiła 5 cm i tak napisałem w odpowiedzi.

Następnie mieliśmy 1-godzinną przerwę, a po przerwie dyktando z języka polskiego i jakiś polityczny temat o PRL-u. Z dyktanda nie miałem wątpliwości, że napisałem dobrze. Podobnie z wypracowaniem o PRL-u, gdyż zawsze potrafiłem dobrze budować zdania i pisać rzeczowe opowiadania. Była to zasługa mojego nauczyciela z Katowic, pana Jędrusika, który dużo czasu poświęcał na samodzielne pisanie przez uczniów własnych opowiadań i wypracowań szkolnych. Stąd nie obawiałem się o część egzaminu z języka polskiego, natomiast z matematyki byłem pewien, że oblałem, bo przecież samodzielnie nie rozwiązałem prawidłowo żadnego zadania. To pierwsze z matematyki może było dobre, ale nie samodzielne. Drugiego nie rozwiązałem wcale, a na trzecim wpisałem tylko wynik bez żadnego uzasadniającego działania i dlatego nie liczyłem, że się zakwalifikowałem i myślałem raczej o tym, jak wrócić do domu. Tym bardziej, że okazało się, iż jest to egzamin uzupełniający. Mówiono, że wcześniej był już egzamin, a teraz mają dobrnąć tylko kilka osób.

Po południu wywieszono listę tych, którzy nie zdali i mieli zgłosić się do sekretariatu po odbiór papierów i podbicie delegacji. Ci mogli zaraz jechać do domu. Jakież było moje zdumienie, kiedy wielokrotnie wertując listę nie znalazłem swojego nazwiska, więc czyżbym został przyjęty? Jeśli tak, to co zdecydowało o tym fakcie? Przecież większość tych, którzy nie zdali, byli starsi ode mnie i zapewne lepsze pokończyli szkoły, a kilku miało po jednej i więcej klas gimnazjum. Poszedłem do sekretariatu, aby to wyjaśnić, ale pani kazała mi chwileczkę poczekać. Za chwilę wyszła i wyczytała tych, co zdali wręczając każdemu karteczkę, z którą mogli pójść do bursy szkolnej na ulicę Żelazną. Mieliśmy tam przenoćować i następnego dnia zgłosić się na ustny egzamin. Stałem z tą karteczką w rękę i nie wiedziałem, co o tym sądzić. Wprawdzie nie wierzyłem w cuda, ale w tym wypadku Opatrzność Boska niewątpliwie musiała zadziałać. Innego wytłumaczenia nie widziałem.

Dostaliśmy obiad, gdyż w podziemiach budynku była stołówka i poszedłem z kilku innymi do bursy. Po nieprzespanej nocy i tylu wrazeniach, nawet bez kolacji zasnąłem jak zabity i przespałem całą noc. Jeszcze nie całkowicie docierało do mnie to, co się wydarzyło. Następnego dnia to właściwie nie był już egzamin tylko rozmowa. Chciano się ogólnie zorientować, kim jesteśmy i co mamy w głowach. Chyba jeszcze po tych rozmowach kilku odpadło, a reszta została przyjęta.

Był koniec sierpnia, a do rozpoczęcia roku szkolnego pozostało zaledwie kilka dni. Jechałem szczęśliwy do domu, ale cały czas kłębiły się we mnie myśli z ostatnich wydarzeń. Jeszcze nie docierało do mnie, że to wydarzenie stało się ogromnym zwrotem w moim życiu. Spełniały się wprawdzie moje marzenia o nauce, ale co będzie dalej? Jak Mama poradzi sobie sama?

Kiedy przyjechałem do domu i powiedziałem swoją radosną wieść, Mama ucieszyła się, a jednocześnie zaraz po tym była smut-



na. Najwyraźniej czuła swoim kochającym sercem, że mnie traci. Być może podświadomie już wtedy wiedziała, że nigdy do niej na stale nie wrócę. Pożegnałem się na poczcie z Sobotą. Miał na moje miejsce Mariana Nowaka mojego kolegę. Moją pensję i inne świadczenia Sobota miał wypłacać mojej Mamie, gdyż cały czas miałem pozostawać na etacie poczty w Przecławiu. Pożegnałem się z kolegami, wzięłem niezbędną odzież, przedmioty osobistego użytku i 1 września 1949 roku pojechałem do Warszawy.

Jadąc 1 września 1949 do Warszawy, byłem na nowym zakręcie życia. Wojna zaczęła się 1 września 1939 i wtedy właściwie przestałem się uczyć. Teraz, kiedy przystępowałem do nauki był 1 wrzesień 1949 roku. Z porównania dat widać, że wojna bezlitośnie wyrwała mi 10 lat najpiękniejszego okresu życia. Skutki tej haniebnej wojny trwały od 11-go do 21-go roku mojego dziecięcego i młodzieńczego życia. Głód, ciężka praca i wszystkie nieszczęścia musiały odcisnąć się negatywnie na mojej psychice. Nie zaznałem czułości, byłem nieufny i często miałem poczucie zagrożenia. Byłem przesadnie oszczędny, którą to cechę wyrobiłem sobie chowając kawałek placka pod poduszkę wieczorem, aby zjeść go później. Do dzisiejszego dnia pamiętam, jak bardzo smakowała mi kawa zbożowa bez sacharyny, lecz z cukrem, którego odrobinę Ojciec przyniósł pewnego razu do domu. Nie wyobrażałem sobie wyrzucenia koszuli po zniszczeniu kołnierzyka, który Mama przenicowywała na drugą stronę, gdyż nowej koszuli nie było. Wpływ środowiskowy, także musiał się odbić na mojej psychice. Może tylko opatrność uchroniła mnie przed większymi nieszczęściami, bo czyż branie udziału w na ogół niewinnych bójkach nie mogło skończyć się tragicznie. Pamiętam jak jeszcze w Katowicach Mama prosiła Ojca mówiąc: „Nie jedźmy do Przecławia”. Tak mówiła, ale któż wie jaki byłby nasz los gdybyśmy ze Śląska nie wyjechali. Mnożą się pytania a losem rządu przypadek, bo czyż nie przypadek zrzucił, że przetrwałemy trudy okupacyjnego życia? Oprócz przypadku tylko wpływ Mamy i Soboty zdecydował, że stałem się człowiekiem jakim byłem.

Stałem teraz przed nową drogą życia. Jakie ono będzie, i co mi przyniesie? Wtedy jednak nie zagłębiałem się zbyt daleko w tego typu rozważania. Rwałem się do nauki i w niej pokładałem swoje nadzieje. W nauce widziałem swoją szansę i jej poświęciłem następne dwa lata młodzieńczego życia.

Razem z innymi ulokowano mnie w bursie przy ulicy Żelaznej. Mieścił się tam urząd celny Warszawa 10, a u góry na 3-cim piętrze znajdowała się nasza bursa. Była to przez całą długość budynku ogromna długa sala. Po obu stronach sali mieściło się 70 piętrowych łózek. Tym sposobem mieszkało na jednej sali 140 chłopców. Wzdłuż sali stało 8 stołów, gdzie można było coś zjeść, lub się uczyć. Mieszkali tu chłopcy ze wszystkich klas technikum telekomunikacyjnego i pozostałych. W mojej klasie uczyło się 40 chłopców, ale na bursie mieszkało tylko około 30-tu, gdyż pozostali byli z Warszawy i okolic. Ci ostatni nie musieli korzystać z bursy. Na sali nie było szaf, więc wszystko co mieliśmy z rzeczy osobistych znajdowało się w walizkach pod łózkami i w małych szafeczkach przy łózkach. Obok łózek stały także wieszaki, na których wisała odzież. Tłok był niesamowity.

Zająłem sobie parter łózka, gdzieś w połowie sali. Skombinowałem deskę, która położona w poprzek łózka stanowiła blat stołu, na którym w pozycji półleżącej mogłem się uczyć a nawet pisać. Każdy miał swoje krzesło, na którym też można było coś położyć, lub powiesić odzież.

Fakt, że mieszkaliśmy w takim tłoku miało też swoje dobre strony, gdyż uczyliśmy się zespołowo i zawsze było można się kogoś zapytać, lub coś wyjaśnić.

Materialnie można było wytrzymać. Mama w Przecławiu dostawała moją pensję, a mnie nauka nic nie kosztowała. Na dodatek dostawaliśmy darmowe śniadania i obiady. Niektórzy chłopcy byli już żonaci i mieli dzieci. Kilku było bardzo sprytnych i oblatanych

w załatwianiu różnych spraw. Poszli z delegacją naszego kursu do ministra PPTiT i wyzebrali kieszonkowe, jako ekwiwalent za kolację. Wypłacano nam to każdego miesiąca i było dużą pomocą dla wszystkich. Dostawaliśmy oprócz tego pomoce naukowe i umundurowanie.

Kilku chłopców było podobnie zawziętych do nauki jak ja i choć startowaliśmy z niższego poziomu wiadomości, szybko nadrabialiśmy zaległości. Pomiedzy poszczególnymi uczniami były duże różnice tak w wieku jak i w poziomie wykształcenia. Rozpiętość wieku wynosiła od 18 do 35 lat, a kilku starszych miało ukończone dwie klasy gimnazjum. Już pod koniec pierwszego roku nauki przedmioty takie jak matematyka, fizyka, czy elektrotechnika przestały sprawiać mi trudności. Odrobiłem zaległości i niepotrzebna mi była niczyja pomoc. Odtąd już do mnie przychodzili ci starsi kolekdzy porównywać z moimi swoje zadania. Wkrótce ci słabi, lecz pilni przewyższali wiadomościami tych, którzy mieli kilka klas gimnazjum, a nie chcieli im się uczyć. Najgorsze było to, że o 22 godzinie gaszono na sali światło i musiała być cisza. Brałem wtedy książkę, lub zeszyt i siedłem na klatkę schodową albo do ubikacji i tam się uczyłem. Czyniłem coraz większe postępy w nauce i wkrótce odrobiłem zaległości. W szczególności polubiłem elektrotechnikę, która w powiązaniu z trygonometrią i liczbami urojonymi dawała ogromną satysfakcję w rozwiązywaniu zadań na prądach zmiennych. Miałem „bzika” na punkcie tych zadań, a szczególnie takich gdzie wyniki mogłem porównywać z wykresami działającymi w różnych kierunkach wektorów.

Jak to zwykle bywa jedni uczyli się mniej inni więcej, ale nie było między nami tego typu leni, którym wcale nie chciało się uczyć. Byli jednak tacy, którym nauka nie wchodziła do głowy, lub przy odpowiedzi zapominali języka w gębie.

Do sukcesów w nauce w dużym stopniu przyczyniły się świetnie działające pracownie i warsztaty szkolne, gdzie wyniki w nauce mogliśmy praktycznie sprawdzić. Do wysokiego poziomu tej szkoły przyczynili się wykładowcy. Nie byli to wykładowcy, którzy „odbębnił” lekcje według narzucanego programu. Im zależało żeby nas nauczyć. Często prosiliśmy o dodatkowe wyjaśnienia niektórych zagadnień na lekcji, lub w pracowni. Zawsze wtedy wykładowca pozostawał z nami dłużej, lub umawiał się z nami po lekcjach. Nie sądzę, aby za stracony z nami czas mieli płacone.

Wychowawcą naszej klasy był starszy pan nazwiskiem Major. Wykładał nam elektrotechnikę. Mówił niewyraźnie, tak jakby miał kluski w gębie. Początkowo nie rozumieliśmy go, ale po kilku lekcjach okazało się, że ten człowiek potrafi trudne sprawy z elektrotechniki tak obrazowo wyłożyć, że tuman by zrozumiał. Słuchaliśmy go z otwartymi gębami i bardzo lubiliśmy jego lekcje.

Jeśli później już pracując porównywałem swoje wiadomości z tej dziedziny z wiadomościami techników, oficerów, którzy w wojsku pokończyli szkoły łączności, to w zakresie elektrotechniki miałem lepiej utrwaloną wiedzę.

Pamiętam jak jednego razu poprosiłem opiekuna klasy, pana Majora o przepustkę na wyjazd w święta do domu. Musiałem zabrać kilka lekcji, a była w nich także elektrotechnika. Major był naszym wychowawcą, więc na każdy taki wyjazd potrzebna była jego zgoda. Dostałem przepustkę, ale polecił mi nauczyć się lekcji, na których nie będę. Pokazał mi tą lekcję w książce. Po moim powrocie ze świąt wywołał mnie pierwszego do tablicy. Pytał mnie z lekcji, na których nie byłem i jak dzisiaj pamiętam, były to lekcje o magnetyzmie. Nie były to lekcje trudne, więc na wszystkie pytania dokładnie odpowiedziałem. Uczylem się tego jadąc w pociągu. Postawił mi wtedy w dzienniku najwyższy stopień „5” i nigdy mnie więcej nie wywoływał do tablicy. Nie zawiódł się na mnie, bo na egzaminie końcowym byłem jedynym, który wszystkie zadania z elektrotechniki rozwiązał bezbłędnie. Zostało mi jeszcze tyle czasu, że rozwiązania podparłem komentarzem i wykresami, co było poza zakresem egzaminu. Dużą satysfakcję sprawił mi

## WSPOMNIENIOWE NADWISŁOCZE

fakt, że przed całą klasą wymienił moje nazwisko i pokazał moje rozwiązanie zadań na tablicy.

Sukcesy swoje w nauce okupiłem tym, że w pierwszym roku szkolnym nie byłem nawet w kinie. Byli wśród nas tacy, którym wydawało się, że wszystko umieją. Popisywali się i wrywali do odpowiedzi, ale w rezultacie byli miernymi uczniami. Jeśli idzie o mnie, to sądzę, że zachowywałem się skromnie nie afiszując się wiadomościami. Nie wybiegałem przed szereg. Po roku nauki, to ja uczyłem innych, a mając dobre podstawy z elektrotechniki bez trudu przyswajałem sobie zagadnienia zawodowe z telefonii, telegrafii i kilku innych.

Rano do szkoły chodziłem zawsze pieszo. Z bursy na Żelaznej do Nowogrodzkiej było niedaleko. Szedłem sobie spacerkiem alejami, a następnie skręcałem w Piękną i już byłem przy głównej poczcie na Nowogrodzkiej. Idąc rozpoznawałem po pewnym czasie ludzi, którzy podobnie jak ja, o tej samej porze szli do pracy w przeciwnym kierunku.

Będąc na drugim roku zacząłem coraz więcej rozglądać się po Warszawie. Gruzy szybko znikaly, ale kwadrat północno zachodni Śródmieścia pomiędzy Marszałkowską a Alejami Jerozolimskimi był całkowicie nieczynny. Było to jedno wielkie gruzowisko, na którym nie było żadnego ruchu. Nie chodziło się tam, gdyż było bardzo nieprzyjemnie i niebezpiecznie. Było tak łącznie z placem, na którym stoi obecnie Pałac Kultury.

Nasz budynek z bursą przy Żelaznej stał, a wokół niego rozpościerała się gruzowa pustynia. Był to okropny widok i gdy się na to patrzyło, czuło się śmierć, pomimo tego, że było już 5 lat po wojnie.

Ulicą Nowogrodzką jeździła wtedy szynowa kolejką WKD. Początkowo jeździła od ulicy Marszałkowskiej, ale później przystanek przesunięto za ulicę Poznańską. Latem w niedzielę jeździliśmy tą kolejką do Włoch. Gdzieś przed Włochami były dzikie gliniarki. Wsiadaliśmy tam i zażywali kąpeli. Była tam cisza, spokój i prawie nie było ludzi. Pojechałem tam pierwszy raz z kolegami pochodzącymi z nad mazurskich jezior. Ci chłopcy świetni pływacy powskakiwali do wody i popłynęli. Wskoczyłem za nimi, ale przeceniłem swoje siły, bo na środku glinianki osłabłem. Przestraszyłem się, bo wokół mnie nie było nikogo, ale na szczęście nie straciłem zimnej krwi. Do brzegu przed sobą i za sobą miałem ponad 100 metrów, a płynący chłopcy wychodzili już na drugim brzegu z wody. Skręciłem do najbliższego brzegu, dokąd miałem około 50 metrów i tam zacząłem płynąć. Płynąłem stosując wyuczone w Wisłoce style, próbując na wznak, aby nieco odpocząć, ale coraz częściej nabierałem w płuca wody. Z trudem udało mi się dopłynąć. Byłem taki osłabiony, że nie mogłem na brzeg wyjść. Brakowało mi doświadczenia. Nie wiedziałem, że inaczej pływa się na wodzie płynącej w rzece, a inaczej na wodzie stojącej w jeziorze. Zawsze pływałem tylko w Wisłoce, gdzie woda sama mnie niosła i nie trzeba było wiele rękami pracować. Poza tym nie wszędzie była głęboka i w razie potrzeby można się było nogami podeprzeć.

W wakacje miałem 1-miesięczną praktykę. Skierowano mnie do Lublina, gdzie praktykowałem na stacji dalekopisów. Moja praca polegała na usuwaniu drobnych defektów dalekopisów. Uczyłem się wykonywania pomiarów poziomów przenoszenia sygnałów pomiędzy poszczególnymi stacjami i wykonywałem inne czynności. Mieszkałem tam z kolegą w jakichś opustoszałych przez wakacje barakach. Spaliśmy na słomianych siennikach, na których oblaży nas wszy. Gdy przyjechałem do domu Mama musiała całą moją odzież i bieliznę gotować i dezynfekować.

Rozpoczął się drugi rok nauki, a jeszcze gruzów w Warszawie nie brakowało. Lata po wyzwoleniu były latami odgruzowywania zniszczonej przez Niemców Warszawy. Słynne były ówczesne hufce pracy. Jechały do Warszawy całe pociągi młodzieży z hasłem na ustach „cała młodzież odgruzowuje swoją stolicę”. Wśród mło-



*Warszawa rok 1950. Widok u zbiegu ulic Żelaznej i Chmielnej. W środku u góry autor tekstu.*

dych ludzi panował entuzjazm, wszyscy rwali się do pracy. Poprzez Związek Młodzieży Polskiej (ZMP) działała komunistyczna propaganda. Na 1-go maja i 22 Lipca (święto odrodzenia tzw. PKWN) młodzież paradowała w pochodach ze szturmówkami w czerwonych krawatach. Młodzież bawiła się na licznych festynach i zabawach. Festyny ludowe organizowane były na większych placach stolicy w tym na Mariensztacie, MDM-ie, Bielanych i innych.

Po tylu latach od tamtych czasów nie jestem w stanie przypomnieć sobie wszystkich nazwisk kolegów, pomimo że ich twarze przypominają mi wiele różnych zdarzeń, oraz usposobień tych chłopców, z którymi przez dwa lata, dzień w dzień przez całą dobę miałem do czynienia.

Z kolegami, z którymi się zadawałem, byli to Aleszczyk Robert, Wesołowski, Edek Soszyński, Andrzej Lemanowicz, Heniek Wojdat i kilku innych. Najwięcej jednak przyjaźniłem się z Edkiem Soszyńskim. Nie mieszkał on w bursie, lecz przy ulicy Żąbkowskiej na Pradze. Wraz ze swoją siostrą Haliną mieszkał w jednym pokoju przy jakiejś rodzinie. Halina pracowała w spółdzielni krawieckiej „Miś” przy ul. Brackiej i miała dużo koleżanek. Często latem zabierała swoje koleżanki i wszyscy razem jechaliśmy na Bielany lub gdziekolwiek. Jazda na Bielany była zawsze wielką atrakcją. Jeździliśmy tam w niedzielę. Od Śródmieścia na Bielany jechało się całą godzinę przepełnionym do rozpuku tramwajem. Z powrotem było trudno się na tramwaj zabrać, więc część drogi pokonywaliśmy pieszo. Na Bielanych wśród zieleni postawiona była ogromna podłoga na której grała orkiestra i można było tańczyć. Niestety z żadną z dziewcząt nie tańczyło mi się tak dobrze jak z Miłą w Przecławiu.

Ciekawie żyło się w bursie, w takim ogromnym skupisku na jednej sali. Kolację przyrządzaliśmy sobie sami, ale nie było wyznaczonego miejsca do gotowania. Nikt też nie miał elektrycznej kuchenki do gotowania, których nie wolno było używać. Do zagotowania wody na herbatę stosowaliśmy dwie żyłki odizolowane od siebie kawałkiem drewna. Do żyłek podłączało się prąd z gniazdka i taką prymitywnie spreparowaną grzałkę wkładało się do garnuszka z wodą. Po chwili woda wrzała i można było zaparzać herbatę. Często z tego powodu wysiadało światło i musieliśmy naprawiać. Naprawa polegała na wmontowaniu grubego drutu w bezpiecznik, lub wprost do instalacji. Nikt w tamtych czasach nie myślał o bezpieczeństwie.

Czasem jeździłem do Edka Soszyńskiego na Pragę. Podróż tramwajem trwała długo, gdyż około godziny w jedną stronę. Jechałem przez most Śląsko-Dąbrowski, lub przez most Poniatowski. Jadąc tą drugą drogą obserwowałem ogromne wysypisko śmieci znajdujące się w miejscu gdzie obecnie stoi stadion X-lecia.

Edek wcześniej chodził do gimnazjum i w początkach nauki dużo mi pomagał, ale gdy byliśmy na drugim roku, to ja mu pomagałem w przedmiotach zawodowych. W domu nie miał on się z kim uczyć, więc trudniej mu szło. Ja mieszkając w bursie uczyłem się zespołowo, a on był tego pozbawiony.

Trzeba przyznać, że chłopcy, z którymi mieszkalem w bursie, to była kupa zapaleńców, gdyż wieczorami na tematy zawodowe toczyliśmy burzliwe dyskusje. Na drugim roku mieliśmy z zawodowych przedmiotów telefonię, telegrafię, napędy elektryczne, urządzenia zasilające i inne. Wchodziliśmy w tych przedmiotach w zakres radiotechniki i to właśnie na tym polu toczyliśmy dyskusje. Wyniki tych dyskusji przenikały na lekcje w postaci zadawanych pytań. Pytania te spowodowały, że poszerzono nam 2-krotnie program nauczania. Nie mieliśmy osobnego przedmiotu z radiotechniki i o ten właśnie przedmiot poszerzono nam zakres nauki. Tak zwane wzmacniaki (nie mylić ze wzmacniaczami) stawiane na łączach telekomunikacyjnych budowane były w oparciu o radiotechnikę. Były w nich układy lamp elektronowych, których działanie chcieliśmy dokładnie poznać.

Niektórzy z moich kolegów mieli już sporo praktyki na urządzeniach telekomunikacyjnych, gdyż pracowali na centralach telefonicznych i dalekopisach. Natomiast ja nigdy nie widziałem jak wygląda telefon w środku i do czego służą poszczególne jego elementy. Do praktycznego poznawania urządzeń służyły świetnie zorganizowane pracownie i warsztaty szkolne, gdzie można było zapoznawać się praktycznie ze wszystkimi ówczesnymi urządzeniami telekomunikacyjnymi. W pracowni dostawało się takie urządzenie z pewnym zaprogramowanym przez instruktora uszkodzeniem. Trzeba było to uszkodzenie zlokalizować, wykazać jakiego jest rodzaju i pokazać instruktorowi na schemacie, co jest uszkodzone. Była to szkoła z prawdziwego zdarzenia, gdzie można było wiele się nauczyć, a ja skrzętnie z tego korzystałem, co bardzo mi procentowało w późniejszej pracy zawodowej.

Gdzieś od połowy 2-giego roku szkolnego wiadomo było, że będę zwolniony od egzaminów końcowych. Miałem wysoką średnią stopni, a to obligowało do zwolnienia z egzaminów. Musiałem jednak zdawać z telegrafii, gdyż z tego przedmiotu za sprawą Szczepańskiego miałem niski stopień, a było to tak.

Wykładowca w ciągu roku zarządził sprawdzającą klasówkę, gdzie podając pewne parametry należało obliczyć siły działające na kotwicę elektromagnesów sterujących dalekopisem w systemie simplex i duplex. Wszystko obliczyłem prawidłowo, a nawet kredkami w kolorach wyznaczyłem wielkość i kierunek działania wektorów sił w elektromagnesach. Identycznie zrobił to siedzący obok mnie Szczepański. Odpisując ode mnie nie zmienił nawet koloru kredki. Oczywiście, że dwa identyczne wypracowania siedzących obok siebie uczniów musiały się rzucać w oczy. Na następnej lekcji, na wezwanie wykładowcy, żeby wstał ten, kto odpisywał, nikt się nie podniósł. Dotyczyło to Szczepańskiego, ale on był tak przerażony jak ja, gdy za okupacji leżałem w fasoli, a szwab strzelał ponad moją głowę. Obaj dostaliśmy z zadania ocenę „0” a następnie zostaliśmy wywołani do tablicy. Wybrnąłem z tego, gdyż odpowiedziałem na wszystkie pytania i dostałem 4-kę. Z takich dwóch ocen zera i czwórki średnia wychodziła 2, a więc dalej pozostawała dwójka. Później poprawiłem tą dwójkę, ale musiałem telegrafię zdawać.

Przed egzaminem końcowym z telegrafii dostaliśmy wszystkie pytania, na które należało znać odpowiedź. Było ich ponad 100. Ponieważ przygotowaliśmy się wspólnie i potrafiłem swoim ko-

legom wielokrotnie odpowiadać na wszystkie pytania, miałem to w małym palcu. Znałem odpowiedź na wszystkie pytania, ale oprócz jednego. Było to pytanie ponad nasz poziom i nikt prawdziwej odpowiedzi na to pytanie nie znał. Miałem jednak pecha. Wchodziliśmy po kilku na salę egzaminacyjną przed oblicze komisji. Pozostali stali na korytarzu pod drzwiami. Wszedłem na salę, wyciągnąłem losowo pytania i usiadłem w ławce, aby się przygotować. Z przerażeniem stwierdziłem, że wylosowałem pytanie, na które nie znałem odpowiedzi. Byłem podobnie przerażony jak w tej fasoli, gdzie leżałem z szwagrem, ale ja zamiast paść ze strachu pod ławkę, to dałem drapakę i wybiegłem na korytarz. Wiadomo było, że nikt nie był w stanie mi pomóc, koledzy pocieszyli mnie i poradzili wracać na salę. Tak też zrobiłem, bo innego wyjścia nie było. Przewodniczący komisji znacząco przywołał mnie paluszkiem do siebie. Oddaj pytanie i ciąg następne, powiedział. Musiałem się powstrzymać, żeby z radości nie podskoczyć do góry. Wyciągnąłem nowe pytania, a ponieważ przy tablicy nie było nikogo powiedziałem, że mogę od razu odpowiadać i poszedłem do tablicy. Dostałem z tej odpowiedzi 5-kę, ale za niesubordynację obniżono mi stopień o jeden punkt i na koniec miałem 4-kę.

Tak więc można mieć pecha, ale gdy się zna zagadnienie, to zawsze można wybrnąć, a ja materiał miałem utrwalony, albowiem sam wiele razy tłumaczyłem chłopakom trudniejsze zagadnienia. Pozwoliło mi to wyłowić wszystkie luki, jakie miałem w materiale i uzupełnić je. Miałem ogromną satysfakcję, kiedy po 2 latach nauki chłopcy, którzy na początku mnie uczyli przychodzili później do mnie po pomoc. Uważam że zdolności są potrzebne, ale prawdziwe efekty można osiągnąć tylko poprzez systematyczną ciężką pracę.

Naszą klasę stawiano w szkole za wzór. Prawdą było, że na naszą interwencję poszerzono nam program nauczania. Organizacja ZMP-wska triumfowała, że to dzięki jej inicjatywie mamy takie dobre wyniki w nauce. Przewodniczącym klasowego koła ZMP był Krzywonos i chociaż sam uczył się miernie to jednak najwięcej krzyczał. Potrafił świetnie upolitycznić nasze wyniki. Zapisał mnie do ZMP i w ten sposób byłem partyjnym i w dodatku ZMP-owcem. Wprawdzie moja partyjność ograniczała się jedynie do karteczki papieru z moim nazwiskiem w kieszeni sekretarza Mela w Przeclawiu, którą najprawdopodobniej zgubił w pijanym widzie, to jednak ja w ankiecie podawałem, że należę do partii. Nikt nie pytał mnie o legitymację, o przeniesienie do szkolnej organizacji, ani o płacenie składek członkowskich. Nie chodziłem na zebrania, nikt nawet nie rozmawiał ze mną na tego typu tematy. Sądziłem, że skoro się zapisałem, to samo to powinno wystarczyć. Czas pokazał, że wcale tak nie było, ale ja o tym nie wiedziałem.

Pod koniec nauki, a był to już 1951 rok chłopcy układali swoje plany na przyszłość. Większość wracała do swych macierzystych placówek, gdzie na centralach telefonicznych, dalekopisach czy budowach linii telefonicznych mogli pracować. Wrócili do swych domów i rodzin. Chłopcy ci całkowicie zaprzężeni byli tymi zagadnieniami, natomiast ja nie miałem pomysłu co z sobą zrobić. Nie mogłem już wrócić na pocztę w Przeclawiu i pracować jak dawniej w charakterze listonosza, gdyż musiałem pracować w wyuczonym w szkole zawodzie. Mogłem pracować tylko w mieście, a więc tam, gdzie były urządzenia telekomunikacyjne. Popularne wówczas były nakazy pracy, na mocy których absolwenci musieli odpracować 5 lat w miejscu i na stanowisku nakazanym przez ten nakaz. Absolwent podpisywał zobowiązanie, że po zakończonej nauce odpracuje 5 lat. Ja również takie zobowiązanie podpisałem.

Do zakończenia nauki było już niedaleko, a ja w dalszym ciągu nie miałem pomysłu gdzie chcę pracować. W tej sytuacji zdałem się całkowicie na nakaz pracy, czyli na los jaki on mi przyniesie. Wkrótce okazało się, gdzie mnie to zaprowadzi.

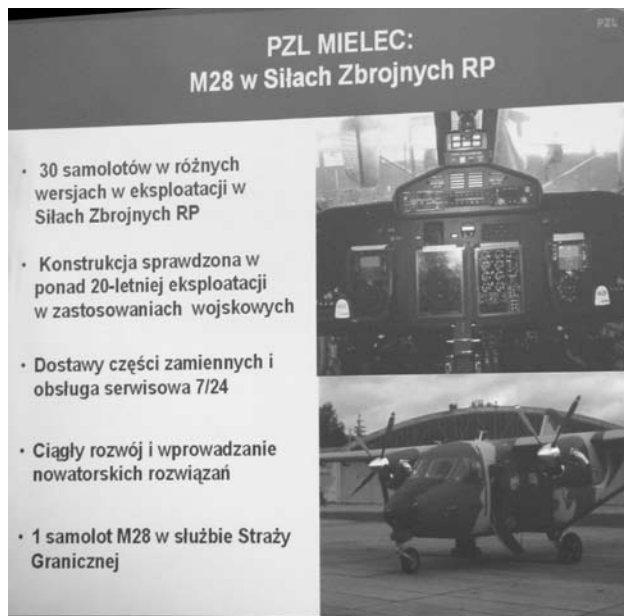
# Mielec z Polskimi Siłami Powietrznymi

SEMINARIUM O WSPÓŁPRACY PRZEMYSŁU Z POLSKIMI SIŁAMI POWIETRZNYMI NA PRZYKŁADZIE MIELCA

27 listopada 2010 r. w Pałacyku Oborskich, w salach Muzeum Regionalnego w Mielcu zorganizowano „seminarium o współpracy przemysłu z Polskimi Siłami Powietrznymi na przykładzie Mielca”. Organizatorem tej niezwykle ciekawej i bogatej treściowo konferencji byli: Prezydent miasta Mielca, Stowarzyszenie Promocji Polskiego Lotnictwa PROMLOT, Stowarzyszenie: Sieć Porozumienia Lotniczego AVIA-SPLOT, oczywiście przy finansowym wsparciu pozyskanych sponsorów.

W seminarium uczestniczyli m. in. Józef Smaczny - wicestarosta Powiatu Mieleckiego, dyrektorzy i prezesi różnych firm związanych z lotnictwem, piloci cywilni i wojskowi, konstruktorzy mieleckiej WSK, przedstawiciele lotnictwa wojskowego, instytucji lotniczych, uczelni. Jego otwarcia dokonał Janusz Chodorowski – Prezydent miasta Mielca, także kiedyś długoletni pracownik mieleckiej fabryki, który nawiązał do roli środowiskowych uwarunkowań, sprzyjających powstaniu mieleckiej lotniczej fabryki, później jej rozwojowi i obecnemu kształtowi. Prezydent z uznaniem odniósł się do faktu, że w Mielcu rozwija się przemysł lotniczy, ma sukcesy, a te sukcesy i dokonania będą także dobrze świadczyć o Mielcu.

Program konferencji przedstawił z kolei jej współinicjator dr inż. Zbigniew Działowski, prezes Stowarzyszenia AVIA SPLOT, który – jako pierwszego – do zabrania głosu zaprosił prof. dr. hab. Pawła Sorokę – przedstawiciela Polskiego Lobby Przemysłowego, który nawiązując do historii polskiego przemysłu lotniczego, powiązań z lotnictwem wojskowym, ukazał realia, które tym wszystkim sterowały. Dzień dzisiejszy – to sprywatyzowany przemysł lotniczy, w którego działalność władze państwowe nie mogą ingerować. Potrzeby lotnictwa wojskowego w zakresie sprzętu latającego, nowoczesnego sprzętu, wymagają takich rozwiązań, które w rezultacie spełniłyby oczekiwania wojska. W wypowiedzi profesora pojawiła się także koncepcja – nawiązująca do czasów E. Kwiatkowskiego – aby krajowy przemysł lotniczy w szerszym stopniu uczestniczył w unowocześnianiu polskiego lotnictwa woj-



Slajd z prezentacji do wykładu jaki wygłosił dr inż. Bogdan Ostrowski (fot. Włodzimierz Gąsiewski)



Dr inż. Bogdan Ostrowski podczas wykładu (fot. Włodzimierz Gąsiewski)



O aktualnych kierunkach rozwoju techniki lotniczej dla potrzeb PSP mówi dr hab. inż. Andrzej Żyłuk - Zastępca Dyrektora ITWL ds. naukowo-badawczych. Obok: dr inż. Zbigniew Działowski - prowadzący obrady seminarium, jego współorganizator (fot. Jacek Krzysztofik)

skowego, w tym także - być może - produkował samolot powstały na deskach kreślarskich naszych uczelni i instytutów badawczych. Aby tak się stało, potrzebna jest odpowiednia polityka Prezydenta RP, Sejmu, Senatu i rządu, stymulująca określone warunki ku temu. Następny referat, przygotowany przez Kazimierza Szaniawskiego - prezesa Stowarzyszenia PROMLOT (współorganizatora seminarium) i Edwarda Michockiego pt. „Przegląd samolotów produkowanych dla PSP przez mielecką wytwórnię lotniczą” zaprezentował zebrany Edward Michocki. W swojej wypowiedzi E. Michocki nawiązał do początków lotnictwa w Mielcu, później ukazał powstanie i działalność Państwowych Zakładów Lotniczych Wytwórni Płatowców Nr 2 w Mielcu, okres okupacji hitlerowskiej i produkcję na rzecz lotnictwa wojskowego III Rzeszy, by następnie przedstawić losy powojennej fabryki i dalszy jej rozwój, związany głównie z dużym zapotrzebowaniem na samoloty dla lotnictwa wojskowego. Wspominając o samolocie szkolno-treningowym TS-11 „Iskra”, przypomniał zebrany postać wybitnego konstruktora lotniczego prof. Tadeusza Sołytki. Mówił też o jednej z form popularyzacji lotnictwa w Mielcu jakimi są samoloty zamontowane na odpowiednich postumentach: An-2, TS-11 „Iskra” i „IRYDA”, a także ekspozycja samolotów w Polskich Zakładach Lotniczych Sp. z o. o. w Mielcu. Zakończył faktem, że Polskie Zakłady Lotnicze w Mielcu oprócz produkcji

samolotów i śmigłowców, podjęły współpracę z Instytutem Lotnictwa dotyczącą modernizacji foteli lotniczych.

Kolejny referat pt. „Aktualne kierunki rozwoju techniki lotniczej dla potrzeb PSP” wygłosił dr hab. inż. Andrzej Żyłuk – Zastępca Dyrektora ITWL ds. naukowo-badawczych w Warszawie. W swoim wystąpieniu zawarł trochę historii Instytutu Technicznego Wojsk Lotniczych, a ukazując obecny stan przedstawił jego strukturę organizacyjną, w tym mówił o uzyskaniu przez zakłady badawcze wielu uprawnień do certyfikacji. Wspominał na przykład o uprawnieniach do certyfikacji lotniskowych pasów startowych, co jest wykorzystywane przy komisyjnych odbiorach budowanych w Polsce dróg i autostrad. Instytut ma duży udział w przedłużaniu resursów sprzętu lotniczego użytkownego przez lotnictwo wojskowe. Także duży nacisk w Instytucie położono na rozwój własnego systemu informatycznego i projekty dot. komputeryzacji wyrobów lotniczych. Te opracowania i badania w tym zakresie są bardzo ważne m. in. przy eksploatacji wyrobów lotniczych, mają również istotny wpływ na bezpieczeństwo lotów. Instytut jest w stanie przygotowywać takie projekty i technologie lotnicze, które mogą konkurować z ofertami w tym zakresie prezentowanymi przez największe światowe koncerny i firmy lotnicze. Ze względu na oszczędności duże znaczenie ma modernizacja wyrobów lotniczych. Podał tu przykład Francji i Anglii, które modernizują swoje samoloty bojowe, wyposażając je m. in. w nowoczesny osprzęt i uzbrojenie. Instytut jest przygotowany, aby takie modernizacje proponować naszemu lotnictwu. Wspominał o propozycji modernizacji latających jeszcze „Iskier”, które winny być wyposażone na przykład w nowe fotele lotnicze, nowy silnik, systemy bezpiecznego opuszczania samolotu. Symulatory lotów do szkolenia pilotów, to temat niezwykle ważny w lotnictwie, wymagający odpowiedniego podjęcia.

Wystąpienie swoje dr hab. inż. A. Żyłuk zakończył omówieniem koncepcji nowego samolotu dla lotnictwa wojskowego, podkreślając również, że projekt byłby możliwy do realizacji przez firmy lotnicze w kraju, przy dobrej woli i wsparciu polityków oraz władz państwowych.

„Oferta Polskich Zakładów Lotniczych dla PSP” – to kolejny referat, który zebrany przedstawił dr inż. Bogdan Ostrowski – dyrektor operacyjny PZL w Mielcu. Mówił o produkcji samolotów M-28 w różnych wersjach wykorzystywanych przez lotnictwo wojskowe, a także zaawansowaniu produkcji śmigłowców S-70i Black Hawk, w tym miejscowych próbach w locie drugiego egzemplarza. Wystąpienie dyrektora Ostrowskiego było ostatnim referatem jaki wygłoszono podczas seminarium.

Po krótkiej przerwie wysłuchano wicestarosty Józefa Smaczego (obecnie Członek Zarządu Powiatu), który podkreślił, że rozwój miasta był i nadal jest związany w dużym stopniu z funkcjonowaniem tutejszej lotniczej fabryki. Podkreślił, że władze powiatu popierały i nadal popierają wszelkie inicjatywy dotyczące mieleckiego lotnictwa. M. in. jako przykład podał poparcie dla inicjatyw zgłaszanych przez Kazimierza Królikowskiego, Kazimierza Szaniawskiego i dra inż. Zbigniewa Działowskiego. Dalsze wsparcie powiatu obecnie to także pomoc w rozwoju szkolnictwa zawodowego, zachęta do integracji i współpracy firm lotniczych.

Swoją działalność w Mielcu przedstawiły trzy firmy zajmujące się produkcją lotniczą i lotnictwem. Firma EUROTECH przedstawiła swój profil funkcjonowania, w tym produkcję lotniczą (bezzałogowa platforma latająca, współpraca w tym zakresie z uczelniami i instytutami badawczymi). Firma SZEL-TECH zaprezentowała bogaty zakres produkcji lotniczej dla firm lotniczych w Austrii, Niemczech, a także w Polsce. Wysoka jakość produkcji pozwala tej firmie na utrzymanie się na wymagają-



*Swój referat przedstawia prof. Paweł Soroka (fot. Jacek Krzysztofik)*

cym rynku lotniczym, także na jej rozwój i kreślenie planów na przyszłość. Właściciel firmy był długoletnim pracownikiem OBR SK WSK PZL Mielec zatrudnionym na stanowisku konstruktora, gdzie zdobył niezbędne doświadczenie zawodowe. Trzecia firma – FLY POLSKA – usługi lotnicze w Mielcu realizuje poprzez Ośrodek Szkolenia Lotniczego O/Mielec. Poza tym firma ta zajmuje się jeszcze modernizacją samolotów różnych typów, sprzedają samolotów i części zamiennych lotniczych.

Seminarium zakończono zwiedzaniem Polskich Zakładów Lotniczych w Mielcu, odsłonięciem tablicy pamiątkowej przy ekspozycji samolotu IRYDA (okolice ronda – ul. Wolności i ul. Powstańców Warszawy) i obiadem w Hotelu Polskim. Seminarium – oprócz ogromu informacji i przekazanej wiedzy przez referujących – było okazją do spotkania się wielu uczestniczących w nim osób, powspominania minionych lat pracy w mieleckiej fabryce, porozmawiania na różne tematy dotyczące polskiego lotnictwa. Sugerowano organizatorom, że powinni już myśleć o kolejnym takim spotkaniu w 2011 roku.

**Jacek Krzysztofik**



*Uczestnicy mieleckiego seminarium (fot. Damian Gąsiewski)*

## DZIAŁOWSKI PRZERZYWA MILCZENIE

Ostatnio na mieleckim rynku wydawniczym ukazała się książka Mieczysława Działowskiego pt. „Czas przerwać milczenie”, we wstępie do której autor m.in. pisze: *Uważam ponadto, że ktoś dla dobra przyszłych pokoleń pasjonatów tradycji polskiego lotnictwa musiał przerwać ten zdumiewający splot pokrętnych insynuacji narosłych wokół tzw. „sprawy” Braci Działowskich.* Dalej zaś mówi: *Czas przerwać milczenie! Czas przerwać zmnówę fałszowania faktów i powielania utartych schematów.*

Po przeczytaniu tytułu i wstępu można by zastanawiać się, kto stwarza „pokrętne insynuacje”, „wyrafinowanie” i „perfidie” wokół braci Działowskich. Okazuje się, że autor, który jak pisze jest jedynym żyjącym potomkiem słynnych konstruktorów i lotników odnosi się do artykułu z nieistniejącego już „Głosu Załogi” nr 7 z dnia 20 II 1984 r., a więc 26 lat temu.

Dalszą część książki stanowią w większości zdjęcia oraz zeskanowane arty-

kuły z różnych czasopism, przeplecione z rzadka komentarzem autora. Same w sobie są one cennym przyczynkiem do możliwego opracowania naukowego, jeśli ktoś się takowego podejmie? W podobny faksograficzny sposób przedstawiona jest historia Mieczysława Działowskiego. W publikacji są też informacje o Aeroklubie Mieleckim i jego działaczach, w tym wiele o autorze książki Mieczysławie Działowskim. Z lektury publikacji wynika fakt, że rzeczywiście należałoby w sposób rzetelny i naukowy przedstawić rolę i zasługi braci Działowskich w rozwoju mieleckiego i polskiego lotnictwa. Obecna rodzinna publikacja jest do tego przyczynkiem.

28 stycznia 2011 roku w Mieleckim Uniwersytecie Trzeciego Wieku w Samorządowym Centrum Kultury w Mielcu odbyła się promocja w/w książki, którą poprowadził kanclerz Uniwersytetu Marek Skalski.



Mieczysław Działowski „Czas przerwać milczenie. (przyczynek do tzw. sprawy Braci Działowskich; mała historiografia Aeroklubu Mieleckiego; skrótkowe późnolotnicze impresje”. Mielec 2010. Sponsory wydania: Barbara i Stanisław Dzimirowie. Format A-5, 121 stron. Druk: Zakład Poligraficzny Z. Gajka w Mielcu.

(W. Gaśiewski)

# „Czas przerwać milczenie”!

28 stycznia b.r. na Uniwersytecie III Wieku w Mielcu odbędzie się prelekcja pana Mieczysława Działowskiego, połączona z promocją jego nowo wydanej książki p.t. „Czas przerwać milczenie”. Książka w ciekawy sposób nawiązuje do Braci Działowskich, którym Mielec winien jest wdzięczność za rozwój przemysłu lotniczego. Autor jest synem jednego z Braci Działowskich też Mieczysława, a drugi Stanisław jest jego stryjem. Mielczanom znane są dokonania Stanisława i Mieczysława Działowskich z początku ubiegłego wieku, kiedy jako lotnicy konstruktorzy udanych wersji samolotów DKD rozślawiali Mielec. Ich zasługi do dzisiaj wspomina lotniczy Kraków i Bydgoszcz, gdzie działali. Na awionetkach DKD zdobywali międzynarodowe nagrody i wyróżnienia. Swymi osiągnięciami tak rozmiłowała społeczeństwo Mielca w lotniczej przygodzie, że Mielczanie własnymi rękami zbudowali turystyczne lotnisko. Można bez przesady powiedzieć, że dynamiczny rozwój poprzez budowę PZL w Mielcu zawdzięczać należy w dużej mierze tamtejszemu spo-

łeczeństwu, a szczególnie Braciom Działowskim. To dlatego Mielec z prowincjonalnego miasteczka stał się potentatem lotniczym.

Czasy PRL-u nie sprzyjały działalności Braci Działowskich. Na Mieczysława juniora cieniem położył się fakt, że jego zasłużony stryj Stanisław po stronie aliantów latał w RAF-ie. Stało się to przyczyną, że usunięto juniora Mieczysława z Dęblińskiej Szkoły Orłąt nie pozwalając mu latać, a tym samym pójść drogą swych przodków. Tworzono podstępne oskarżenia i konflikty, które przetrwały do dzisiaj.

Książka Mieczysława Działowskiego juniora na podstawie dokumentów i ciekawych sformułowań rozprawia się z kłamstwami minionego okresu. Wskazuje by przerwać milczenie i naprawić krzywdy. Chociaż dotyczyła tylko czubka góry lodowej problemu, to jednak jest odważnym głosem. Czyż nie śmiesznie brzmi nazwa jednej z mieleckich szkół pozbawiona imienia jednego z bohaterów?

Ziemia mielecka pełna jest bohaterskich czynów i ludzi, a my boimy

się o nich mówić i upamiętniać. Wolimy anonimowe nazwy na pomnikach niż ludzi, którym zawdzięczamy wolność. Często nadając nazwy wolimy narodowych, niż tych naszych, sławiących naszą Mielecką Ziemię. Nie chcemy się narazić na protesty, bo komuś może się to nie spodobać. Nie potrafimy bohaterskich ludzi nawet obronić przed publicznym szkalowaniem. Milczymy jakbyśmy nie mieli historycznych dowodów ich wielkości i bohaterstwa.

Na zakończenie nasuwa się refleksja tworząca pytanie. Dlaczego dla oczyszczenia czci pozostawiamy samotnie rodziny zasłużonych? Czy jako współczesne społeczeństwo nie jesteśmy winni im z obowiązku dbać o godne ich uhonorowanie? Sprawa, którą porusza książka nie jest odosobnionym przypadkiem i dlatego z okazji promocji książki warto się nad tym głęboko zastanowić. Dochód z książki wydanej w niewielkim nakładzie i dostępny tylko na promocji, przeznaczony zostanie w całości na działalność Aeroklubu Mieleckiego.

Teofil Lenartowicz

## Pilot por. obs. Józef Bolesław Kądziola - urodzony w Jaślanach więzień Starobielska - zamordowany przez NKWD w Charkowie

Rozwijające się w okresie międzywojennym lotnictwo, a potem zakłady lotnicze w Mielcu promieniowały przykładem na całą okolicę. Prawdopodobnie też i z tego powodu młody mieszkaniec jednej z podmiejskich wiosek wybrał karierę pilota wojskowego. Był nim Józef Bolesław Kądziola, syn Urbana i Katarzyny z Bielów, urodzony 9 marca 1908 roku w Jaślanach, ówczesnie powiat tarnobrzeski. Młody Kądziola uczęszczał do Gimnazjum im. J. Tarnowskiego w Tarnobrzegu, po ukończeniu którego w 1927 r. wstąpił do Szkoły Podchorążych Piechoty, którą ukończył w 1930 r. Wówczas został przydzielony do 3 p. lot., a w latach 1935-1939 został odkomenderowany do Instytutu Techniki Lotnictwa. Zginął podczas działań wojennych we wrześniu 1939 r., prawdopodobnie podczas lotu bojowego. W nieznanych okolicznościach wzięty do niewoli przez Sowieców i uwięziony w obozie w Starobielsku. Stamtąd wywieziony

wiosną 1940 r. (numer na Liście Starobielskiej 1396) i zamordowany przez NKWD w Charkowie. Tam też na polskim cmentarzu wojennym znajduje się jego tabliczka cmentarna.

Jak wynika z poniższych informacji bardzo mało wiemy o pilocie por. obs. Józefie Bolesławie Kądziolu, dlatego też zwracamy się do naszych czytelników o wszelkie wiadomości na ten temat. Kontakt zamieszczamy w stopce redakcyjnej.

Włodzimierz Gąsiewski

**Źródła:** Centralne Archiwum Wojskowe, AP 15620; Katedra Polowa Wojska Polskiego w Warszawie /www.katedrapolowa.pl/tabliczka.php?imiel1=Jozefy&nazwisko=KADZIOŁA&/ *Księga Cmentarna Charków*, Warszawa 2003, s. 220; *Lista katyńska. Jeńcy obozów Kozielsk, Ostaszków, Starobielsk. Zaginięci w Rosji Sowieckiej*. Opr. A. Moszyński, Londyn-Warszawa 1989, s. 287; J. Tucholski, *Mord w Katyniu*, s. 428; J. Pawlak, *Ostatnie lądowanie*, Warszawa 1994; *Starobielsk* [w:] *Katyn*.



*Lista ofiar i zaginionych jeńców obozów Kozielsk, Ostaszków, Starobielsk*, opr. A.J. Leszek Szczęśniak, Warszawa 1989, s. 313; *Zaginięci po zakończeniu II wojny światowej* [w:] „Olgierd Cumf Kazimierz Kujawa „Księga lotników polskich poległych i zaginionych 1939 – 1945”, Warszawa 1989, s. 166.

## FOTO-ZAGADKA LOTNICZA



Zupełnie przypadkowo natknęliśmy się na to zdjęcie, które znajdowało się w jednej z kupionych książek. Na pewno było przechowywane w Mielcu, tylko czy jest możliwe, że przedstawia mieleckie lotnisko, jaki samolot się na nim znajduje i kim są piloci na zdjęciu. Widnieje na nim napis: „W dzień imienin d. 13 VI 20.”, a więc dla Antoniego lub Lucjana. I jeszcze jedno, samolot raczej na pewno wziął udział w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 r. Kto wie coś na ten temat prosimy o kontakt z naszą Redakcją, zamieszczony w stopce redakcyjnej. Zwracamy się też z prośbą o udostępnianie zdjęć i dokumentów o tematyce lotniczej. Możemy też je kupić lub zamieścić podziękowania.

Witold Kwiatkowski, Lwów ok. 1918 r.

# Żołnierz kresowy

W poprzednim numerze „Nadwisłocza”, przedstawiliśmy wspomnienia Witolda Kwiatkowskiego, który walczył w bitwie pod Zadwórzem i najbliższych okolicach tej kresowej wioski - nazwanej „Polskimi Termopilami”. W bieżącym numerze publikujemy jego biogram i dalszą część żołnierskiego pamiętnika, którą udostępnił nam również Witold Kwiatkowski, - mielecki dziennikarz - syn kresowego żołnierza odradzającej się niepodległej Rzeczypospolitej. Wspomnienia te zebrała i opracowała Ewa Gładysińska przy współpracy rodziny.



## Witold Feliks Kwiatkowski herbu Nowina

Witold Feliks Kwiatkowski urodził się 17 października w Krakowie. Jego babki były siostrami i wywodziły się ze starego rodu mieszczańskiego Millerów (pierwsze zapiski połowa XVIII w). Bronisława wyszła za mąż za właściciela ziemskiego Teodora Głębockiego herbu Lubicz. Wśród ośmiorga dzieci mieli oni córkę Wandę – matkę Witolda Feliksa. Z rodzinnej Limanowej przenieśli się do Krakowa. Druga córka Millerów – Leokadia pojęła za męża Stanisława Kwiatkowskiego herbu Nowina. Z tego małżeństwa wywodził się ojciec Witolda Feliksa – Henryk.

Pierwsza wzmianka (przekaz ustny) o rodzie Kwiatkowskich pochodzi z XIV wieku: nadanie przez króla Władysława Łokietka godności, herbu i ziemi. Kwiatkowscy objęli ziemię pod Łysogórami. Na kluczu Kakonińskim (wzmianki na piśmie 1787 r.) gospodarzyli do Powstania Listopadowego. Za udział w powstaniu Moskale skonfiskowali włości, spalili dwór, dziedzica Stanisława zesłali na Sybir. Jego synowie po Powstaniu Styczniowym rozproszyli się po świecie: do Francji, Austrii, a najmłodszego, też Stanisława, pogoniono na katorgę. Szczęśliwie wrócił do kraju, osiadł w Limanowej gdzie został później znanym rejentem. Tam ożenił się z Leokadią Głębocką. Ich syn Henryk pojechał do Krakowa kształcić się. Później pojął za żonę kuzynkę Wandę Głębocką. Osiedli w Krakowie, a Henryk był dyrektorem administracyjnym szpitala. W Krakowie, w 1900 roku urodził się Witold Feliks. W 1913 roku rodzina przenieśli się do Lwowa. Henryk objął też stanowisko dyrektora w szpitalu w Kulparkowie.

Witold, najstarszy syn z ósemki dzieci Stanisława i Wandy, szkołę wstępną i gimnazjum ukończył we Lwowie. Maturę zdał między wojną ukraińską (brał udział w obronie Lwowa), a bolszewicką. Walczył na flankach Zadwórza. Po demobilizacji w 1920 roku ukończył podchorążówkę, został oficerem rezerwy i studiował na Wydziale Rolnym Politechniki Lwowskiej w Dublanach. Dyplom inżyniera rolnika uzyskał w 1923 roku. Poszedł na praktykę do majątku w Bucniowie (Łódzkie). Gdy wykrył kradzież i został napadnięty przez chłopów, sprawców, wprawdzie uratował się wyciągając pistolet, ale musiał odejść. W Bucniowie też poznał Helenę Weydlichówną i ożenił się z nią w roku 1924.

Ród Weydlichów herbu Warnia wywodził się z Podola, a najstarsze dokumenty o nim pochodzą z 1694 roku.

Witold Kwiatkowski senior pracował jako nauczyciel w szkołach rolniczych w Święcianach Wileńskich (tam urodziła się najstarsza córka – Wanda), w Miłocinie pod Rzeszowem. W 1929 roku rodzina przenieśli się do Lwowa. Tu urodzili się dwaj synowie (Witold junior i Kazimierz), a Witold senior chorował na gruźlicę w latach 1929 – 1931. Leczył się w Zakopanem. Gruźlicę zwyciężył.

W latach 1932 – 1935 był asystentem w Katedrze Uprawy Roślin na Oddziale Rolnym Politechniki Lwowskiej w Dublanach. Po konflikcie światopoglądowym został bezrobotnym, przeniósł się do Burzyna pod Tarnowem i tam gospodarzył na swoim pół hektara ziemi i w domu Filareckim Związku Elsów (wówczas urodziła się najmłodsza córka – Jadwiga). Od roku 1938 do wybuchu wojny pracował dla Izby Skarbowej we Lwowie jako klasyfikator gruntów. Wtedy odezwały się przejścia wojenne - coraz bardziej tracił słuch. Od września 1939 roku był poszukiwany przez bolszewików jako uczestnik walk w 1920 roku. Handlował pokątnie, ukrywał się jako stajenny w podlwowskiej Majerówce – majątku kolegi ze studiów. Żona była pielęgniarką w szpitalu w Kulparkowie.

Za okupacji niemieckiej Kwiatkowsy przenieśli się do Jagielnicy w województwie Tarnopolskim, gdzie Witold senior pracował w fabryce tytoniu. Tam w latach 1942 – 1944 przeżywają tragiczne lata głodu i poniewierki. Nie chcąc ponownie dostać się w łapy bolszewickie Kwiatkowsy wracają do Burzyna w marcu 1944 roku. Witold Feliks pracuje znów jako klasyfikator gruntów w województwie kieleckim. Coraz bardziej traci słuch.

Wreszcie latem 1947 roku, realizując swoje marzenie życia, bierze duże, zrujnowane (brak domu, inwentarza, maszyn i urządzeń) gospodarstwo rolne w Łazach na Dolnym Śląsku, na Ziemiach Odzyskanych. Gospodarowanie okazuje się nieporozumieniem i całkowitą klęską. Starsze dzieci uczą się i studiują w odległych miejscowościach. Witold Feliks i jego żona ulegają ciężkiej chorobie. On sam traci do reszty słuch.

W roku 1952 ratuje ich najstarsza córka (chłopcy są w wojsku) biorąc matkę i młodszą siostrę do siebie, do Krzeszowic, gdzie jest wychowawczynią w domu dziecka. Ojca oddaje do domu starców. On po kilku miesiącach ucieka do Burzyna. Najpierw pracuje jako parobek u znajomego gospodarza. Nie może podołać tej pracy. Potem wydzierżawia domek w Kolonii Elsów, gospodarzy na swojej działce i działkach elsowiaków. Ma na swoim koncie kilka opatentowanych wynalazków z dziedziny wyposażenia rolnictwa. Umiera 25 maja 1988 roku i jest pochowany na cmentarzu w Burzynie – Elsowie wraz ze zmarłą rok wcześniej żoną.

Zestawił: **Witold (junior) Kazimierz Kwiatkowski**



Witold Kwiatkowski - Kresowe wspomnienia

# Wojna polsko-ukraińska

Rok 1918

(...) O wojsku należy mi się szerzej opowiedzieć, bo to były bardzo głębokie przeżycia. A więc najpierw: nareszcie, nareszcie! Tak długo śpiewaliśmy: „Zdejmijcie kajdany, dajcie mi broń, ja wam pokażę jak wolność czuć.” A teraz to się ziszcza, teraz to nie marzenie, ale czyn.

Pamiętam swoją pierwszą placówkę. Pamiętam, jak idąc ze Lwowa pod Kozielniki nabijaliśmy broń na placu św. Zofii, a potem jak na przyczółku sprawdzaliśmy razem z kolegą Adamem, czy w zajmowanych przez nas kwaterach nie ma gdzieś ukrytych Ukraińców, potem czuwanie i patrole i znów czuwanie i bardzo skromny obiad. Jedynym urozmaiceniem był chleb, który przynieśli nam chłopcy z pobliskiej Żubrzy. Potem już stałe raczej monotonna i żmudna służba, różne placówki na Persenkówce w willi „Zosi”, potem w Lipnikach, Krzywczach, potem na Zielonej Rogatce, wreszcie w Pasiekach Halickich, jako punkt wyjściowy do wielkiej ofensywy wiosennej.

Pamiętam, jak stałem na posterunku u stóp budki zwrotniczej na Persenkówce, mając obstrzał na tor kolejowy i tereny przytorowe w kierunku Kozielnik. Po prawej ręce miałem podmurówkę budki zwrotniczej, po lewej dużą skrzynię z piaskiem, a przed sobą dużą barykadę z cegieł, w niej strzelnicę, również i ku tyłowi ciągnęła się kręto ta barykada. Widoczność mała, ograniczona jeszcze obmurowaniem, zmuszała do pilnej uwagi, a drelichowy mundur i „pokrzywowy” płaszcz parzyły mrozem.

Po bokach nasypu ciągnął się nigdy nie zamarzający rów, a od niego szedł lekki opar osiadający na sąsiednich krzakach tak, że krzaki tej nocy cudnie zakwitły.

Wieczorem były czarne i nagie, jak zwykle zimą a do rana narosła na gałązkach okiś, że nie wierzyłem oczom, że te długie igielki są z lodu, zebrane w fantastyczne kępki jakby astry białe. Dopiero za dotknięciem opadało to ukazując swoją iluzoryczność. Ale to był mróz! Kiedyś, gdy okazało się, że jest to posterunek niebezpieczny stawiano tam już dwóch, jednego w rozbitej witrynie budki zwrotniczej, drugiego u stóp podmurowania budki. Kolega Włodzimierz Borkowski w swoim kożuchu i ciepłych spodniach nie odczuwał tak bardzo mrozu, ale ja marzłem straszliwie, człowiek wręcz tężał. Rano zdejmowano ten posteru-

nek, bo w dzień nie było tam dostępu, gdyż dzienny obstrzał był i od frontu i od prawej flanki.

Raz przyszedł służbowy z asystą, już szarzało. „Koledzy - na kwatere, a ja nie mogę... Wzięli mnie pod ręce i prowadzą ale długo tak nie można. Tor na tle jaśniejszego nieba staje się widoczny, Ukraińcy puszcza jedną serię i po nas. Tak nie można. Puścili mnie więc i sami pobiegli, Włodek też pobiegł, a ja wlokłem się pomalutku na tych zdrętwiałych od mrozu nogach. Dobrze, że tutaj dość równo, myślę sobie, ale jak ja zejść na tych nogach z nasypu kolejowego? Jakoś zlałem i żywy doszedłem do placówki, zjadłem kawałek chleba i położyłem się na słomie w piwnicy willi „Zosi”. Moje miejsce było zajęte, z lekka odsunąłem jednego i drugiego kolegę i położyłem się.

Inna przygoda była gorsza. Zajęliśmy tę samą placówkę w willi „Zosi” po innej kompanii, która obejmując placówkę miała 35 zdrowych chłopaków, a w kilka dni straciła kilku zabitych i kilku rannych. A my mieliśmy nakazaną największą ostrożność, z tym, że strzelało się tylko w potrzebie, a zdrowia bezmyślnie nie narażało. Ale i tak zaraz po zajęciu placówki ustawiliśmy CKM na swoim stanowisku ogniowym zabezpieczonym workami z piaskiem, a dla wycucia odległości zaczęliśmy się wstrzeliwać w pozycje ukraińską. Nagle ta muzyka się urwała, nasz celowniczy został śmiertelnie postrzelony. Widać Ukraińcy mieli tam snajpera.

Gdy w nocy chcąc naciągnąć wody ze studni w ogrodzie zacząłem pompować, dostałem tak silny obstrzał, że ledwo z życiem zwałem w kapkę wody.

Posiłek dowożono nam raz na dobę i to w nocy. Bractwo radziło sobie jednak jak mogło. Któryś z obrotniejszych kolegów znalazł gdzieś w opuszczonej piwnicy dużą ilość ziemniaków, a drugi wyhandlował trochę mąki, dając gospośi trochę ziemniaków i już mieliśmy bal. Nasza placówka kwatrowała jeszcze wtedy w parterowych pokojach willi „Zosi” na Persenkówce, a w piwnicach gnieździła się jeszcze gospośia. Od niej to pożyczaliśmy jedną tarkę, a druga w sąsiedniej placówce i na zmianę jedni obierali ziemniaki, a drudzy tarli je robiąc z tego sławetne knedle. W dwie godziny knedli tych był duży gar. Gorące, świeżo ugotowane smakowały znakomicie. Zajadamy się, a tu przychodzi łącznik z sąsiedniej placówki. Mel-

duje porucznikowi, że wypełnił zadanie, ale jakoś nie odchodzi, zerka na knedle. Odtąd po kilka razy dziennie mieliśmy łączników do tych knedli, które gotowaliśmy przez kilka dni dla całego naszego III studenckiego plutonu, aż przeszło to w legendę uwiecznioną żołnierską piosenką:

„...Czy to w Persenkówce, czy to w willi „Zosi”

*Zawsze III pluton knedle z sobą nosi  
Hej dana ta dna kompanio kochana  
Nie masz to jak nasza, nie masz...”*

Nie brakło jednak i emocji. Na służbę szedł cały batalion, rozkładając się kompaniami i plutonami po placówkach. Czasem wypadała naszemu plutonowi rezerwa w przyzwoitym domu administracyjnym elektrowni. To był oczywiście front, bo placówka o kilkaset metrów, ale to już była lżejsza służba. Na takiej rezerwie można było i obiad przygrzać, a nawet ugotować. A pokoje, które zajmowaliśmy miały piece i gdy kto chciał i umiał zdobyć opał, foje nawet opalał.

Wziąłem plecak i karabin i idę. Leżą ogromne sterty węgla. Jest wielka kupa brykietów oddzielona ode mnie wysoką siatką. Sforsowałem ogrodzenie, przerzuciłem tyle brykietów aby je na dwa razy zabrać. Wróciłem, zabrałem resztę i palimy. Węgiel polski, wojsko polskie, a więc jakże można nam bronić, no nie? Potem nam nawet przywożono węgiel.

Nic to, że znaleźliśmy w szybie dwie małe dziurki i odpryski krwi i mózgu na ramie drzwi i na futrynie drzwi. No trudno, od tego front, ale my tutaj odpoczniemy. I odpoczywaliśmy. Chociaż to był front, ale buty zdejmowaliśmy na noc. Nie wolno? Jak trzeba będzie to wdziejemy.

Jednej nocy - przygoda. Ja śpię czujnie, a tu słyszę kroki i cichą rozmowę. Zerkam przez przymrużone powieki, - kto to? To kapitan Hofbauer, adiutant dowódcy batalionu ze swoim pucyrem zakładają papierki między palce bosych nóg śpiących, kapitan podpala papierek, a chłopak czując przez sen gorąco kręci nogami jakby pedałował. Bractwo śpi i jeden po drugim „jedzie rowerem...”

Gdy kapitan podchodzi do mnie ze świecą, wtedy ja szarmanckim ruchem podaję mu swój papierek, który wyciągnąłem spomiędzy palców nogi „proszę panie kapitanie” powiadam. Konster-nacja. Hofbauer dla ratowania sytuacji beszta nas trochę i każe wdziać buty, a gdy odszedł, koledzy, którzy byli w kolejce za mną śmiejąc się dziękują że ich wybawiłem od „jazdy na rowerze...”

Ale były i smutne doświadczenia.

### Zostałem snajperem

Podobnie jak przewaga moich kolegów, byłem „zielonym wojakiem”, inaczej „zielonym Jasiem „(Yan kee — dudle - to początek piosenki amerykańskich oddziałów wyzwoleniczych z okresu wojny domowej). Mówiąc po kaprałsku byliśmy „rekrutami zamazanymi...”

Nauczono nas strzelać i trochę „bojowo” poruszać się w terenie i czuwać na posterunku, a całą gamę drobniejszych problemów musieliśmy rozwiązywać intuicyjnie. Dobrze, czy źle - to trudno mi ocenić, może na to odpowiedzieć kto do mnie strzelał, a ja do niego.

Znów ta kwatera w willi „Zosi” na Persenkówce i ta budka zwrotnicza na stacji Persenkówka, jako posterunek nocny. Mamy rozkaz strzelać tylko w konieczności, a więc albo w obronie własnej, albo dla zaalarmowania placówki, a wtedy uderzyć jeszcze w dzwon koło budki. Stałem sam a od strony Kozielnik - błyski i lecą kule. Jedna bliżej, druga dalej, kilka uderzyło z brzękiem w moją budkę i w przewody telegraficzne obok toru.

Byli ode mnie dobre kilkaset kroków, szli, czy stali w linii poprzecznej do toru. Ach, już - wiem, tam właśnie jest droga przecinająca tor, niedaleko od domu, gdzie kilka miesięcy temu kwaterowaliśmy na placówce.

Dom murowany i pewnie z jego okien strychowych i piwnicznych strzelają. Ponadto kilku z prawej z pagórków i na lewo z tego rowu. Ale z tego domu najgęściej idą błyski, żadnych konturów nie widać tylko błyski.

Ja nie strzelam, bo oni są daleko i nie widzę ich w nocy, a powiedziano, żeby jak najmniej się afiszować i strzelać. Na wszelki wypadek wymieniałem magazynek załadowując karabin nabojami przeciwpancernymi (na ten dom) i czekam. A tu nie tylko błysk, błysk, gwizd pocisków i podzwanianie drutów. Patrzę i słucham, aż wreszcie rozłościłem się. Przecież ja mam muszkę i celownik świecący, więc mam szansę „chwycić” na muszkę nawet taki błysk.

Chwytam, chwytam te świetliki na muszkę ale pałę tylko wtedy, gdy jestem pewny, że chwyciłem. Wypaliłem tak może trzy może cztery razy i wszystko ucichło... Poszli? Najpierw zdumiałem się, potem rozpięła mnie duma... Chłopcze powiadam sobie...Ty rekrucie zamazany podpowiada mi chochlik... Chłopcze poprawiam, zostałeś snajperem! Rozwaliłeś swoimi strzałami ten murowany domek w Kozielnikach, zakatrupiłeś trzech, może

czterech „Karaimów”, a reszta leży poranionych pod gruzami domu.. Chłopcze jesteś bohaterem! Pęczniałem z dumy, już nie czułem mrozu, tylko nie mogłem się doczekać zmiany, aby roztrąbić swój tryumf wśród kolegów...

Nareszcie przysłała zmiana. „No co tam Felek”? Wszystko w porządku - odpowiadam skromnie. Bo im więcej jesteś wart tym więcej bądź skromny - przypominam sobie.

Dopiero na kwaterze opowiadam jakim to ja jestem snajperem i jakiego Karaimom napędziłem pietra, aż zwałi. Bractwo grzebie łyżkami w menażkach z zimną i nieokraszoną brukwią ja zagrzewam swoimi opowiadaniem i siebie i brukiew (w żołądku). Wadas śmieje się cierpko, a do stojącego obok kolegi Borkowskiego powiada cicho: „on myśli, że cała ta strzelanina była po to, by wywachać pozycje naszego posterunku nocnego...”. A porucznik kiwa głową i dodaje: „macie szczęście, że wasze stanowisko strzeleckie było zasłonięte murem od ukraińskiego snajpera, dobrze, że strzelaliście oszczędnie i tylko na pewny cel. Może akurat wybiliście tam jakąś dziurę w murze...”

No ale nie zawsze mi tak źle wychodziło, raz to nawet dostałem rozkaz pochwalny „za waleczne zachowanie się na patrolu...”

Z kapitanem Hopperem miałem jeszcze dwie przygody, za obie wstydzilibym się gdyby to była moja świadoma wina.

Po wielu trudach poszliśmy na odpoczynek do tej sławnej i drogiej sercu każdego Polaka - Lwowianina, szkoły Sienkiewicza, w której był pierwszy zaczątek obrony Lwowa w dniu 1 listopada 1918 roku. Teraz były to koszary Il-go baonu 38 p.p. Strzelców Lwowskich.

Troszkę nas domundurowano, więc dostałem podarte, ale wełniane spodnie, które wdziane pod tamte cająkowe dawały pewną iluzję ciepła. Batalion dostał też kilkadziesiąt ciepłych barchanowych czerwonych kamizelek. Kropla w morzu dla całego batalionu. Ale zagrzewano nas ćwiczeniami. Musztra formalna na przemian z ćwiczeniami polowymi, a na placu ćwiczeń pełno oficerów i każdy czegoś dopilnowywał.

Kpt. Hofbauer faktycznie był dowódcą batalionu, jako adiutant (szef sztabu) majora Baczyńskiego, zbyt starego aby mógł podobać tej funkcji. Hofbauera lubiliśmy, bo chociaż fachowy i dzielny oficer, ale dla żołnierza był raczej przyjacielski i pogodny. O nim

to śpiewaliśmy serdecznie: „Mamy u nas Hofbauera, ra Kochamy go jak cholera, ra Rusinów szturmuję Nigdy nie dekuje Mamy u nas Hofbauera, ra”

Na ćwiczeniach pokazywał się dowódca kompanii kpt. Zagórski, ale Hofbauera najczęściej było widać. Mówił kto będzie ćwiczył dobrze dostanie czerwoną kamizelkę. O! O czerwonej kamizelce marzył prawie każdy.

Jeszcze parę wspomnień: Lipniki - placówka cichutka, jak u Pana Boga za piecem, tak cicho, że wstyd wspominać - nie było w dzień posterunku przed kwaterą. To było na pld.-zach. od rogatki Gródeckiej. To była taka wnęka frontu.

Na lewo mieliśmy Bednarówkę, a dalej w perspektywie tę naszą „Górę Stracenia” Persenkówkę; koło nas nawet przez pomyłkę żadna kulka nie gwizdnęła. Dwa razy zaalarmowały nas strzały w przeciagu kilku tygodni. Jeden to był strzał kaprała Webera do gnieźdzącej się tam łasicy. Łaski białej jak śnieg. Drugi raz to już my całym plutonem z pozycji bojowych ostrzelaliśmy z flanki ukraińskie uderzenie na Bednarówkę.

Ach, jak te chłopaki szli, aż przykro było strzelać, bo oni nawet nie przeczuwali na swej dalekiej flance, a my strzelaliśmy z kolana, lub z podpory, jak do kaczek.

A Bednarówka też im dała łupnia. Ale oni szli jak na ćwiczeniach: Biegl i padał, zrywał się i znowu biegl, a nic tylko trrach i trrrrach, Bednarówka aż huczała i oczywiście odparli atak. Ale ani śladu popłochu nie widzieliśmy w szeregach Ukraińców, bo cały czas ostrzeliwali się, biegli i padali i w porządku odskoczyli Jakie mieli straty tego nie wiem, ale chyba bardzo znaczne.

Mieliśmy tam też jeden wspaniały ale groźny widok. Nawet nie przypuszczałem, że z tego naszego „zapiecka” w Lipnikach, będziemy mieli aż tak daleki widok.

A szkoda, że o tym nie pomyślano w sztabie, bo dla tego widoku powinni byli tam koło nas postawić chociażby dwie połówki. Przeciwpancernej artylerii w obecnym tego słowa znaczeniu wtedy nie mieliśmy, ale parę ósemek, czy dziesiątek to już nawet taki „zielony Jasiu” jak ja, chciał wtedy natychmiast stawiać tam, widząc atak pancernki ukraińskiej na nasze pozycje w Bednarówce i Persenkówce.

Był to zdaje się ranek, godzina może dziewiąta. U nas jak zwykle w Lipnikach cicho, spokojnie tak, że w chałupie, w której kwaterowaliśmy mieszkali nadal gospodarze, a nawet kury i świnię kręciły się po podwórzu i żadna nie wpadła do naszego garnka. Wtem ktoś robi alarm! Czy był telefon, czy ktoś zobaczył, dość, że robią ostre pogotowie, bo panczerka nadjeżdża. Leniwie dopinamy pasy, przytraczymy do nich chlebaki z nabojami, a kto miał to i granaty ręczne, zbieramy karabiny i wylęgamy do sadu na nasze pozycje ogniowe.

O - o., tam, o widzicie dym... Za chwilę widzimy już jej stalowe cielsko. Jest tego coś pięć członów. Pięć wagonów opancerzonych sunie powoli i z daleka, jakby cicho. Oczywiście z tamtych placówek grzechocze nieustannie palba karabinowa tak, jakby ktoś w drugiej izbie bezustannie sypał gruby groch na jakieś pudło. Ale tu do nas dochodzi tylko szum. Panczerka stanęła, jej otoczenia nie widzimy, bo zasłaniają drzewa i zabudowania.

Aż tu nagle wzdłuż wagonów widzimy buchające smugi ognia i dymu. Takie whu..., whuu..., whuu! Głos prawie do nas nie dochodzi tylko głuche dudnienie, raczej tylko czujemy i widzimy, że dzieje się tam coś niedobrego. Minuty biegną a tam nic tylko whuu..., whu... i długie jężory ognia i dymu, które tylko lekko zmieniają kierunek ognia panczerki nieprzyjacielskiej przy obracaniu wieżyczek ogniowych w prawo, czy w lewo.

Już może pół godziny piorą i piorą a do nich nikt, nie licząc palby karabinowej nieskutecznej w tej sytuacji. Nas już wściekłość ogarnia taka, że gryźlibyśmy te swoje karabiny, które nawet z bliska znaczyłyby pewnie tyle, co kije na psa, a z daleka nawet nie wolno strzelać, bo nie widząc łatwo by było i swoich razić. A to była odległość półtora do dwóch kilometrów.

Jakie losy walki, jakie straty naszych, jakie nowe heroiczne wypadki naszych młodocianych chłopców z granatami ręcznymi na te kolosy pancerne? Tego nie wiemy, my widzimy tylko pancerkę. Porucznik Manuwarda podwoił służbowe posterunki, nawiązał łączność z sąsiadami, a nas resztę zapędził do chałupy – odpocznijcie, może przed walką.

Nareszcie ucicha tam, ale mój Boże – ilu tam naszych krwawi, czy kona...

Nareszcie panczerka odjechała, ale czy chociaż jeden pocisk artyleryjski posłali im na „do widzenia”? Nie wiem i pewnie się tego nie dowiem.

Było przeminęło, wraca codzienna szarżyzna. Ale nie – już jakiś ruch koło nas, już nam na placówkę przysłali paczki., już i kwatera dowództwa baonu została przybliżona, a raz nawet posłany tam na łącznika zastałem tam jakąś dziewczynkę w mundurze.. Jakaś to była przedstawicielka sekcji oświatowej, czy kantynowej, czy nie wiem już jakiej. A i nasza kochana siostra Iza. Ta opiewana przez nas w pieśniach żołnierskich i w gadkach prywatnych i w rozkazie pochwalnym, który ją awansował na kaprała za uratowanie krwawiącego na przedpolu chorążego Majewskiego - mojego kolegi gimnazjalnego.

Ta obca dziewczynka raz po raz jest w sztabie i nawet zagląda do placówek. Jakies to trochę mizerne, ale tupetem dodaje sobie ducha. Ale to już nie ta kochana siostra Iza, to już jakaś obca. Może to zazdrość o naszą siostrę Izę, może to chmurna дума żołnierska za to, że jakaś obca, szwenda się raczej wśród oficerów, a na nas żołnierzy to prawie nie spojry.

Potem powrót do gimnazjum jeszcze na jeden rok i matura, a po maturze znowu wojsko, znowu front!



25 III 2007 r. Cmentarz Łyczakowski we Lwowie. Witold (junior) Kazimierz Kwiatkowski przed grobem potomków rodziny. Fot. Włodzimierz Gąsiewski.



23 III 2007 r. „Dzień Polski” w ukraińskim Radomyślu koło Kijowa. Na zdjęciu od lewej: Witold (junior) Kazimierz Kwiatkowski, Mikola Jarmuluk - pisarz ukraiński oraz Włodzimierz Gąsiewski - redaktor naczelny Kwartalnika „Nadwisłocze”. Fot. Krzysztof Babiarz.

Mieczysław Kuriański

## **Ze wspomnień repatrianta – Memories of a repatriate**

### **III. We wsi osiedlenia. Lata próby – In the Village of Residence. Trial Years (1971 – 1982)**

#### **Trudna adaptacja**

#### **Difficult Adaptation**

Cztery lata mieszkając we Wrocławiu<sup>1</sup>, przyzwyczaiałem się do miejskiego trybu życia, do jego hałasu i nieustannego tempa, do jego ulicznych iluminacji. W zetknięciu z wiejską ciszą, przerywaną sporadycznie szczekaniem psów, oraz z panującymi wieczorem ciemnościami doznawałem nieopisanej wewnętrznej tortury, która swoją siłą penetrowała do głębi moje jestestwo i była nie do zniesienia. Czulem, że lada chwila pękne. Skąd się wzięło takie uczucie? Przecież cisza dla byłego alumna nie uchodziła za jakieś *novum*. Należała przecież do kanonu pedagogiki seminaryjnej, uświęconej mądrością tradycji chrześcijańskiej. Każdy adept żył nią na co dzień, chociaż czasem ulegał pokusie jej łamania. Ale to inna kwestia. Teraz ja, jako młody człowiek, który dotąd funkcjonowałem wedle przyjętego regulaminu w ciepłym domu, miałem sam napisać nowy regulamin przydatny w rodzinie i w rolniczym pod niebem warsztacie pracy, w otoczeniu nie przełożonych, lecz chłopów twardzieli, którzy jak trzeba wygarną i władzy, i proboszczowi, jak trzeba i nie trzeba wypiją butelkę gorzałki bez popitki. Związane z tym problemy burzyły więc częściowo dotychczasowy spokój, o czym może nie zdawałem sobie sprawy. Natomiast dobrze wiedziałem, że jestem na cenzurowanym w małej miejscowości, gdzie wszyscy znają się od podszewki. Zwłaszcza we wzroku miejscowych niewiast odczytywałem pytanie i odpowiedź o następującej treści: „Dlaczego wystąpił z seminarium? Na pewno jakaś niecna kobieta zwiódła go ze świętej drogi.” Wszelkie argumentowanie i przytaczanie innych racji, zwłaszcza z dziedziny ludzkiego prawa do poszukiwań własnego powołania, miało się z celem i nie znajdowało większego zrozumienia wśród przedstawicielek płci pięknej. Niektóre z nich nie kryły współczucia i z troską, nierzadko połączonego z głębokim westchnieniem. Z kolei mężczyźni żywili duże obawy co do przyszłej adaptacji młodego mieszczucha „po szkołach” w środowisku wiejskim. Dlatego wątpili w moje umiejętności prowadzenia gospodarstwa i normalnego obcowania z bracią rolniczą. Właśnie to wszystko potęgowało dynamikę destrukcji zastanej ciszy.

Myślę, że i nie inaczej było z matką. Zapewne skrywała więcej pytań niż odpowiedzi. Milczała. Dreczęły ją zmartwienia o mój przyszły los. W swoim zatroskaniu pragnęła mojego szczęścia. We wzajemnych relacjach rozmawialiśmy nade wszystko mimiką twarzy, bez słów. Na tym etapie wzajemnych kontaktów wystarczył taki sposób komunikacji. Razem uczęszczaliśmy do naszego filialnego kościoła, najczęściej w niedzielę. Podczas mszy św. odczuwałem na sobie wzrok wścibskich gapiów. Musiałem zdzierżyć tę presję. Po pewnym czasie zmęczeni się i przestali lustrować moją osobę, najwidoczniej znaleźli ciekawszy obiekt obserwacji. Pewnego razu zaprosił mnie ksiądz proboszcz do siebie na plebanię. Zapropo-nował mi, abym podjął studia w Warszawie na ATK. Co prawda propozycja była interesująca, ale nie do zrealizowania w moim przypadku. Nie mogłem przecież zostawić samej matki bez opieki i porzucić gospodarki, obecnie będącej moim warsztatem pracy. Nie zaszkodzi tu nadmienić, że po seminarium miało się wilczy bilet, zamknięte drzwi do stanowisk państwowych, chyba że się wyraziło chęć współpracy z reżymem, a taki krok nie wchodził w ogóle w rachubę. Siłą rzeczy pozostała rola. Na powrót należało nauczyć się jej umiłowania i zasmakowania śląskiej gleby. W tym dziele pomogli mi życzliwi rolnicy oraz brat Kazimierz.

<sup>1</sup> Zamieszczone przypisy pochodzą od autora niniejszego artykułu

Living for four years in Wrocław<sup>1</sup>, I accustomed to the urban life, its noise and constant pace, to its street illumination. In contact with the rural silence, interrupted occasionally by barking dogs, and the prevailing darkness in the evening I experienced an indescribable inner torture, which with the strength penetrated to the depths of my being and it was unbearable. I felt that at any moment I was going to burst. Where was this feeling from? Because silence for a former alumnus was not considered as any novelty. It belonged to the canon of the seminar pedagogy, sacred wisdom of the Christian tradition. Each pupil lived in it every day, although sometimes he succumbed to the temptation of breaking it. But that is another matter. Now I, as a young man who had been operated according to rules adopted in a warm house was to write new rules useful in the family and the agricultural world of work under the sky, did not surround by my superiors, but by the heartwood of the peasants, who, if they need they can tell off the authorities and the pastor, if they need or do not need they can drink a bottle of vodka with nothing else. Related with this problems destroyed partly the current calm, what maybe I could have not realized. But I knew that I was on the carpet in the small town where everyone knows the ins and outs. Especially in the eyes of local women, I read a question and answer as follows: ‘Why did he get from the seminar? Certainly some wicked woman has deceived him with the sacred path’. All the arguments and quotation of other reasons, especially in the field of human rights to search for my own vocation, went by with no purpose and was of greater understanding among representatives of the fair sex. Some of them did not hide compassion and concern, often combined with a deep sigh. In turn, the men felt important concerns about the future adaptation of the young burgher ‘after schools’ in rural environment. Therefore they doubted my ability to conduct normal farm and contact with agricultural brethren. That is all enhanced the dynamics of destruction of the present silence.

I think that was no different with my mother. She veil probably more questions than answers. She was silent. She was tormented by worries about my future fate. In her anxiety she wanted my happiness. We talked between ourselves, above all, by facial expression, without words. At this stage of mutual relations that communication was enough. We together attended to our filial church, usually on Sunday. During the mass I felt the eyes of inquisitive onlookers. I had to keep this pressure. After some time, they grew tired and stopped to inspect my person, apparently they found a more interesting object of observation. Once the parish priest invited me to his presbytery. He proposed to me to start studying in Warsaw at ATK. It is true that the proposal was interesting, but not to achieve in my case. Yet I could not leave my mother alone without any care and leave the farm, which was then my workplace. It does not hurt to mention here that after the seminar everyone had a ‘wolf ticket’, closed doors to any state, unless the person expressed willingness to cooperate with the regime, and such a step did not enter at all into consideration. Inevitably it left staying on the farm. On the back I had to learn to love and get my teeth into Silesian soil. In this work helped me my friendly

<sup>1</sup> All footnotes in this article come from the author.

Pierwsze lekcje gospodarzenia okazały się niezbyt łatwe. Praktyka rozjaśniała jednak tajemnice zawodu rolnika z zakresu uprawy, hodowli, jak też sztuki załatwiania spraw. Stopniowo poszerzał się krąg znajomych, przyjaciół; systematycznie wrastało się w swoje środowisko, w którym trzeba było pracować i z którym trzeba było współpracować, a także wspólnie żyć krotoczwilą. Matka powoli odzyskiwała nadzieję na lepsze jutro. Zaczęła cieszyć się z dwóch powodów: z zejścia się syna Kazika z żoną oraz z moich postępów w prowadzeniu gospodarstwa. Jednakże na horyzoncie przyszłości majaczyły w zarysie inne plany.

### Założenie rodziny

Istniała niewątpliwie świadomość potrzeby ożenku, ale to nie wystarczało do jego realizacji, płynął czas, a górę brało starokawalerskie wygodnictwo. Nie brakowało oczywiście stręczycieli, nie tak zainteresowanych szczęściem kawalera, co pozbycia się z rodziny wiekowej panny. Dlatego też w nie planowanym castingu brały udział panienki o różnej urodzie, statusie majątkowym, z zawodem i bez zawodu. U jednych niewiast budziłem zainteresowanie z racji mojej przeszłości, u drugich z chęci zmiany stanu cywilnego za wszelką cenę. Na razie wszystkie podszepty i wręcz nalegania nie znajdowały posłuchu. Nawet stryjenki sugestie matrymonialne nie budziły jakiegось zachwyty. Wszystkie propozycje, poważne i mniej poważne, były obracane w żart. Nieraz tylko matka przypominała, że na wszystko w przyrodzie jest pora: na sianie, dojrzewanie i zbieranie; kto nie szanuje tych praw, ponosi szkodę.

Pewnego razu zimą pojechałem autobusem do Grodkowa, by tam załatwić sprawy związane z gospodarstwem, ponieważ pogoda była dżdżysta, doskwierał ziąb, jak to zdarza się w lutym. Po dwóch godzinach uporałem się ze wszystkim. Do domu nie miałem połączenia, za to dużo czasu. Żeby nie nudziło się i zastać przytulne, ciepłe miejsce, postanowiłem odwiedzić dla mnie bliżej nieznaną dziewczynę, gorąco polecaną na żonę przez wspomnianą stryjenkę. Wedle relacji krewnej owa kandydatka do zamążpójścia pochodziła z dziewięcioosobowej rodziny rolniczej z Brzeziny<sup>2</sup>, bardzo poważanej i zacnej. Dzieci zostały wychowane w duchu chrześcijańskich przykazań. Powiedziałem sobie w duchu: Pójdę zobaczyć to Boże stworzenie. Wszedłem do Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, wkrótce trafiłem do Wydziału Architektury i Budownictwa. Nie mogłem dostrzec żadnej panny; był tylko jakiś starszy pan, którego wciągnąłem w nie kończącą się rozmowę na temat działki budowlanej. Po tej mistyfikacji dostrzegłem uroczą ciemnowłosą z czarnymi oczami dziewczynę. Pomyślałem: Ty będziesz moją wybranką losu. Nawiązałem z nią konwersację dość gładko, oczywiście w sprawach służbowych. Kiedy na chwilę opuścił nas pan, zainicjowałem temat nie z budownictwa, lecz dotyczący przyszłej randki (teraz party). Udało się. Za pierwszym spotkaniem poszły następne. Wszystkie zmierzały, jak się okazało, do zamierzonego celu. Przyszła małżonka zaprosiła mnie w końcu do siebie do domu. Poznałem jej rodzinę, o jaką mi chodziło i o jakiej marzyłem. W lipcu tegoż roku<sup>3</sup> pobraliśmy się. Irena<sup>4</sup> zamieszkała w Młodoszowicach u mojego boku, przygarniając chorą, ale pomocną teściową.

Żona po swojemu urządziła dom. W wyniku przeprowadzonych remontów powstały nowe pokoje i łazienka. Z kranów popłynęła zimna i ciepła woda. Powstało przytulne ognisko domowe. Dzięki umiejętnościom kulinarnym i gościnności mojej pani ożywiły się więzy rodzinne. Rzesze gości o różnych porach dnia i roku nie opuszczały naszych kątów. Również i my byliśmy

<sup>2</sup> Miejscowość odległa około 17 km od Grodkowa

<sup>3</sup> Nasz ślub odbył się 23 lipca 1972 roku w kościele filialnym w Brzezinach; sakramentu małżeństwa udzielił nam proboszcz parafii w Skoroszycach ks. Alfred Rukszto

<sup>4</sup> Urodziła się 15 X 1949 roku w Brzezinach

farmers and my brother Kazimierz. First lessons of running the farm were not too easy. The practice, however, lit up the secrets of the farming profession of cultivation, breeding, as well as the art of handling matters. Gradually the circle of friends broaden, I systematically grow into environment, in which it was necessary to work and with which you had to cooperate and live together. My mother slowly regained hope for a better tomorrow. She began to be happy for two reasons: with descending the son Kazimierz and his wife, and my progress in running the farm. However, the future loomed on the horizon in the outline of other plans.

### Founding Family

There was no doubt aware of the need for marriage, but it was not enough to implement it, the time floated, and comfort of the old bachelor took up. Of course there was no lack of panders, not so interested in the happiness of the bachelor, but to get rid of the family age girls. Therefore, different girls participated in no scheduled auditions on various beauty, status, property, occupation and without the profession. In some women I woke interest because of my past, in others from the desire to change their status at any price. For then, all whispers and even insistence were not heeded. Even my aunt's matrimonial suggestions did not arouse any enthusiasm. All proposals, serious and less serious, were turned into a joke. Only sometimes my mother just reminded us that for everything in nature is time: for sowing, ripening and gathering, who do not respect these rights, suffering injury. Once, in winter, I went by bus to Grodkow, where I had to settle matters relating to the farm, and the weather was rainy so chill plagued, as it happens in February. After two hours did everything. I had no bus to home for a long time. In order not to get bored and get hold of a cozy, warm place, I decided to visit not closer known by me a girl, who was strongly recommend to me as a wife by the mentioned aunt. According to the relation of my relative the candidate for my wife came from the nine-person family from Brzeziny<sup>2</sup>, very respectable and honorable. The children were brought up in the spirit of Christian precepts. I said to myself: 'I will go see this God's creation.' I went to the Bureau of the National Council of the District, and soon landed in the Faculty of Architecture and Construction. I could not see no lady, there was just an old man, who I pulled in a never-ending conversation about the building plot. After this hoax I saw a lovely dark-haired girl with black eyes. I thought, you would be my chosen destiny. I began a conversation with her quite easily, of course, on business. When the man left us for the moment, I initiated the topic not about the building, but for a future dating (now the party). It worked. After first meeting went others. All aimed, as it turned out, for the intended purpose. The future wife invited me finally to her home. I met her family, that I want and what I dreamed. In July<sup>3</sup> of that year we got married. Irene<sup>4</sup> lived in Młodoszowice at my side, with a sick, but helping mother in law. My wife decorated the house in her way. As a result of renovations, new rooms and a bathroom were created. The taps flowed with cold and warm water. A cozy home was created. With the culinary and hospitality skills of my lady my family ties become more intensive. Crowds of guests at different times of day and year did not leave our corners. Also, we were invited by relatives and friends for all sorts of occasions. We were not always able to fulfill invitations, especially when on the world arrived our children, long had awaited by us. In 1975,

<sup>2</sup> A village located about 17 km from Grodkow.

<sup>3</sup> Our wedding took place on 23 July 1972 in a church in Brzeziny, parish priest Fr. Alfred Rukszto gave us the sacrament of marriage in Skoroszyce.

<sup>4</sup> She was born on 15 October 1949 in Brzeziny.

## KRESOWE NADWISŁOCZE

zapraszani przez krewnych i znajomych na wszelkiego rodzaju uroczystości. Nie zawsze byliśmy w stanie zadośćuczynić zaproszeniom, zwłaszcza wtedy gdy na świat przyszły dzieci, długo przez nas oczekiwane. W 1975 roku szczęśliwie urodziła się córka Aldona,<sup>5</sup> a w 1977 roku córka Angelika.<sup>6</sup> Babcia Józefa wzięła je pod swoją czułą opiekę, ucząc wnuczki od pierwszych dni ich życia karność i pacierza. Żona po urlopie macierzyńskim nadal pracowała w Grodkowie w planowaniu przestrzennym, ja przez większą część roku związany byłem z rolą, w zimie jeździłem z kolegami na budowę państwową, aby sprostać problemom finansowym. Wieczorami i niedzielami czytałem.

Tymczasem gospodarstwo zaczęło przynosić dochody. Nastawiliśmy się na uprawę roślin przemysłowych, jak rzepak, burak cukrowy, len oraz na hodowlę bydła, bo takie rozwiązania dyktowała ówczesna ekonomia. W lokalnej społeczności wypracowaliśmy sobie pewny status. Na licznych szczeblach życia zbiorowego byliśmy jego aktywnymi uczestnikami, nie wyłączając struktur Kościoła. Nierzadko doświadczaliśmy błogostanu w naszym domu, wszakże nie opuszczała nas świadomość tymczasowości pobytu we wsi osiedlenia, w Młodoszowicach.<sup>7</sup> Tu, mimo wszystko, czuliśmy się dysydentami. Zew ducha wołał nas do dalszej wędrówki.

### Solidarność. Stan wojenny

Wspomnianą dekadę gierkowską, skądinąd pomyślną dla rozwoju rolnictwa, zwińczył ruch Solidarności, który z jednej strony uwidoczniał kryzys państwa i gospodarki centralnie sterowanej, obciążonej długami, niewydolnej, z drugiej strony zmanifestował dążność społeczeństwa do wolności. W 1980 roku wieś, uprawiając ziemię, była przykuta do wydarzeń z Wybrzeża. Wiało wolnością, wszędzie powstawały komitety NSZZ Solidarność.<sup>8</sup> Ta nazwa stała się symbolem wyzwolenia i obejmowała wszystkie grupy społeczne. W jej programie nie dało się oddzielić postulatów czysto robotniczych od żądań politycznych. To był wielki zryw narodowy na skalę europejską. Współczesna Wiosna Ludów spod znaku kotwicy na Starym Kontynencie (i nie ma tu żadnej kozery), kierując swe ostrze przeciw układowi z Jałty, zburzyła mur berliński jako widoczny znak powojennych rozbiórów. W mojej wsi zaraz w pierwszych dniach listopada 1980 roku powołano do życia komitet NSZZ Solidarność. Społeczność lokalna powierzyła mi kierownictwo. Wtedy zapoznałem się z niektórymi czołowymi działaczami ruchu, m. in. z Anną Walentynowicz i Andrzejem Gwiazdą. Braliśmy udział w zjazdach i wykładach, protestowaliśmy przeciw decyzjom terenowych władz partyjnych. Równocześnie odczuwaliśmy wszędzie oddech komuny. Jej funkcjonariusze zapisywali się z polecenia partii do Solidarności i wyrafinowanymi metodami rozsadzali organizację od środka, na szeroką skalę prowadzili dywersję, a do współpracy wciągali nawet szanowanych ludzi, łamiąc wcześniej ich prawe sumienia szantażem i zastraszaniem. Nie inaczej było w Młodoszowicach, wszyscy aktywiści i siepacze reżymowi wstąpili w szeregi nowej organizacji. Wśród rolników nastąpiła dychotomia postępowania: niesubordynacja wobec władz związku i służalczość wobec władz państwowych. Niektórzy krzykacze, tzw. prosolidarnościowi, odślonili swoją właściwą twarz w sytuacji, gdy należało odmówić płacenia podatków celem wymuszenia realizacji postulatów rolniczych wysuwanych przez związek pod adresem decydentów

<sup>5</sup> Dokładna data i miejsce urodzenia: 5 XI 1975 we Wrocławiu

<sup>6</sup> Dokładna data i miejsce urodzenia: 1 III 1977 w Brzegu n. Odrą

<sup>7</sup> Gospodarstwo w Młodoszowicach musieliśmy opuścić nie tylko ze względów na nasze plany zamieszkania nieopodal aglomeracji miejskiej, ale też z tego powodu, że ojciec jeszcze za swojego życia przyrzekł przepisać go Kazimierzowi. Jak wiadomo, *pacta sunt servanda*.

<sup>8</sup> NSZZ Solidarność – skrót od: Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Solidarność

we successfully gave birth to the daughter Aldona<sup>5</sup>, in 1977 the daughter Angelika<sup>6</sup>. Our grandmother Jozefa took them under her tender care, teaching her granddaughters in the first days of their life discipline and prayer. My wife after maternity leave continued work in Grodkow in planning, I most of the year was associated with the farming, in the winter I rode with my colleagues on a construction site to face financial problems. I read in the evenings and Sundays.

The farm started generating revenue. We cultivated industrial crops such as canola, sugar beet, flax, and the cattle-rearing, because such a solution was dictated by the then economics. We developed a certain status in the local community. At many levels of community life we were active participants, including the structures of the Church. We often experienced bliss in our house, however, did not leave us aware of the temporary stay in the village, in Młodoszowice<sup>7</sup>. Here, after all, we felt dissidents. Call of the spirit called us to continue walking.

### Solidarity. Martial Law.

Said Gierek's decade, moreover successful for agricultural development, crowned the Solidarity movement, which highlighted a crisis in one part of the state and state-controlled economy, burdened with debts, inefficient, on the other hand manifested the tendency of society to freedom. In 1980 the country, cultivating the land, was riveted to the events of the Coast. Freedom came, everywhere were formed NSZZ Solidarność<sup>8</sup> comities. This name became a symbol of liberation and included all social groups. In its program could not be separated the workers demands from purely political demands. It was a great national rebellion on a European scale. Contemporary springtime of nations from the anchor sign on the Old Continent, directing its blade against the arrangement of Yalta, demolished the Berlin Wall as a visible sign of post-war partition. In my village, once in the first days of November 1980 was created a group of Solidarity Trade Union. The local community has entrusted me to lead. Then I acquainted with some of the leading activists, among others Anna Walentynowicz and Andrzej Gwiazda. We participated in conferences and lectures, protested against the decisions of the local party authorities. At the same time we felt the breath of communism everywhere. Its officers wrote down according to the instructions of the party for Solidarity and using sophisticated methods burst the organization from the center, conducted large-scale diversion, and pulled to cooperate even respectable people, violating their right conscience by blackmail and intimidation. The same was in Młodoszowice, all the activists joined the ranks of the new organization. Among farmers there was a dichotomy in their behavior: insubordination to the new organization and subservience to the state authorities. Some screamers claiming their total support to the union unveiled their face where it was to refuse to pay taxes in order to enforce the implementation of agricultural demands put forward by the union at decision-makers in the party apparatus. However, they first gave the tribute to the head of the village. Constantly something was

<sup>5</sup> The exact date and place of birth: 5 October 1975 in Wrocław.

<sup>6</sup> The exact date and place of birth: 1 March 1977 in Brzeg.

<sup>7</sup> The holding in Młodoszowice we had to leave not only for our plans to live near an urban area, but also for this reason that my father during his live promised to give it to Kazimierz. As you know, *pacta sunt servanda*.

<sup>8</sup> NSZZ Solidarność – an acronym for: Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Solidarność. (Trade Union Solidarity - an acronym for: Independent Self-Governing Trade Union Solidarity).

z aparatu partyjnego. Oni jednak pierwsi ponieśli daninę do sołtysa. Nieustannie w powietrzu coś wisiało, każdy o tym wiedział. Komuna cały czas mocowała się ze społeczeństwem i szukała fortelu jego spacyfikowania. W mediach kreowała bez przerwy dwa główne zagrożenia, pierwszy - pochodzący z bankructwa ekonomicznego państwa z powodu warcholstwa Solidarności oraz drugi - wypływający z realnej inwazji sowieckiej (kolejność nieważna). Obydwa argumenty zostały wykute w kuźni KC PZPR<sup>9</sup> przez współpracujące z reżymem ośrodki opiniotwórcze na potrzeby doraźnej władzy. Te straszaki wykorzystywano w propagandzie partyjnej do uśmierzenia wzbурzenia społecznego.<sup>10</sup>

13 grudnia 1981 roku – smutna to data w moim życiorysie. W niedzielny poranek włączyłem telewizor przed pójściem do kościoła. Brak obrazu. Po chwili ukazał się w gali wojskowej, ze wszystkimi imponderabiliami, należnymi szefowi WRON<sup>11</sup>, generał Wojciech Jaruzelski. Namaszczonym głosem oznajmił wprowadzenie stanu wojennego na terenie całego kraju. Oslupiałem. Krzyknąłem do żony, która była w tym czasie w innym pomieszczeniu: Wojna! W każdej chwili spodziewałem się aresztu. Niebawem zapadłem na nerwicę serca. Przygnębienie ogarnęło moją rodzinę i moją miejscowość, i moją Polskę. Członkowie Solidarności stali się banitami, żyli, bo żyli. ZOMO<sup>12</sup> szalało na ulicach miast, maltretowało obywateli. Kiedy już nie satysfakcjonowały komuny dotychczasowe środki upodlenia rodaków, sięgnęła po mordy związkowców i kapłanów. Symbolem polskiej smuty stał się ks. Jerzy Popiełuszko, który za prawdę został zgładzony z polecenia jednego z głównych autorów i wykonawców stanu wojennego, generała Czesława Kiszczaka, ministra spraw wewnętrznych. Niestety, ku zawstydzeniu nas wszystkich, główni mocodawcy tego haniebnego aktu żyją na wolności, a ich dzieci dobrze się mają i spijają nektar na intratnych posadach prezesów w radach nadzorczych różnego pokroju spółkach.

W tym trudnym momencie historii wieś radziła sobie - jeśli tak można powiedzieć - dość dobrze. Państwo wróciło do gospodarki towarowo - wymiennej ze średniowiecza, pieniądź jako środek płatniczy odgrywał drugorzędą rolę. Obywatel starał się wyzbyć większej gotówki, gdyż pieniądź tracił z każdym dniem na wartości. Inflacja miała charakter galopujący. Miasto serwowało wsi wyroby fabryczne, wieś dostarczała miastu produkty rolne; podobnie działało się z usługami rzemieślniczymi. Każda ze stron była zadowolona, z wyjątkiem państwa, które było biernym obserwatorem transakcji handlowych. Rolnicy nie mogli dołączyć się do tańca chochołów partyjnych, pilnowali produkcji rolnej. Potrafili nie tylko utrzymać swe gospodarstwa na odpowiednim poziomie, ale je rozwinąć. W poczynaniach ekonomicznych rolników dochodziły do głosu zdrowy chłopski rozsądek, determinacja i pracowitość – zatem cnoty nieobecne w ówczesnych zakładach państwowych. Mimo tak niepewnych czasów nadal kontynuowałem z żoną wcześniejszą rozpoczętą budowę domu w Świętej Katarzynie, położonej na obrzeżach Wrocławia. Naszym poczynaniom przyświecały następujące cele: 1. Cieszyć się urokami wsi i równocześnie korzystać z bogatej oferty pracy dużego miasta. 2. Mieć szeroki dostęp do kultury. 3. Dać dzieciom szansę studiowania. Podjęte zadanie było zapewne na mięśnie Herkulesa. Nie tyle liczyliśmy na ekonomię i na własne siły, co na łaskę Bożą.

Święta Katarzyna, dn. 30 grudnia 2009 roku

<sup>9</sup> KC PZPR – skrót od: Komitet Centralny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej

<sup>10</sup> W swej obronie gen. W. Jaruzelski używa do teraz powyższych argumentów

<sup>11</sup> WRON – skrót od: Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego, na której czele stał gen. Wojciech Jaruzelski

<sup>12</sup> ZOMO – skrót od: Zmechanizowane Oddziały Milicji Obywatelskiej

hanging in the air, everyone knew that. The Commune was still struggling with the public and looked for tricks to destroy it. In the media without interruption were repeated two main threats, the first - the economic bankruptcy of the state due to rebellious activity of Solidarity and the second - a real invasion from the Soviet Union (order unimportant). Both arguments were forged in the smithy of KC PZPR<sup>9</sup> regime by cooperating with opinion formers on the immediate needs of power. These plots were used in party propaganda to appease public outrage<sup>10</sup>.

December 13, 1981 - a sad date in my resume. On Sunday morning, I turned on the TV before going to church. No picture. After a while, appeared in a military gala, with all medals, due to the Head of WRON<sup>11</sup>, General Wojciech Jaruzelski. With anointed voice he announced the introduction of martial law throughout the country. I dumbfounded. I shouted to my wife, who was at that time in another room: War! At any moment I expected to be put in jail. Soon I fell in cardiac neurosis. Despondency gripped my family and my village, and my Poland. Members of Solidarity became outlaws lived, because they lived. ZOMO<sup>12</sup> rampaged on the streets, huffed citizens. When the Commune was no longer satisfied with existing resources degradation of its countrymen, it reached for murder of trade unionists and priests. The symbol of Polish tragedy became priest Jerzy Popiełuszko, who was executed for the truth of the command of one of the main author and performer of martial law, general Czesław Kiszczak - the interior minister. Unfortunately, all of us to shame, the main principals of this disgraceful act live in freedom, and their children are well and drink nectar in lucrative foundations of governors on the boards of various companies conformation. In this difficult moment in history the village cope - so to speak - quite well. It returned to the state economy based on exchanging goods like in the Middle Ages as means of payment by money played a minor role. The citizens tried to get rid of more cash, because money lost value every day. There was a galloping inflation. City served factory products to village, village supplied city with agricultural products, the same happened with craft services. Each party was satisfied with the exception of the State, which was a passive observer of commercial transactions. Farmers could not join to the dance of the state party, they guarded agricultural production. They were able not only to maintain their farms at an appropriate level, but expand them. In the economic endeavors of farmers came to the fore a healthy peasant common sense, determination and hard work - so the virtues absent in the contemporary state enterprises. Despite such uncertain times I still continued with my wife to build a house in Święta Katarzyna, situated on the outskirts of Wrocław. Our actions were guided by the following objectives: 1 To enjoy the whole village and at the same time benefit from a wide range of work in a big city. 2. To have broad access to culture. 3. To give children a chance to study. The undertaken task was probably for the muscles of Hercules. Not so much we counted on the economy and our own strength, what on the grace of God.

Święta Katarzyna, 30th December, 2009

<sup>9</sup> PZPR - stands for the Central Committee of Polish United Workers Party.

<sup>10</sup> In his defense, General W. Jaruzelski, now uses these arguments.

<sup>11</sup> WRON - stands for Military Council of National Salvation, headed by General Wojciech Jaruzelski.

<sup>12</sup> ZOMO - stands for Mechanized Divisions Militia.

ks. Janusz Królikowski

## Setna rocznica urodzin generała Władysława Sikorskiego w Chorzelowie – 24 maja 1981 roku

W 1981 r., w nurcie tego porywu ducha patriotycznego, które wzbudziła rodząca się Solidarność, w miejscach związanych z dziejami generała Władysława Sikorskiego, obchodzono uroczyste stulecie jego urodzin. Były to niezapomniane chwile, które przyczyniły się do ożywienia wspomnień i zamyślenia nad znaczeniem niektórych ważnych wydarzeń z polskich dziejów. Postać generała W. Sikorskiego, z całym jej rozmachem i dramatyzmem równocześnie, jakoś naturalnie pasowała do tego wszystkiego, co działo się wówczas w Polsce. Był to czas rozmachu i nadziei, ale także dramatyzmu i niepokoju. Nie byliśmy wówczas naiwni. Pamiętam, jak w czasie zakładania tablicy pamiątkowej ku czci generała Sikorskiego przy chrzcielnicy w Chorzelowskim kościele, któryś z przedstawicieli mieleckiej Solidarności powiedział: „Może po Solidarności zostanie tylko ta tablica w chorzelowskim kościele”. Już kilka miesięcy później, 13. grudnia, ten niepokój został potwierdzony ogłoszeniem stanu wojennego.

Tablicę ku czci generała Władysława Sikorskiego w chorzelowskim kościele odsłonięto 24 maja 1981 r. Uroczystościom przewodniczył biskup Jerzy Ablewicz, ówczesny biskup tarnowski. W tym miejscu publikujemy kazanie, które wygłosił w czasie tej uroczystości, pozostające wyrazem wiary w chrzest święty oraz uznania dla generała W. Sikorskiego.

Biskup Jerzy Ablewicz

# BÓG, HONOR I OJCZYZNA

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! W te majowe dni 1981 roku podążamy szlakiem wielkiego obchodu stulecia urodzin generała Władysława Eugeniusza Sikorskiego. Podążając tym jubileuszowym szlakiem w ostatnią niedzielę zatrzymaliśmy się w pobliskim Tuszowie Narodowym, przy domu, w którym 100 lat temu, 20 maja 1881 roku, ujrzał światło wielki Generał, jako syn skromnego nauczyciela a zarazem organisty miejscowego. Byłby ten nasz jubileuszowy pochód ku czci generała Sikorskiego niepełny, brakowałoby mu na pewno czegoś ważnego, gdybyśmy nie stanęli dzisiaj przy tej chrzcielnicy w kościele w Chorzelowie, z której – 7 lipca minie sto lat – jak na jego głowę spłynęła woda chrztu świętego. Tutaj bowiem przy chrzcielnicy generał Sikorski stał się Bożym człowiekiem. Boży człowiek. Rozważmy, drodzy bracia i siostry, przez chwilę co najmniej te nasze podstawowe, fundamentalne prawdy wiary świętej.

Chrzest oczyszcza duszę człowieka z grzechu pierwotnego. Z wszelakiej winy i kary. Chrzest przyozdabia duszę ludzką w utkaną Bożą ręką przepiękną szatę łaski uświęcającej, której piękności nie jesteśmy w stanie wysławić. Chrzest czyni człowieka według słów świętego Piotra uczestnikiem natury samego Boga. Chrzest wynosi człowieka na szczyty synostwa Bożego i Bożego człowieczeństwa. Chrzest sprawia, że w duszy człowieka poczyna mieszkać Bóg, że człowiek staje się żywą świątynią Boga.

Przeogromna, niezwykle jest wymowa każdej chrzcielnicy, i tej także chorzelow-

skiej, przy której tyłu z was obecnych w tym kościele zostało ochrzczonych.

Drodzy bracia i siostry! Mamy prawo stwierdzić, że wielki Generał żył tą prawdą, jaką wyraża chrzcielnica, każda chrzcielnica, a w szczególności ta chorzelowska. Żył tą prawdą od dzieciństwa, jako wychowany w wierze katolickiej, jako uczeń wpiery gimnazjum a później seminarium nauczycielskiego w Rzeszowie, jako student lwowskiej politechniki na wydziale dróg i mostów, jako żołnierz Rzeczypospolitej, jako minister spraw wojskowych i premier rządu w Polsce przedwojennej, tuż po odzyskaniu przez nią niepodległości, i jako wódz naczelny i premier emigracyjnego rządu polskiego do końca swojego życia.

Cofnijmy się myślą do 28 lutego 1941 roku. To był czas strasnej zawieruchy wojennej. Przypominamy sobie nasze ciężkie przeżycia z roku czterdziestego pierwszego, drugiego roku potwornej wojny. Generał Sikorski otrzymał wtedy zaszczytny tytuł doktora honoris causa – doktora honorowego, na najstarszym uniwersytecie szkockim, założonym w Szkocji już w 1413 roku. W Sali, gdzie niegdyś zbierał się sejm szkocki, żołnierze polscy na rozpoczęcie uroczystości odznaczenia swego ukochanego wodza, śpiewali „*Gaude, Mater Polonia – Ciesz się, Matko Polsko*”. Ten hymn ku czci św. Stanisława, naszych świętych, który stał się jakby naszym drugim hymnem narodowym. Przemawiał dziekan uniwersytetu Richtglet. W swoim przemówieniu oddał hołd wykształceniu generała Sikorskiego, inżynierskiemu i wojskowemu. Przedstawił



Zdjęcie gen. Wł. Sikorskiego wydane przez KAW Rzeszów w serii zdjęć z okazji 100. rocznicy urodzin w nakładzie 200 egz. Zb. wł. W. Gąsiewski

jego zasługi jako żołnierza, oficera i męża stanu.

Podkreślił wysoką wartość naukową i praktyczną jego książki *Przyszła wojna*, jaką Generał napisał na kilka lat przed II światową wojną i w niej właśnie w dużej mierze przewidywał bieg tej strasnej zawieruchy wojennej. W odpowiedzi przemówił generał Sikorski. Znamienne było jego przemówienie. Ono jest jak gdyby czymś złączonym z tą chrzcielnicą, przy której został ochrzczony w Chorzelowie. Oświadczył, że toczy się wojna, toczy się walka, nie tylko o prawo Polski do niepodległego bytu, ale o wolność całego chrześcijańskiego świata. Że to jest wojna o kulturę chrześcijańską, o jej hamletowskie: być i nie być w rodzinie narodów europejskich i narodów świata. Powiedział wtedy z mocą, że jednostka nie jest – jak to ma miejsce w państwach totalitarnych – bezdusznym automatem. Podkreślił, że jednostki nie można totalizmem niemieckim czy jakim innym totalizmem ściągnąć do roboty, do automatu, bo człowiek, jednostka ludzka – powiedział z mocą – jest stworzona na obraz i podobieństwo Boga. I dlatego posiada niezwykłe prawa. Prawa, których człowiekowi nie może nikt odebrać. Mówił dalej, że państwo podlega przykazaniom Bożym, głęboko wrytym w naszych sumieniach.

Tak mówił generał Sikorski, gdy na jego skroni miał spocząć wysoki laur doktora honoris causa najstarszego uniwersytetu w Szkocji. Można powiedzieć, że żył on prawdą o podobieństwie i obrazie Bożym, jaki nosi w sobie człowiek. Żył prawdą, jaką wyraża chrzcielnica. Przy chrzcielnicy bowiem, drodzy bracia i siostry, dzieje się coś niezwykle ważnego, coś, czego nie widzą nasze oczy, ale co jest rzeczywiste.



Czego rzeczywistość poznamy kiedyś w wieczności, gdy wejdziemy w nią naznaczeni znakiem chrztu świętego. Przy chrzcielnicy Bóg łaską swoją miłosierną, odnawia zatarty przez grzech obraz i podobieństwo, jakie wyrzył w duszy człowieka, jakie wyrzył w naszych sercach.

Wczoraj, w ostatnią niedzielę, w Tuszowie Narodowym przytoczyłem słowa Wincentego Witosa z jego wspomnień, dotyczące generała Sikorskiego. Napisał Witos, że czyn generała Sikorskiego mówi więcej niż tomy książek. Lapidarne określenie naszego wielkiego ludowego przywódcy, premiera kilku naszych rządów, m.in. Rządu Ocalenia Narodowego. Tak, czyn Sikorskiego mówi więcej niż tomy książek, bo to jest czyn. Ale ten czyn na pewno rodził się u niego z tego głębokiego przeświadczenia, że człowiek to nie automat, to nie rzecz, to obraz i podobieństwo Boże. Ten obraz i podobieństwo Boże, które przywraca mu chrzest. Blask, który zaczyna błyszczeć w niezwykłym świetle właśnie przy chrzcielnicy. Dlatego z mocą mówił tam w Szkocji, że żaden naród nie może być narzędziem czy mierzwą kogokolwiek, bo naród to ludzie – ludzie stworzeni na obraz i podobieństwo Boże, ludzie ochrzczeni

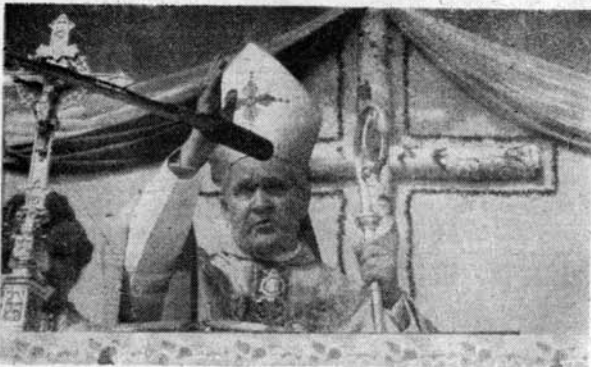
i wyniesieni do niezwyklej godności synów Bożych i mieszkania Boga w Trójcy Świętej Jedynej.

Jak wiemy dobrze, generał Sikorski był wystawiony na wielkie ataki rozmaitych swoich krytyków i przeciwników. Był wystawiony na te ataki w Polsce przedwojennej, zwłaszcza w polskim pierwszym sejmie. W tej Polsce przedwojennej nie mógł się zmieścić po 1926 roku ze swymi poglądami demokratycznymi, konstytucyjnymi, domagającymi się prawdziwych, niefałszowanych wyborów. Znalazł się w Polsce przedwojennej przez dłuższy czas właściwie na marginesie życia politycznego i przez dłuższy czas właściwie na marginesie życia politycznego i działalności wojskowej. Był wystawiony na krytyki. Był wystawiony także na krytykę jako wódz naczelny i premier rządu londyńskiego, naszego polskiego rządu na emigracji. Te krytyki są naturalne. Pioruny biją w wysokie drzewa. Kto się decyduje na stanowisko wysokie, aby rządzić, tym samym decyduje się na ostrzał krytyki, ataków nieraz słusznych, ale także nieraz niesłusznych i złośliwych. Jakżeż na te ataki odpowiadał generał Sikorski? Odpowiadał, na co mamy dowody historyczne, że idzie za głosem Bożego sumienia. Powo-

ływał się na głos Boga, który rozbrzmiewa w jego sumieniu. Tak się bronił w Polsce przedwojennej, tak się bronił na emigracji w ostatnich miesiącach swojego trudnego piastowania urzędu naczelnego wodza, a zwłaszcza premiera.

Przypomina mi się tutaj wspaniały wyjątek z Drugiego Listu do Koryntian św. Pawła. I św. Paweł był postacią kontrowersyjną, że tak powiem dzisiejszym językiem. Był za wielki Paweł, żeby w niego nie godziły nieraz bardzo niskie, płaskie ataki. Pisze Paweł, że przeżywał wielką udrękę, zostawmy na boku jaką. To była udręka szczegółowa. Zostawmy na boku dociekania egzegetów Drugiego Listu św. Pawła do Koryntian, co się kryło za tą udręką. Zwróćmy uwagę na to, jak na tę udrękę ze strony ludzi odpowiadał św. Paweł. Odpowiadał stwierdzeniem: „Chlubą moją jest świadectwo dobrego sumienia”. To jest mój awantaż, to jest moja przewaga przeciwko rozmaitym atakom. „Świadectwo dobrego sumienia” – nad tym oświadczeniem św. Pawła zatrzymał się w swoich rozważaniach św. Augustyn. I w tym swoim wspaniałym, cudownym komentarzu właśnie do Drugiego Listu św. Pawła do Koryntian pyta się swoją zwięzłą

## Obchody setnej rocznicy urodzin generała Władysława Sikorskiego w Tuszowie Narodowym



Błogosławieństwa udziela ks. biskup dr Jerzy Ablewicz.

„Pismo odznaczone Złotą Odznaką Związku Zawodowego Metalowców odznaka „Zasłużony dla województwa crzszewskiego”

# Głos ZAŁOŃCI

W niedzielę 17 maja br. w Tuszowie Narodowym licznie zebrał się mieszkańcy tej i okolicznych miejscowości, by uczcić setną rocznicę urodzin i złożyć hołd pamięci **Generała Sikorskiego** — wielkiego męża stanu i patrioty. Tej rangi uroczystości, która przebiegała w podniosłej atmosferze na Ziemi Tuszowskiej dawno nie notowano. Obok domu, w którym przed 100 laty — 20 maja 1881 roku — przyszedł na świat General wzniesiono ołtarz polowy. Na nim pośrodku biało-czerwonych i bialo-żółtych wstęg wisiał brzoźowy krzyż, po jego lewej stronie godło Polski i portret Generała Sikorskiego, po prawej obraz Matki Boskiej Częstochowskiej i portret Ojca Świętego Jana Pawła II.

W asyście banderli wjechał ordynariusz Diecezji Tarnowskiej, ks. biskup **Jerzy Ablewicz**, który następnie szpalerem strażaków podszedł do ołtarza. Jego Ekscelencję i wszystkich zebranych powitał naczelnik Gminy Tuszów **Jan Gancarz**, odczytał on również telegramy nadane do Społecznego Komitetu Obchodów 100 rocznicy urodzin gen. Władysława Sikorskiego w Tuszowie Narodowym.

„Dziękuję uprzejmie za zaproszenie na uroczystości ku czci generała Władysława Sikorskiego. W tym terminie jednak nie mogę przyjechać do Tuszowa Narodowego. Łącząc najlepsze życzenia” — podpisał przewodniczący Rady Państwa **Henryk Jabłoński**.

„Uprzejmie dziękuję za list z 5 maja br. i za informację o uroczystości z okazji setnej rocznicy urodzin Gen. Władysława Sikorskiego. Łączę się duchowo w modlitwach z Uczestnikami tej uroczystości i przesyłam serdeczne

błogosławieństwo” — telegram ten nadesłał **Franciszek kardynał Macharski**. Oty telegram nadesłany od **Stefana kardynała Wyszyńskiego Prymasa Polski**: „Przesyłam Komitetowi, Uczestnikom tej Uroczystości i Drogiej Młodzieży Zbiorowej Szkoły Gminnej w Tuszowie im. W. E. Sikorskiego błogosławieństwo prymasowskie: Łączę się z Wami w modlitwie na Uroczystej Mszy św., aby uprosić Miłosierdzie Boże dla naszej Ojczyzny, za którą tak ofiarnie walczył zasława Gen. Sikorski, a która dziś także potrzebuje dużo Łask Świętej, Mądrości, Mocy i Radości Bożych w gorliwej służbie Bogu i Braciom oraz oddaje wszystkich w macierzyńskie Dłonie Pańi Jasnogórskiej Królowej Polski i Patronki Polonii Zagranicznej, aby ubezpieczyć w dochośnaniu wierność Bogu, Krzyżowi, Ewangeli i duchowym skarbowi naszej tysiącletniej kultury katolickiej”.

(Ciąg dalszy na str. 2)

Tydzień wcześniej, 17 maja 1981 r., również z udziałem ks. bp. Jerzego Ablewicza uroczystości 100. rocznicy urodzin gen. Wł. Sikorskiego, odbyły się w Tuszowie Narodowym – miejscu urodzenia Generata. Poinformował o tym wówczas mielecki „Głos Załogi”, publikując m.in. zdjęcie bp. J. Ablewicza oraz omówienie Jego kazania podczas Mszy Św., która odbyła się przy polowym ołtarzu obok domu urodzin Naczelnego Wodza. „Głos Załogi”. R. 1981, nr 13, s. 1, 2. Zb. wł. W. Gąsiewski

a jakże pełną wyrazu łaciną: *Quid remanent?* Co ostatecznie pozostaje człowiekowi przeciwko rozmaitym atakom nieżyczliwych ludzi. Co pozostaje – pyta Augustyn, komentując św. Pawła – i odpowiada: „Świadectwo dobrego sumienia”. *Quid remanent?*

My widzimy, jak na tej niełatwej drodze generała Sikorskiego, pozostawało mu świadectwo dobrego sumienia. To przekonanie, że idzie za Bożym głosem, na który tak często się powoływał.

Podążamy szlakiem obchodu stulecia urodzin wielkiego Generała. Byłby ten obchód naprawdę, drodzy bracia i siostry, niezupełny, gdybyśmy się nie znaleźli przy chrzcielnicy, przy której został ochrzczony. Będą jeszcze na pewno wspaniałe stacje tego pochodu, tego szlaku obchodu stulecia urodzin wielkiego Generała, będzie na pewno wspaniała uroczystość złożenia jego prochów w podziemiach katedry wawelskiej, ale ta dzisiejsza uroczystość w Chorzelowie, chociaż ma skromne ramy wiejskiej parafii, posiada specjalną wymowę. Bo wymowy chrzcielnicy nic nie zastąpi, nawet sarkofag pośród grobów królewskich. Wymowa chrzcielnicy jest tak potężna, że ona nie da się niczym zastąpić. Bo przy tej chrzcielnicy na pewno wielki człowiek, bo nawet jego przeciwnicy muszą uznać, że był wielkim człowiekiem, stał się wielkim tą wielkością, która ma wymiary właściwie wchodzące w nieskończoność Boga. Stał się wielki synostwem Bożym, stał się Bożym człowiekiem. I stał się przy tej chrzcielnicy chorzelowskiej synem Kościoła. Został wszczepiony w mistyczne Ciało Chrystusa.

Dzieci wiedzą, że Pan Jezus to Syn Boży, który był Duchem. Z Bogiem Ojcem i Duchem Świętym, i dwa tysiące lat temu przyjął Ciało. Przyjął ciało fizyczne takie jak nasze. Podobne do naszego we wszystkim prócz grzechu. I w tym ciele Syn Boży żył przez lat trzydzieści trzy. W tym ciele cierpiał na krzyżu. W tym ciele umarł wśród niewypowiedzianych boleści. W tym ciele zmartwychwstał. W tym ciele wstąpił do nieba. I w tym swoim uwielbionym ciele przebywa teraz po prawicy Ojca w nieskończonej chwale. Ale obok tego ciała fizycznego Chrystusa chciał mieć jeszcze inne ciało – Ciało mistyczne. Niech nam się ten wyraz nie miesza z wyrazem mityczny. Mityczny, to znaczy legendarny, nieprawdziwy, bajkowy. A mistyczny to znaczy nadziemski, niedostrzegalny oczami, ale rzeczywisty. I miał, i ma Chrystus takie Ciało mistyczne. Tym Ciałem to my, ja, ty, miliony ludzi. Bo przecież w milionach dusz ludzkich zamieszkał Chrystus przez chrzest święty. I my tworzymy wskutek tego jedno Ciało Chrystusowe. To Ciało, które nie jest fizyczne – które jest mistyczne, nadziemskie. Nie widzimy go oczami, ale jest rzeczywiste, tak jak rzeczywiste jest to, że dzisiaj jest niedziela. I myśmy zebrali się, aby uczcić stulecie urodzin naszego wielkiego Rodaka. Dlatego też św. Paweł napisał: „W jedno Ciało jesteśmy ochrzczeni”. Chrzest stworzył z nas jedno Ciało, które się nazywa Kościół. Bo Kościół to nie jest tylko jakaś instytucja ludzka, to nie jest tylko jakaś organizacja, chociaż ma też swoje kształty organizacyjne i instytucjonalne. Kościół to jest Chrystus, który żyje w tym biednym umęczonym papieżu, który żyje w biskupach, kapłanach, w wiernych, w ludziach dobrej woli.

Kościół to Chrystus, który żyje szczególnie w was, drodzy ojcowie i matki, bo wy prowadzicie dzieło Chrystusa w swoich dzieciach, i dlatego Pius XII pisał: „Ojcowie i matki w tym Ciele mistycznym Chrystusa zajmują szczególnie wysokie miejsce”. I w to Ciało mistyczne, w ten Kościół, został wszczepiony wasz Rodak, generał Sikorski, przy tej chrzcielnicy stał się synem Kościoła. I dlatego też te uroczystości ku jego czci byłby niezupełne, gdybyśmy się tutaj przy tej chrzcielnicy dzisiaj nie zebrali. Tę prawdę przeżywał na pewno głęboko generał Sikorski. Przeżywał ją według swojego stanu, według swojej pozycji żołnierza, pierwszego żołnierza Rzeczypospolitej a zarazem pierwszego ministra, premiera i dlatego mówił: „Oświadczam wyraźnie, że Polacy walczą nie tylko o niepodległość swoją, że Polacy walczą o wolność chrześcijańskiego świata”. Podkreślał generał Sikorski, że on i jego żołnierze

walczą o kulturę chrześcijańską, walczą o Chrystusa w ludziach, o Chrystusa w duszach ludzkich, o tego Chrystusa mistycznego.

W sejmie w 1923 roku oddał generał Sikorski, jako ówczesny premier, głęboką hołd głowie tego Ciała mistycznego, Piusowi XI, temu papieżowi, który kochał Polaków, który nie opuścił ich nigdy, nawet w czasie największej próby. I wtedy w swojej mowie programowej mówił: „Projekt konkordatu ze Stolicą Apostolską, którą objął najwyższy dostojnik Kościoła, odznaczający się tak wielką i głęboką znajomością polityki światowej, a pełen szczerej przyjaźni dla Polski, rząd mój obecny przejął od poprzedniego gabinetu. Dążyć on będzie do możliwie szybkiego jego zawarcia. W państwie, gdzie większość ludzi wyznaje religię katolicką, jest to kwestia pierwszorzędnej wagi”.

Kościół na pewno był kwestią, sprawą pierwszorzędnej wagi dla generała Sikorskiego w Polsce przedwojennej, gdzie piastował urzędy ministra do spraw wojskowych i premiera. Był też Kościół dla niego sprawą wagi pierwszorzędnej jako dla premiera rządu emigracyjnego i wodza naczelnego sił zbrojnych polskich na emigracji.

Przypomnijmy sobie jak to 3 maja 1943 roku generał Sikorski złożył w hołdzie papieżowi Piusowi XII medal z racji jego srebrnego jubileuszu biskupstwa, z racji 25-lecia biskupstwa, jakie ten wielki papież obchodził. Co na tym medalu widzimy? Widzimy podobiznę Maryi Królowej Polski z napisem: *Regina Poloniae, ora pro nobis* Królowo Polski, módl się za nami”, i słowa dedykacji, które w języku polskim tak brzmią: „Piusowi XII najwyższemu kapłanowi w 25 rocznicę jego biskupstwa, Władysław Sikorski, najwyższy wódz sił zbrojnych i prezes rady ministrów oraz rządu Polski, Polski walczącej za wiarę w Chrystusa”. Polski walczącej za wiarę w Chrystusa, walczącej za Kościół, za Chrystusa mistycznego, za Chrystusa w duszach ludzkich.

Synem Kościoła stał się wielki generał przy chrzcielnicy.

W te majowe dni 1981 roku podążamy szlakiem wielkiego obchodu stulecia urodzin generała Sikorskiego. Byłby ten nasz pochód niezupełny, gdybyśmy tutaj dzisiaj nie znaleźli się przy jego chrzcielnicy. Bo, drodzy bracia i siostry, przy chrzcielnicy generał Sikorski stał się mężem nadziei, tej nadziei, którą umacniał naród w najcięższych, najbardziej dramatycznych chwilach jego historii.

Zwykliśmy chrzest nazwać sakramentem wiary, ale ja bym chciał dodać: chrzest to jest sakrament wiary, który wznosi nas na wyżyny nadziei, tej nadziei, bez której życie ludzkie staje się bezsenssem, staje się nieporozumieniem. Wszak Chrystus mówił: „Kto uwierzy i ochrzci się będzie zbawiony”, a więc chrzcielnica, przy której kiedyś na naszą głowę spłynęła woda chrztu świętego, to jest źródło naszej nadziei, że po udręce ziemskiej, jaką przeżywamy, czeka nas radość bez końca. Chrzcielnica to jest źródło naszej nadziei. Otwórzmy listy św. Pawła, które kładą się u fundamentów, u podstaw naszej teologii. Św. Paweł pisze, że chrzest to jest sakrament zmartwychwstania. Przy chrzcie świętym myśmy zostali zanurzeni w śmierci Chrystusa, to znaczy umarliśmy grzechowi po to, aby przez wodę chrztu świętego zmartwychwstać do nowego życia. Jeżeli gdzie, to przy chrzcielnicy powinniśmy śpiewać tę pieśń, którą naród nasz śpiewa od czterech stuleci:

„Przez Twoje święte zmartwychwstanie,  
Boży Synu, odpuść nam nasze zgrzeszenie.  
Wierzmy, iżesz z martwych powstał,  
Żywoteś nam naprawił,  
Śmierci wiecznej nas zbawił,  
Swoją świętą moc objawił”.

Każdemu z nas przy chrzcie świętym Chrystus zmartwychwstały niejako dał swoją moc i tą mocą idziemy przez życie, i tą mocą dojdziemy do zbawienia wiekuistego, i w niebie poznamy, co zawdzięczamy tej chrzcielnicy, przy której ja, ty, zostaliśmy ochrzczeni. Ona nas czyni ludźmi nadziei, i mężem nadziei był

generał Sikorski. Rozważmy, że miał on przyrodzone, naturalne dyspozycje do tego, żeby się nie załamywać, żeby nawet w najcięższych chwilach nie tracić głowy. Jego historyk pisze, że w 1933 roku wybrał się do jednego z kin Paryża na film. Nagle w czasie projekcji tego filmu w sali kinowej wybuchł pożar. Rozległo się głośne wołanie: *le feu* – ogień. Ludzie zaczęli tracić głowy. Z kabiny operatora szły kłęby dymu. Przerazenie ogarnęło tłum. Poczęły trzaskać krzesła. I oto na jednym z krzeseł stanął nagle wysoki, szczupły mężczyzna. I francuszczyzną obcą trochę, twardą zaczął wydawać rozkazy. Zaczęli go słuchać. Wnet nastąpił porządek. Pierwsze wyszły kobiety i dzieci, mężczyźni czekali grzecznie na swoją kolejkę. Służba kinoteatru otworzyła spokojnie zapasowe drzwi. Kto to był? Sikorski. Miał on te naturalne dyspozycje do zachowania głowy w najcięższych sytuacjach, do nie załamywania się. To był mąż nadziei.

Ale rozważmy, że te właśnie predyspozycje naturalne rozwinęła w nim nadprzyrodzona wiara, nadprzyrodzona chrzcielnica. Dawał on temu wyraz niejednokrotnie. Czytamy jego wypowiedzi zwarte, krótkie, żołnierskie. Jakże on pisał, gdy się znalazł w Związku Radzieckim, w ciężkich, niełatwych chwilach wśród naszych żołnierzy. Pisał on w księdze pamiątkowej, że „za pomocą Bożą doprowadzi Polaków do wolności”. Był to mąż nadziei.

Drodzy Bracia i Siostry! Przypomnijmy sobie to, co już mówiłem, gdy generał Sikorski był odznaczony laurą doktora honoris causa na najstarszym uniwersytecie szkockim. W czasie tej uroczystości nasi żołnierze śpiewali: „*Gaude, Mater Polonia* – Ciesz się, Matko Polsko”. My znamy treść tego drugiego naszego hymnu narodowego. W tym hymnie cieszy się nasza Matka Polska ze swoich synów. Ze św. Stanisława, z tylu świętych Polek i Polaków, nie tylko wyniesionych na ołtarze; z tylu wielkich mężów, synów, córek naszego narodu. Cieszy się Matka Polska, że oni byli ludźmi tej nadprzyrodzonej nadziei, że się nie załamywali czerpiąc moc i siłę z wody chrztu świętego. Pamiętajmy, moi drodzy, że na naszych dziejach w jakiś błogosławiony sposób zaciężyły wody chrztu świętego. Ten chrzest święty stał się naszą mocą poprzez tysiąc lat.

Kiedyś pisał Mickiewicz: „Ja kocham cały naród, objąłem w ramiona wszystkie jego rzecze przeszłe i przyszłe pokolenia jak przyjaciel, jak ojciec chcę tym narodem cały świat zadziwić”. Takie miał ukochanie narodu Mickiewicz. I rzecz znamienita, że te właśnie słowa Mickiewicza generał Sikorski wziął jako motto swojego życia. Objął cały naród w ramiona. Wszystkie przeszłe jego pokolenia. Jak przyjaciel, jak ojciec. I chciał tym narodem zadziwić Anglików, Francuzów, Rosjan, wszystkich. I ta jego miłość wielka ku narodowi miała nie tylko źródło przyrodzone, ona miała także źródło nadprzyrodzone w tej chrzcielnicy, przy której dzisiaj stajemy.

Wybiegamy do tej wieczności, w której już przebywa generał Sikorski, syn tej parafii. Do tej wieczności, w której przebywa ze swoją żoną, ze swoją córką, ze swoją rodziną, ze swoimi wiernymi żołnierzami, których poległo tyle na placach i polach bitewnych. Gdzie on jest w tej wieczności dzisiaj, w tej chwili, niech nam na to odpowie Pieśń XII Jana Kochanowskiego:

„A jeśli komu droga otwarta do nieba  
Tym co służą Ojczyźnie wątpić nie potrzeba.  
Że co im zazdrość ujmie, Bóg nagradzać będzie,  
A cnota kiedykolwiek miejsce swe posiadzie”.

Tak pisał nasz mądry Jan z Czarnolasu, że drogę do nieba otwiera szczególnie służba Ojczyźnie, a on przecież tej Ojczyźnie służył, jako żołnierz, jako generał armii, jako mąż stanu Polski. Tym, co służą Ojczyźnie, droga otwarta do nieba, wątpić nie potrzeba. I wierzymy, że tam Bóg w wieczności daje mu to, co mu chciała odebrać na ziemi małość ludzka czy wprost zazdrość ludzka.

Jakżeż zakończymy to moje przemówienie. Drodzy bracia i siostry! Trzeba nam dzisiaj ucałować chrzcielnicę, nie tylko

chrzcielnicę tę w Chorzelowie generała Sikorskiego, ale każdy z nas powinien ucałować swoją własną chrzcielnicę, w swojej rodzinnej parafii, bo przy tej chrzcielnicy ty i ja staliśmy się ludźmi Bożymi. Przy tej chrzcielnicy ty i ja staliśmy się synami Kościoła. Przy tej chrzcielnicy staliśmy się mężami nadziei. Przy tej chrzcielnicy w najcięższych chwilach śpiewamy:

„Przez Twoje święte zmartwychwstanie,  
Boży Synu, odpuść nam nasze zgrzeszenie.  
Wierzymy, iżeś z martwych powstał,  
Żywoteś nam naprawił,  
Śmierci wiecznej nas zbawił,  
Swoją świętą moc objawił”.

Chrzcielnica to nasze zmartwychwstanie, to nasza siła, by się nie załamywać nawet w najcięższych chwilach, to nasza gwarancja szczęśliwej wieczności, zmartwychwstania do życia wiecznego. I dlatego trzeba tę chrzcielnicę całować, tak jak całujemy krzyż, jak całujemy najdroższe nam fotografię, przedmioty. Tak nam trzeba całować chrzcielnicę. Jestem przekonany, że gdyby dzisiaj stanął tutaj wśród nas generał Sikorski, to by może ze wszystkiego zrezygnował, ze wszystkich szczegółów tych obchodów ku jego czci, ale nie zrezygnowałby z tego pocałunku złożonego do chrzcielnicy.

Minie nasze życie. I dopiero wtedy, w wieczności poznamy, czym była dla nas, drodzy bracia i siostry, ta chrzcielnica chorzelowska, przy której zostaliście ochrzczeni. Czym jest ona dla każdego z nas. I dlatego nad tą chrzcielnicą umieściliśmy tablicę pamiątkową, ku czci generała Sikorskiego. Tablica może być podwójna: martwa i żywa. O tej żywej mówi Pismo Święte. Ileż to razy na katach Pisma Świętego mamy wezwanie: „Wyrj Boże prawo, moje prawo, mówi Bóg” na żywej tablicy swego serca.

Jeżeli my za chwilę będziemy odsłaniać tę tablicę martwą, kamienną, ku czci generała Sikorskiego, to dlatego, że na żywej tablicy jego serca był wypisany Bóg. Bóg, Honor i Ojczyzna. Amen.



Epitafium gen. Wł. Sikorskiego w kościele parafialnym, odstoneżone i poświęcone przez biskupa Jerzego Ablewicza 24 maja 1981 r. Fot. 9 II 2011 r. Włodzimierz Gąsiewski

Włodzimierz Gąsiewski

## WALORY POCZTOWE INSTYTUTU POLSKIEGO I MUZEUM IM. GENERAŁA SIKORSKIEGO W LONDYNIE

Spośród wielu form upamiętniania gen. Władysława Sikorskiego w Polsce i zagranicą niezwykle ważne miejsce zajmują walory pocztowo-filatelistyczne, zarówno w postaci znaczków pocztowych, okolicznościowych stempli, kart pierwszego dnia obiegu, całości i całostek oraz korespondencji pocztowej. Tylko w Mielcu i na Ziemi Mieleckiej, można wyliczyć kilkanaście, a może i więcej różnych form walorów, wyemitowanych z różnych okazji rocznicowych poświęconych gen. Wł. Sikorskiemu, zwłaszcza w okresie 100-lecia jego urodzin w 1981 r.

Jeszcze mniej znane, a za to bardziej liczne są walory wydawane przez polskie środowiska kombatanckie i emigracyjne na obczyźnie, a zwłaszcza w Wielkiej Brytanii, gdzie w Londynie funkcjonuje Instytut Polski i Muzeum im. Generała Sikorskiego.

W niniejszym artykule prezentujemy właśnie kilka takich walorów, w postaci kopert pierwszego dnia obiegu, z okolicznościowym nadrukiem, naklejonym brytyjskim znaczkiem pocztowym oraz okolicznościowym stemplem. Pięć z zaprezentowanych kopert pochodzi z jednej serii pt. „Święto Żołnierza 15 VIII 1978”. Do kopert tych załączona była ulotka w języku polskim, w której napisano m.in.:

*Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie powstał w roku 1945 z dwóch połączonych placówek naukowo-kulturalnych: istniejącego od roku 1940 Polskiego Ośrodka Naukowego, oraz założonego w 1945 roku Instytutu Historycznego im. generała Sikorskiego. Dom Instytutu, mieszczący się w reprezentacyjnej części*





Londonu został zakupiony w 1945 r. z polskich funduszy wojskowych. Obok sal muzealnych, mają tu również swoją siedzibę archiwa i pracownie naukowe.

GMACH TEN TO SANKTUARIUM NASZYCH SZTANDARÓW, najcenniejszych pamiątek i dokumentów Polskich Sił Zbrojnych na Obczyźnie. Fundacja Sztandarów PSZ przyczynia się w pełni od momentu założenia w 1970 roku, do utrzymania naszego MUZEUM WOJSKA NA OBCZYŻNIE.

Z okazji Święta Żołnierza, na dzień 15 sierpnia 1978 roku, w pięćdziesięcio-ósmą rocznicę Bitwy Warszawskiej - nakładem Fundacji Sztandarów Polskich Sił Zbrojnych została wydana trzecia seria pamiątkowych kopert:

(9) Orzełek strzelecki I Brygady i odznaka I Brygady Leg. JP;  
(10) Odznaki: II Brygady Legionów i Drugiego Korpusu;  
(11) Odznaki: I Korpusu, Armii Hallera i 4 Dyw. Strzelców;  
(12) Odznaki: Polskiej Organizacji Wojskowej oraz Wojsk Wielkopolskich.

Pieczętka poczty brytyjskiej: Orzełek z okresu 1920 roku.

Poprzednie wydawnictwa to seria kopert (1 - 4) z okazji Święta Żołnierza 15 VIII 1977 (pieczętka z głowicą sztandaru 12 P. Ułanów Podolskich) oraz (5 - 9) z okazji pierwszej Konferencji Międzymuzealnej - Dnia Muzeum Polskiego Rapperswil (Szwajcaria) w Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie (pieczętka z herbem Polski i Litwy).

Na ulotce podany jest też adres: FUNDACJA SZTANDARÓW PSZ NA OBCZYŻNIE 20 Princes Gate London SW 7 1 QA Great Britain, z prośbą o dary na rzecz w/w fundacji z możliwością wpisu do Księgi Fundatorów.

W 2011 roku przypada 130 rocznica urodzin gen. Władysława Sikorskiego. Zapewne z tej okazji odbędą się różnorodne uroczystości. Może warto byłoby także wydać przynajmniej okolicznościową kartkę pocztową opatrzoną stemplem z datownikiem, z rangą waloru filatelistycznego.



Józef Zając, Cambridge MA USA

# Początki szkoły w Otałęży

## i jej najdawniejsi nauczyciele, w świetle zapisów metrykalnych oraz informacji prasowych w latach 1868 – 1918

**Ramy czasowe poniższego artykułu określiły posiadane przeze mnie materiały źródłowe, sam temat zaś – względy osobiste. Otałęż to miejsce rodzinne mojej ś.p. Matki, Marii z Pawelaków Zającowej (1921 – 2004), której to pamięci, w 90-lecie urodzin, tekst niniejszy poświęcam.**

Pierwsze próby utworzenia szkoły w Otałęży miały miejsce w roku 1855, o czym wiadomo z korespondencji do krakowskiego „Czasu” z maja tego roku. Nieznany z nazwiska korespondent z Tarnowa wymienia Otałęż wśród 28 miasteczek i wsi obwodu tarnowskiego, w których „trywialne szkoły z nadchodzącym rokiem szkolnym otworzone będą”. Jak się zdaje, skończyło się na dobrych chęciach władz obwodowych tarnowskich i do otwarcia szkoły w Otałęży wówczas nie doszło – jak zresztą w większości wymienionych w artykule miejscowości. Bo też o szkole otałęskiej nie słyhać zupełnie przez następne 13 lat i dopiero koniec 1868 roku przynosi pierwszą pewną o niej wiadomość. Oto dziennik „Czas” z grudnia tego roku podaje w krótkiej notce, że „rada szkolna krajowa, na przedstawienie hr. Adama Potockiego, mianowała nauczycielem w Otałęży nauczyciela w Ropczycach, p. Szczepana Komaną”. Mowa jest tu wyraźnie o szkole już istniejącej, jak się zdaje, niedawno otwartej. W ówczesnym systemie szkolnictwa galicyjskiego, była to tzw. szkoła ludowa pospolita jednoklasowa, zatrudniająca jednego, „ludowego” – według ówczesnego określenia – nauczyciela.

Według zachowanej tradycji (nie potwierdzonej wszakże przez dostępne źródła) w zorganizowaniu szkoły miał znaczny udział Aleksander Meszyński, długoletni dzierżawca obszaru dworskiego Orle. Tenże Meszyński znany jest skądinąd jako działacz organizacji narodowej w czasie powstania 1863/64, a także jako członek pierwszej rady powiatowej w Mielcu. Jako właściciel tabularny w Brniu Osuchowskim przyczynił się do powstania tam nowego budynku szkolnego w 1875 r., ofiarując na ten cel 5 morgów gruntu.

Tak więc krótka informacja w „Czasie” pozwala nam przyjąć rok 1868 jako początkowy w 150-letniej już prawie historii szkoły w Otałęży, a Szczepana Komanę uznać za jej pierwszego nauczyciela. Ten stan rzeczy potwierdza wykaz sporządzony w 1871 r. przez starostwo w Mielcu, w którym to wykazie Otałęż z nauczycielem Szczepanem Komanem wymieniona jest wśród 24 szkół istniejących podówczas w powiecie mieleckim (w sąsiednim powiecie pilźnieńskim było ich wtedy 18, w dąbrowskim zaledwie 8).

Listę pracujących w latach 1868 – 1918 nauczycieli w Otałęży otwiera zatem:

**Szczepan Koman** (taka jest zawsze pisownia jego nazwiska, nigdy Kohman), urodził się we wsi Choczni w pow. wadowickim ok. 1820 r., obejmując zatem w 1868 r. placówkę w Otałęży miał już blisko 50 lat. Przedtem uczył w Ropczycach – jak długo, nie wiadomo. Żonaty był z Julią z Broniowskich, która jako *uxor magistri de Otałęży* pojawia się kilkakrotnie w księgach metrykalnych Otałęży i Woli Otałęskiej w charakterze matki chrzestnej. W 1878 r. Komanowie pochowali 15-letnią córkę Józefę zmarłą na suchoty, w kilka lat potem (1884) zmarła też w wieku 56 lat Julia Komanowa. Pochowana została, tak jak wcześniej jej córka, na cmentarzu parafialnym w Czerminie. Jak długo potem jeszcze Szczepan Koman pozostawał w Otałęży nie wiadomo – zdaje się wkrótce po śmierci żony wyprowadził się stąd, lub też, mając dobrze ponad 60 lat, przeszedł na nauczycielską emeryturę. Żył jeszcze potem kilkanaście lat, a o jego śmierci informował „Czas” w 1901 r.: „Szczepan Koman, emerytowany nauczyciel ludowy, rodem z Choczni, zmarł nagle w Ostrowsku pod Nowym Targiem, w 81 roku życia”.

Między rokiem 1884 a 1895 nie mamy o szkole otałęskiej żadnych informacji. To zapewne w tych latach uczył nieznany nam z imienia Szwakopf, o którym wspomina jeden z jego następców, Jan Kosiński.

**Wojciech Frodyma**, syn Wawrzyńca i Karoliny z domu Tryto, urodzony w 1872 r. w Krzyżu k. Tarnowa. W Otałęży był co najmniej od roku 1895, kiedy to jako *ludi magister in Otałęż habitans* zawarł w kościele parafialnym w Czerminie związek małżeński z Wiktoria Pietrusiewicz urodzoną w 1877 r., córką Józefa, emerytowanego rewizora urzędu celnego w Otałęży. Tu w 1896 roku małżeństwu Frodymów urodziła się córka Stanisława Maria, a w rok później syn Stefan Teodor. Wkrótce potem – na pewno przed r. 1899 – Wojciech Frodyma przeniósł się z rodziną na nową posadę do Górek, gdzie pozostawał co najmniej do 1910 r.

**Józef Król**, syn Franciszka i Anny z d. Sator, urodzony w 1875 r., miejsce jego pochodzenia nie jest znane. Żonaty z Franciszką z domu Stopa. W metrykach Otałęży odnotowany jest dwukrotnie jako miejscowy *ludi magister* przy okazji chrztów córek: Eugenii Ludwiki w 1899 r., i Anieli Stanisławy w 1900 r. W latach późniejszych (1906) był kierownikiem szkoły w kolonii niemieckiej Schönanger.

**Mateusz Józef Wrześniowski**, s. Michała i Weroniki z domu Skwarczyńska, ur. 1874 r. w Buczaczu (Galicja Wschodnia). Kiedy przybył do Otałęży, dokładnie nie wiadomo. Poprzednio był nauczycielem m.in. w Gruszowie Wielkim w pow. dąbrowskim, gdzie w 1900 r. poślubił Helenę Sajdak, córkę miejscowego gospodarza. W tym czasie nauka w Otałęży odbywała się jeszcze w wynajętych chatach wiejskich, a nowy piętrowy, murowany budynek szkolny został oddany na krótko przed pierwszą wojną światową. Wówczas to kierownikiem szkoły był Mateusz Wrześniowski. W Otałęży przyszły na świat 4 córki Wrześniowskich: Maria Kazimiera (1906), Irena Anna (1908), Bronisława Prakseda (1910) i Karolina Helena (1917) – pozostawał więc Wrześniowski kierownikiem szkoły w Otałęży ponad 10 lat. W tej roli – *magister dirigens in Otałęży* – odnotowany jest w księgach metrykalnych parafii Słupiec w 1913 r. jako świadek ślubu Jana Szczerby, kierownika szkoły w Ziempniowie i Antoniny Szyndler, nauczycielki w Woli Wadowskiej. W tym czasie (1913) szkoła w Otałęży musiała być już dwuklasowa, ponieważ zatrudniała troje co najmniej pedagogów. Byli to, obok Wrześniowskiego, małżeństwo nauczycielskie Jan i Helena Kosińscy.

**Helena Kosińska**, z domu Musiał, córka Jacka i Anny z domu Kostrzewska, urodziła się w 1891 r. w Przegini k. Krakowa, w rodzinie nauczycielskiej. Po ukończeniu seminarium nauczycielskiego w Krakowie na Podgórzu, trafiła w Mieleckie, jak sama pisze, „po długich zabiegach i staraniach o posadę”. Pracowała najpierw w Zaborczu, potem w Podborzu, by po roku przenieść się – co miało miejsce około 1910 r. – do Otałęży. Pozostawała tu z mężem, nauczycielem Janem Kosińskim, do 1918 roku.

**Jan Kosiński**, syn Piotra i Marii z d. Rusin, urodził się w 1889 r. w Woli Ocieckiej, w ubogiej rodzinie chłopskiej. Był absolwentem seminarium nauczycielskiego w Tarnowie, karierę pedagoga rozpoczął od posady we wsi Hyki-Dębiaki, pracę w Otałęży podjął najpewniej w 1911 r. Tam też poznał pracującą od niedawna młodą nauczycielkę, Helenę Musiał, którą wkrótce poślubił. W Otałęży przyszło na świat pierwsze dziecko Kosińskich, syn Władysław Stanisław, urodzony 15 VII 1914 r., ochrzczony w Czerminie w miesiąc potem.

W tym szczególnym czasie, Jan Kosiński był już zmobilizowany, aby następne cztery lata spędzić w c. k. armii austriackiej, na frontach pierwszej wojny. Do domu w Otałęży, gdzie cały czas pozostawała żona z małym dzieckiem, wrócił dopiero pod koniec 1918 r.. Wkrótce potem Kosińscy opuścili Otałęż, by w warunkach już odrodzonej Polski, objąć nowe posady nauczycielskie, najpierw w Myszkowie k. Zawiercia, potem w Sosnowcu.

Wspomnienia Jana i Heleny Kosińskich z okresu ich pobytu w Otałęży opublikowała w formie listów ich córka Monika Warneńska, niedawno zmarła pisarka i publicystka. Jest to pseudonim literacki Kazimierzy z domu Kosińskiej (po mężu Jelonkiewicz), urodzonej w 1922 r. w Myszkowie, zmarłej w 2010 roku w Warszawie. Warneńska, znana jest przede wszystkim jako autorka reportaży z wojny w Wietnamie, gdzie była reporterem wojennym w latach 1964 – 75. Jesienią 1961 r. wybrała się ona, jak sama pisze „do wsi młodości swoich rodziców”, gdzie m.in. spotkała dawnych uczniów państwa Kosińskich, czego efektem był naturalistyczny, a jednocześnie bardzo ciekawy reportaż, opublikowany najpierw w ramach tomu „Dymisja dla anioła” (Warszawa,

1962), a potem w zbiorze reportaży p.t. „Rodzinne strony”, wydanym przez KAW Rzeszów w r. 1980. Z reportażu tego pochodzi też większość podanych tutaj informacji o Janie i Helenie Kosińskich.

Wkrótce po opuszczeniu Otałęży przez Wrześniowskich i Kosińskich przybył tu Bolesław Krzyształowicz, długoletni kierownik szkoły w latach międzywojennych, pozostający jeszcze w pamięci najstarszych żyjących mieszkańców wsi.

W uzupełnieniu artykułu na następnej stronie podaję transkrypty trzech dokumentów pochodzących z Archiwum Państwowego w Krakowie, które, jak sądzę, mogą być interesujące dla przyszłych badaczy tak dziejów szkolnych, jak i spraw żydowskich w Mieleckim.

Cambridge MA USA, 21. 01. 2011

Wykaz źródeł:

1. Wypisy z ksiąg metrykalnych Otałęży, Woli Otałęskiej, Górek, Słupca i Gruszowa Wielkiego, z mikrofilmów będących w posiadaniu biblioteki Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich (znanego jako Kościół Mormonów) w Salt Lake City, Utah, USA. Numery mikrofilmów, oraz bliższą informację co do poszczególnych tomów metryk, można znaleźć w katalogu Family History Library: [www.familysearch.org](http://www.familysearch.org) wpisując w okienko „Place search” odpowiednią nazwę miejscową.
2. Wycinki prasowe z dziennika „Czas” (Kraków): nr 121 z 31 V 1855; nr 249 z 29 X 1867; nr 277 z 1 XII 1868; nr 151 z 7 VII 1875; nr 194 z 25 VIII 1901.
3. Wykaz uprawnionych do wyboru reprezentanta przy Radzie szkolnej okręgowej tutejszo – powiatowych nauczycieli, Starostwo powiatowe w Mielcu, 6 II 1871 r. (Archiwum Państwowe w Krakowie, STT5, Sprawy szkolne).
4. Maciąga M., Szkolnictwo i oświata [w:] Mielec. Dzieje miasta i regionu, pod redakcją Feliksa Kiryka, t. 1, Mielec 1984.
5. Kunisz, A., Udział Ziemi Tarnowskiej w powstaniu styczniowym, Kraków 1990.
6. Warneńska, M., Wracam do Otałęży, [w:] Rodzinne strony (wybór reportaży, wyboru reportaży dokonał Ryszard Niemiec, KAW, Rzeszów 1980).
7. Strona internetowa Szkoły Podstawowej w Otałęży: [www.sp-otalez.edu.ptc.pl/hissp.htm](http://www.sp-otalez.edu.ptc.pl/hissp.htm)



**Józef Zajac**, syn Tadeusza i Marii z domu Pawelak, ur. 17 II 1953 r. w Słupcu, pow. Dąbrowa Tarnowska. Tam w 1968 r. ukończył szkołę podstawową. Szkoła średnia w I Liceum Ogólnokształcącym w Mielcu, matura w 1972 r. Studia na wydziale filologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego (filologia romańska), magisterium w 1978 r. Pod koniec studiów członek Studenckiego Komitetu Solidarności. Po studiach krótki epizod 1979 – 1981 w WSK PZL Mielec, na etacie starszego referenta, najpierw w dziale inwestycji, potem eksportu. Członek NSZZ „Solidarność”. Od 1981 roku poza krajem (czasowo) w USA. Pracuje w dziale udostępniania zbiorów w Houghton Library, Cambridge, MA USA (zbiory specjalne Uniwersytetu Harvarda).

W ramach zainteresowań prywatnych zajmuje się genealogią i historią lokalną – tak rodzinnego Słupca, jak i bliższych (a także dalszych) okolic. W szczególności interesują go dzieje kościelne, oraz historia dworów i ich dawnych właścicieli. W swoich badaniach sięga często do zapisów metrykalnych i informacji prasowych. Członek Stowarzyszenia „Maj” 77” i Fundacji im. Stanisława Grzybowskiego. Deklaruje się jako republikanin w USA, w Starym Kraju zaś jako sympatyk partii „Prawo i Sprawiedliwość”. Należy też wspomnieć o jego przyczynkarskim udziale w badaniu historii Mielca i Ziemi Mieleckiej, czego wyrazem jest m.in. opracowanych ponad 50 haseł, głównie obejmujących tematykę XIX wieku, które znalazły się w redakcji drugiego i trzeciego tomu „Encyklopedii miasta Mielca”, autorstwa Józefa Witka.

## HISTORIA I LUDZIE

### Transkrypty trzech dokumentów z 1871 r., dotyczących spraw szkolnych w powiecie mieleckim

(Arch. Państw. w Krakowie, STT5, Sprawy szkolne)

Załącznik nr 1:

#### Do Jaśnie Wielmożnego c.k. Starosty w Tarnowie – Odezwa!

Odnośnie do zarządzenia wysokiej Rady szkolnej krajowej z dnia 21 stycznia 1871, L. 607, mam zaszczyt Jaśnie Wielmożnemu Staroście przesłać w załączeniu wykaz uprawnionych do wboru reprezentanta przy Radzie szkolnej okręgowej, tutejszo – powiatowych nauczycieli ludowych. Wzywam oraz tychże, ażeby w powyższym celu dnia 25 lutego r.b. w zabudowaniu c.k. Starostwa w Tarnowie zgłosili się. Przy czym oznajmiam także, iż tutejszy powiat 6729 wyznawców izraelskich liczy, na czele których dwóch przełożonych duchownych się znajduje, a mianowicie Juda Horowicz w Mielcu i Dawid Kohn w Radomyślu.

Mielec, 6 Lutego 1871  
C.k. Starosta [Jan Rudolf] Kasperek

Załącznik nr 2:

#### Wykaz uprawnionych do wyboru reprezentanta przy Radzie szkolnej okręgowej, tutejszo – powiatowych nauczycieli:

1. Antoni Groele w Borowej; 2. Eustachy Pietruski w Brniu; 3. Jan Stasicki w Chorzelowie; 4. Jan Kozak w Czerminie; 5. Rudolf Irzyc w Domacynach; 6. Franciszek Niklas w Gawłuszowicach; 7. Henryk Heschler w Hohenbach /ewang./; 8. Józef Nidecki w Jaślanach; 9. Roman Andrusikiewicz w Mielcu; 10. Szczepan Koman w Otałęży; 11. Wojciech Czerwonka w Padwi; 12. Józef Maziarski w Przecławiu; 13. Jan Hampel w Radomyślu; 14. Jan Weber w Reichsheimie /ewang./; 15. Jan Sierosławski w Rzochowie; 16. Krzysztof Hahn w Schönangrze; 17. Szczepan Woliński w Trzcianie; 18. Ludwik Ulrich w Tuszowie; 19. Erazm Ziołowski w Wadowicach Górnych; 20. Antoni Błarowski w Wampierzowie; 21. Alojzy Stiasny w Woli Wadowskiej; 22. Jan Wąsowicz w Wojsławiu; 23. Jan Kopciński w Tuszowie; 24. Teodor Binduchowski w Rzędzianowicach.

Mielec, 6 Lutego 1871  
C.K. Starosta [Jan Rudolf] Kasperek

Załącznik nr 3:

#### Plenipotencja,

mocą której niżej podpisany członek przełożenstwa izraelskiej gminy, upoważniam Pana Markusa Horowicza z Mielca, aby przy wyborze reprezentantów do Rady szkolnej okręgowej wyznania izraelskiego w dniu 16 marca b.r. odbyć się mającym, w imieniu moim odpowiadał, głosował, tak jak tylko dobro pomienionej sprawy i ogółu jak najkorzystniejszej wymaga, na dowód czego podpisuję się wobec świadków.

Mielec, 15 Marca 1871  
Schewach Pomeranz  
Świadek: Suschell Berell [i] Oser Kanner  
przyjmuje Marcus Horowitz

„...a kto opuści Ojczyznę, aby bronił Wolności narażeniem życia swego, ten obroni Ojczyznę i będzie żyć wiecznie”

Adam Mickiewicz,  
*Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego*,  
wyd. I, Paryż 1832

## Ksiądz Andrzej Niwa – żołnierz zamordowany na Wschodzie

### Kulisy zbrodni

5 marca 1940 r. w ZSRR zapadła decyzja o wymordowaniu polskich jeńców wojennych. Strzałem w tył głowy zamordowano ponad 21 768 tys. Polaków. Kiedy w kwietniu 1943 r. radio niemieckie ogłosiło światu wiadomość o odkryciu mogił katyńskich i potem zaczęło ogłaszać nazwiska identyfikowanych zwłok, nie było wątpliwości, że pomordowani są oficerami polskimi.



Ks. A. Niwa. Fot.: Księga Cmentarna Charków...

Odkrycie Katynia było nie tylko tragicznym i przeczuczanym wyjaśnieniem tajemnicy zaginięcia jeńców, ale również rozstrzygnięciem tego, wielokrotnie ponawianego wobec władz sowieckich pytania, na które nikt ze strony polskiej nigdy przedtem nie otrzymał odpowiedzi. Rząd sowiecki odmówił zgody na wysłanie komisji śledczej Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

Droga do prawdy o Zbrodni Katyńskiej była długa i zawiślana. Mimo upływu 70 lat ciągle się na niej znajdujemy i nikt nie potrafi powiedzieć, kiedy dotrzemy wreszcie do jej końca. Wychodząc od stanu pełnej niewiedzy, osiągnęliśmy stan niepełnej, ale pewnej opartej na niepodważalnych dowodach wiedzy.

W listopadzie 2007 r. podczas uroczystości „Katyń pamiętamy, uczcijmy pamięć bohaterów”, odbywających się przed Grobem Nieznanego Żołnierza na Placu Marszałka



Ks. mjr Andrzej Niwa w pierwszych dniach września 1939 r. Fotografia ze zbiorów Marii Dubrawskiej.





*Ks. A. Niwa. Fotografia ze zbiorów Marii Dubrawskiej*

Piłsudskiego, z udziałem najwyższych władz RP, organizacji kombatanckich, harcerskich i Rodzin Katyńskich, przez dwa dni (9 – 10 listopada 2007) odczytywane były nazwiska mianowanych na wyższe stopnie wojskowe i służbowe ok. 14 tysięcy żołnierzy WP, zamordowanych i pochowanych na cmentarzach wojennych w Katyniu, Charkowie i Miednoje. Wśród pośmiertnie awansowanych 30 kapłanów był ksiądz Andrzej Niwa, który na trwałe wpisał się w historiografię Ziemi Ropczyckiej. Obecnie jest jednym z 24 kapelanów Wojska Polskiego zgłoszonych do procesu beatyfikacyjnego Męczenników Wschodu (1917 – 1989).

Ks. Andrzej Niwa urodził się 29 listopada 1900 r.<sup>1</sup> we wsi Chechły w powiecie ropczyckim w Galicji. Był jednym z ośmiorga dzieci Jana i Antoniny z Ochabów. Rodzice byli małorolnymi chłopami, utrzymującymi się jedynie z uprawy roli. Szkołę powszechną ukończył w rodzinnej wsi w Chechłach, dalej kształcił się w państwowym gimnazjum w Dębicy, które ukończył w 1919 r. egzaminem dojrzałości uprawniającym do studiów uniwersyteckich. Po maturze wstąpił do Seminarium Duchownego w Tarnowie. Święcenia kapłańskie przyjął 29 czerwca 1923 r. z rąk biskupa Leona Wałęgi (z rąk tegoż bpa 29 czerwca 1904 r. otrzymał święcenia kapłańskie bł. ks. Roman Sitko – z Czarnej Sędziszowskiej). Prymicyjną Mszę Św. odprawił w Ropczycach, w kościele pw. Przemienienia Pańskiego 1 lipca 1923 r. W sierpniu rozpoczął posługę kapłańską jako wikariusz w Nowym Sączu, a następnie w Łącku, Kruźlowej, Uściu Solnym, Pogórskiej Woli. Był administratorem parafii wojskowej w Prużanie, a następnie proboszczem parafii wojskowej pw. Św. Mikołaja w Ostrowie Wielkopolskim. Już wówczas dał się poznać jako dobry i uprzejmy kapłan, gospodarz parafii, zawsze pełen pokory wyróżnił się duchem ofiary i poświęcenia.

Od stycznia 1927 r. był kapelanem rezerwy. W cztery lata później został powołany do czynnej służby wojskowej jako kapłan w Brygadzie KOP „Polesie” w Łachwie. We wrześniu 1939 r. trafił do sowieckiej niewoli. Przez cały czas pełnił posługę kapłańską wśród jeńców, którzy wraz z nim trafili do sowieckiej niewoli.

<sup>1</sup> Wg innych źródeł Andrzej Niwa urodził się 26 XI 1900 r. Od 1 I 1927 r. został mianowany starszym kapelanem wojskowym. Od 1932 r. był proboszczem parafii wojskowej Prużana, a od 1936 r. proboszczem parafii wojskowej w Ostrowie Wlkp. Figuruje na Liście Starobielskiej NKWD nr 2381. Przypis redakcji, Włodzimierz Gąsiewski, Por. *Księga Cmentarna Charków*. Warszawa 2003, s. 372; J. Tucholski, *Mord w Katyniu*. Warszawa 1991, s. 461.

Pośród pamiątek pieczołowicie przechowywanych wśród Jego krewnych, zachowały się dwie pocztówki, które ks. Niwie napisał do rodziców. W ostatniej wysłanej ze Smoleńska (z dnia 1 XII 1939 r.), wyrażał wielkie zatroskanie i tęsknotę za ukochanymi i spracowanymi rodzicami, rodzeństwem, domem i parafią. Fizyczne wyczerpanie, głód i tęsknotę powierzał w codziennej modlitwie Bogu. Z korespondencji emanuje też wielka nadzieja na powrót do Ojczyzny.

W Boże Narodzenie 1939 r. przetransportowano kapłanów do Charkowa, gdzie zostali straceni (kwiecień maj) w zaplanowanej przez ZSRR zbrodni ludobójstwa. Ciała wrzucono do zbiorowych dołów w pobliskim lesie.

Przez cały okres wojny i po wyzwoleniu Ropczyc (w sierpniu 1944 r.) rodzina poszukiwała ks. A. Niwę za pośrednictwem Międzynarodowego Czerwonego Krzyża oraz Kurii Biskupiej. Ostateczne, potwierdzone wiadomości okazały się dramatyczne. Ks. Andrzej Niwa zginął mając zaledwie 40 lat w Charkowie.

### Ropczyckie ślady

Dla upamiętnienia tego wydarzenia z inicjatywy ks. dr Jana Zwierza w 1989 r. w Dzień Wszystkich Świętych odsłonięto tablicę pamiątkową w kościele parafialnym w Ropczycach. Na cmentarzu parafialnym położonym nieopodal kościoła, znajduje się grobowiec rodziny Niwów, w którym spoczęli rodzice Jan i Antonina Niwowie. Wiele cennych pamiątek i dokumentów dotyczących Jego życia i działalności szczęśliwie przetrwało wojnę i stanowią cenne „klejnoty” rodziny i społeczeństwa. W dzielnicy Chechły zachował się drewniany dom w którym wzrastał fizycznie i duchowo podpułkownik ks. Andrzej Niwa. Wielki patriota, służąc Bogu i Ojczyźnie złożył swe życie na ołtarzu polskiej Golgoty Wschodu „Beati qui in Domine morintur requiescant in pace”.

Opr. **Grażyna Woźny**

Autorka składa serdeczne podziękowanie p. Marii Dubrawskiej oraz panu Wiesławowi Niwie za udostępnienie dokumentów i archiwaliów ikonograficznych, które wykorzystano w niniejszym artykule. „Pragniemy, aby wiedza o tej zbrodni przenikała do świadomości młodej generacji Polaków. Niech stanie się częścią tej najważniejszej tradycji, która będzie wianem polskiej historii przeniesionej w XXI wiek. Niech przypomina tym pokoleniom, co w życie wchodzić będą, że można zabić ciało, ale nie można zabić polskiej duszy” – podkreślał Biskup Polowy WP Tadeusz Płoski.



*Ks. A. Niwa z Rodzicami. Fot. ze zbiorów Marii Dubrawskiej*

Antoni Rejman

# ROZMOWY Z KOLONISTAMI

## Byli niemieccy koloniści udzielają wywiadu polskim i niemieckim uczniom

Już szósta z kolei wymiana uczniów pomiędzy I Liceum Ogólnokształcącym w Mielcu i Bertolt-Brecht-Gesamtschule w Löhne, Niemcy, Nadrenia Północna-Westfalia, odbyła się w terminie 14. 04. - 22. 04. 2009 r. Jej wiodącym tematem było hasło: „Niemcy w Polsce i Polacy w Niemczech”. W ramach wymiany uczniowie poszukiwali niemieckich śladów w Polsce, w naszym regionie, a podczas pobytu w Löhne (połowa czerwca 2009 r.) polskich śladów w Niemczech.

W Polsce uczniowie polscy i niemieccy:

- odwiedzili Czermin (Hohenbach) i Markową (Markenhof), w których znajdowały się do 1944 roku kolonie niemieckie,
- szukali nazwisk niemieckich,
- zajmowali się niemieckimi zapożyczeniami w języku polskim i polskimi w języku niemieckim,
- odwiedzili dwie niemieckie firmy w Mielcu,
- zwiedzili mały niemiecki cmentarz w lesie,
- przeprowadzili wywiady z Niemcami, żyjącymi w Mielcu,
- przeprowadzili 18. 04. 2009 r. wywiady (w drodze wymiany e-mali) z byłymi kolonistami niemieckimi.

Uczniowie postawili im następujące pytania:

1. Jak się Pani/Pan nazywa i ile ma Pani/Pan lat?
2. Gdzie Pani/Pan teraz mieszka?
3. Czy mówi, rozumie Pani/Pan po polsku?
4. Gdzie mieszkał/ła Pani/Pan do 1944 r.?
5. Kiedy i w jakich okolicznościach opuścił/ła Pani/Pan Polskę? Ile miał/ła Pani/Pan wtedy lat?
6. Jak wspomina Pani/Pan okres spędzony w Galicji?
7. Jaki był stosunek Polaków do kolonistów niemieckich?
8. Czy odwiedził/ła Pani/Pan później swoje ojczyste strony?
9. Jak duża była Pani/Pana rodzinna miejscowość?
10. Czym zajmowali się mieszkańcy Pani/Pana wsi?
11. Jakie możliwości kształcenia się miała ówczesna młodzież?
12. W jaki sposób mieszkańcy wsi spędzali swój wolny czas?
13. Jakie budynki użyteczności publicznej były wtedy w Pani/Pana wsi?
14. Jak wyglądało życie religijne Pani/Pana miejscowości?
15. Jakie były warunki mieszkaniowe w Pani/Pana miejscowości?
16. Z jakimi wspomnieniami, wrażeniami, uczuciami wiąże Pani/Pan ze swoją miejscowością?
17. Jakie miała Pani/Pan wrażenia po Pani/Pana ostatniej wizycie w rodzinnej miejscowości?
18. Czy Polacy i Niemcy żyli wtedy wspólnie, czy też oddzielnie, co ich łączyło?
19. Co myśli Pani/Pan o Polakach?
20. Czy ma Pani/Pan kontakt z obecnymi mieszkańcami Pani/Pana miejscowości?
21. W jakich okolicznościach przybył/ła Pani/Pan do Niemiec?
22. Jaki jest Pani/Pana stosunek do tych, którzy podpisali „Volksliste”?
23. Czy jesteście Państwo (Niemcy z Galicji względnie koloniści) zrzeszeni w jakiejś organizacji?

### Josef Rothaug

Nazywam się Josef Rothaug i mam 57 lat. Mieszkam w Wuppertal, w Nadrenii Północnej-Westfalii. Mówię po polsku, bo 29 lat mieszkałem w Polsce.

Okresu wojny nie pamiętam, bo urodziłem się w 1952 roku. Polskę opuściłem 19 maja 1981 r., uciekając z moją żoną i wtedy dwuletnim synem. Wyjechaliśmy jako turyści nie jednak nie do Austrii, ale do Republiki Federalnej Niemiec. Oficjalny wyjazd do Niemiec wraz z rodziną był wówczas niemożliwy. W Niemczech zostaliśmy przyjęci jako tzw. „późni przesiedleńcy” (Spätaussiedler) ze względu na moje niemieckie pochodzenie.

Moi rodzice opuszczali swoją ojczyznę bardzo niechętnie. Nigdy nie zapomnieli Galicji i miejscowości w niej. Spędzili w niej przecież swoje dzieciństwo. Żyli tam spokojnie, wykonywali swoje zawody i wierzyli w swoją ojczyznę.

Jeżeli chodzi o stosunek Polaków do niemieckich kolonistów, to mogę powiedzieć, opierając się na opowiadaniach moich rodziców i krewnych, że był on wyłącznie pozytywny. Nie było żadnych większych problemów pomiędzy Niemcami i Polakami, czy też Żydami. Zwłaszcza wśród katolickiej ludności było dużo małżeństw mieszanych polsko-niemieckich. Mieszkańcy wyznania ewangelickiego żenili się zazwyczaj w swoim gronie. Dopiero wybuch drugiej wojny światowej i zbrodnie nazistów zmieniły radykalnie relacje międzyludzkie.

W 1972 roku pojechałem z moją matką do Josefssdorf, dzisiaj Józefów, Mielca i Chorzelowa. Odwiedziliśmy tam naszych krewnych. Dla mojej matki była to pierwsza wizyta w Polsce po ucieczce w 1944 r. Moi rodzice mieszkali w czasie wojny w Mielcu, na nowym osiedlu robotniczym zakładów lotniczych. Pracowali w zakładach lotniczych Heinkla (Flugzeugwerk Heinkel).

### Horst Senft

Nazywam się Horst Senft, mam 79 lat. Obecnie mieszkam w Pegau, powiat Borna w Saksonii. Nie mówię po polsku. Do 1944 r. mieszkałem w Czerminie (Hohenbach), w domu numer 1. Z Czermina uciekliśmy 25 lipca 1944 r. Miałem wtedy 15 lat. Uczyłem się w szkole średniej w Czechach, potem byłem żołnierzem. Dostałem się do niewoli amerykańskiej. Zostałem z niej zwolniony do Austrii. W 1947 r. dotarłem do Saksonii do rodziny.

Jeżeli chodzi o moje wspomnienia, to opublikowałem wiele krótkich wspomnień w roczniku Niemców z Galicji (Jahreszeitschrift der Galiziendeutschen).

Stosunek polskiej ludności do niemieckich kolonistów był do 1936/37 roku dobry. Krótco przed początkiem wojny byliśmy szykanowani.

Moją rodzinną miejscowość Hohenbach odwiedziłem dwa razy, w 1976 i 1979 r. Gdy byłem we wsi w 1979 r. prawie wszystkie stare domy stały jeszcze, naszego kościoła i szkoły już nie było.

Czermin (Hohenbach) liczył według spisu z 1886 r. 485 mieszkańców, mieszkających w 66 domach. Mieszkańcy

zajmowali się głównie rolnictwem. Oprócz tego był szewc, stolarz, kowal, garbarz i kołodziej. 32 mieszkańców Hohenbach uczyło się zawodu nauczycielskiego w Bielitz (Bielsko Biała), poznawało zawód kelnera w Krakowie lub studiowało w Wiedniu.

W wolnym czasie mieszkańcy Hohenbach brali udział w zajęciach chóru, grupy teatralnej, orkiestry dętej. Były również wykłady na różne tematy. Patrz A. G. (*Abenteuer Galizien*), część Hohenbach. W Hohenbach były wówczas: budynek poczty, posterunek policji, mleczarnia, sklep z punktem bankowym Raiffeisenkasse oraz plebania.

Bardzo uroczyście były świętowane wraz z okolicznymi miejscowościami tzw. „Kirchweifest”, tzn. rodzaj odpustu. Jednak jako parafia ewangelicka Hohenbach miał mało kontaktów z sąsiadującymi miejscowościami katolickimi. Ja również nie mam obecnie żadnych kontaktów z obecnymi mieszkańcami Hohenbach (Czermin).

Powierzchnia domu była stosunkowo duża, ok. 110 m<sup>2</sup>, ale mieszkało w nim 10 i więcej osób.

W naszej organizacji (...) około 500 osób prenumeruje nasze czasopismo.

Jeżeli chodzi o przyjęcie tzw. „Volkslisty”, mogę powiedzieć, że takie było zarządzenie i wielu się do niego zastosowało.

### Sieglinde Hany, z domu Hauser

Nazywam się Sieglinde Hany, z domu Hauser, mam 69 lat. Obecnie mieszkam w Altenburgu w Turynii. Nie mówię już po polsku, zapomniałam. Do 1944 r. mieszkałam w Hohenbach (Czermin), numer domu 26.

Z Hohenbach uciekliśmy w lipcu 1944 r., gdy zbliżał się front wschodni. Ja miałam wtedy 5 lat. Potem byliśmy w obozie w Dziedzicach, w Czechach. Następnie wróciliśmy do Mielca (celem był jednak Hohenbach). Po 5 latach w 1950 wyjechaliśmy do Niemiec. Mam mało wspomnień z tego okresu. Dotyczą one przedszkola, kościoła i zagrody chłopskiej numer 26 w Hohenbach.

Stosunek ludności polskiej do niemieckich kolonistów był bardzo dobry. Byli służący polscy pochodzący z biednych rodzin.

Moją rodzinną miejscowość odwiedziłam w 1990 r. Ludzie byli wtedy bardzo przyjaźnie nastawieni do nas. W latach 1990-1995 mieliśmy jeszcze kontakt z mieszkańcami wsi.

Pamiętam, że we wsi było przedszkole. Pamiętam również, że chodziliśmy co niedzielę do kościoła. Uroczyście obchodzono wesela, chrzty i święta kościelne. W pamięci mam również wszystkie zwierzęta domowe i zabijanie świni.

Jeżeli chodzi o nasz dom, to miał ok. 100 m<sup>2</sup>. Mieszkało w nim 9 osób.

### Ella Müller, z domu Numrich

Nazywam się Ella Müller, mam 80 lat. Obecnie mieszkam w Burlington, North Carolina, USA. Nie mówię po polsku. Do 1944 r. mieszkałam w Padwi, numer 146. Nasz dom miał ok. 90 m<sup>2</sup> powierzchni, mieszkało w nim 8 osób w 4 izbach. Wieś miała w 1886 r. 392 mieszkańców, mieszkających w 62 domach.

Mieszkańcy zajmowali się głównie rolnictwem, był we wsi garbarz, rzeźnik i połoźna. Młodzi mieszkańcy wsi uczyli się w seminarium nauczycielskim w Bielitz (Bielsko Biała), w gimnazjum i warsztatach w Stanisławowie. We wsi był budynek szkoły, Dom Ludowy, poczta oraz lekarz.

Podczas odpustu „Kirchweih” tańczono w szkole, w lecie na pastwisku „Hutweide” organizowano zawody sportowe.

W swoim wolnym czasie, szczególnie w zimie mężczyźni grali w karty, a kobiety zajmowały się robotami domowymi. Mieśliśmy bardzo dobre stosunki z naszymi polskimi sąsiadami. Wspieraliśmy się w codziennych problemach, jednak Polacy i Niemcy żyli raczej oddzielnie, niż razem.

Generalnie mam bardzo dobre wspomnienia odnoszące się do okresu przed 1939 r. Gdy w 1944 r. uciekaliśmy ze wsi, miałam 15 lat.

Jeżeli chodzi o moje wspomnienia, to kieruję do mojej książki<sup>1</sup>.

Moją rodzinną miejscowość odwiedziłam w 1990 r. Spotkałam wtedy we wsi wielu dobrych starych znajomych. Niestety nasz pobyt w Padwi był bardzo krótki. Bardzo ucieszyłabym się, gdybym mogła ich jeszcze zobaczyć.

Od 1990 r. miałam bardzo wiele (ok. 2000) kontaktów z obecnie żyjącymi w Padwi mieszkańcami.

Jeżeli chodzi o podpisywanie tzw. „Volkslisty”, to rodzice uważali wówczas, że było to prawidłowe.

### Erna Kaniecki, z domu Rothaug

Nazywam się Erna Kaniecki, z domu Rothaug, mam 83 lata. Obecnie mieszkam w Wuppertal, Nadrenia Północna-Westfalia.

Mówię po polsku. Do 1942 roku mieszkałam w Reichsheim (Sarnów), później do 1944 r. w Czerminie (Hohenbach-Langenu), Z Czermina uciekliśmy w lipcu 1944 r., potem Dziedzice, Aue w Rudawach, następnie Lipsk. Miałam wtedy 18 lat. Do 1980 r. mieszkałam z moim mężem Polakiem we Wrocławiu. W 1980 r. przesiedliliśmy się do Wuppertal, Niemcy.

W Reichsheim mieszkały oprócz Niemców 3 polskie i 3 żydowskie rodziny. Pamiętam 100-lecie kościoła ewangelickiego w Reichsheim, obchodzone w 1935 r., poświęcenie zbudowanego w 1937 r. Domu Ludowego (Gemeindehaus), ewangelickie święto kościelne w 1937 r. oraz przeprowadzkę do Hohenbach-Langenu. Przeprowadzki nie przeżył wówczas Adolf Kurz., a moja matka nie chciała zejść z furmanki – ona chciała jechać z powrotem do Reichsheim.

Reichsheim liczył według spisu w 1886 r. 262 mieszkańców, mieszkających w 54 domach. Ludzie zajmowali się głównie rolnictwem, ale we wsi był także szewc, stolarz, kowal, młynarz. Mieszkańcy mieszkali w przeważnie drewnianych domach, o powierzchni ok. 90 m<sup>2</sup>.

Stosunek ludności polskiej do niemieckich kolonistów był bardzo dobry.

Moją rodzinną miejscowość odwiedziłam w 1999 r. Nie wiąże mnie z nią już nic. Ale interesującym było zobaczyć wszystko jeszcze raz. Nie mam żadnych kontaktów z obecnymi mieszkańcami mojej rodzinnej miejscowości.

Młodzi mogła się kształcić, przeważnie w Bielitz (Bielsko-Biała). Uczyli się na ślusarza, szewca.

Czasu wolnego było mało, w niedziele rozmawiało się z sąsiadami przez płot. W niedziele odbywały się również próby teatralne i chóralne.

We wsi był kościół, szkoła i od 1937 r. Dom Ludowy (Gemeindehaus).

<sup>1</sup> Ella Müller, *Mein Lebensweg von Padew in Galizien über Deutschland nach Amerika, Erinnerungen*, 2008/ ... Moja droga życiowa z Padwi w Galicji przez Niemcy do Ameryki, Wspomnienia)

## HISTORIA I LUDZIE

Bardzo uroczyście świętowano odpust („Kirchweih”) z delegacjami sąsiadujących miejscowości z Hohenbach, Goleschau (Goleszów) i Padew. Obchodzono również święto zrównania się dnia i nocy 21 czerwca śpiewając „Flamme empor”.

Podczas akcji podpisywania „Volkslisty” nie było mnie w Reichsheim.

### Alfred Konrad

Nazywam się Alfred Konrad, mam 69 lat. Mieszkam obecnie w Stuttgartu, Niemcy. Nie mówię po polsku. Do 1944 r. mieszkałem w Padwi, numer domu 23. Z Padwi uciekliśmy w lipcu 1944 r., potem Dziedzice, Großdeuben koło Lipska, potem powiat Zeitz. Gdy opuszczałem Padew, miałem 5 lat. Mam niewiele wspomnień odnoszących się do czasu po 1943 r., a mianowicie wyjazdy w pole, młócka, odwiedziny u sąsiadów i krewnych, poszczególne etapy ucieczki, pobytu w obozach, jak również pobyt w domu na Górnym Śląsku, w którym mój ojciec był wcześniej jako uciekinier podczas I wojny światowej.

Sam nie mogę ocenić, jaki był stosunek polskiej ludności do kolonistów niemieckich, byłem wtedy zbyt młody. Z opowiadań starszych wnioskuję, że obie nacje żyły zgodnie. Katolicy Niemcy żyli bardzo blisko z Polakami. Wielu z tych, którzy się zasymilowali, pozostało w Polsce po 1944 r. Ewangelicy Niemcy żyli raczej w swoim gronie. Przeważnie mieli oni swoje szkoły i kościoły.

Moją rodzinną miejscowość odwiedziłem w 2008 r. Kolonia Padew (ewangelicka i katolicka) miała w 1886 r. 392 mieszkańców, 62 domy mieszkalne. Padew Narodowa miała w 1886 r. 1315 mieszkańców. Miejscowość ciągnęła się 7 km. Koloniści mieszkali zarówno w Padwi Dolnej, Środkowej jak również Górnej.

Do 1870 r. była w Padwi wspólna szkoła dla Niemców, Polaków i Żydów. Od 1870 r. była prywatna szkoła ewangelicka i państwowa szkoła dla wszystkich innych uczniów.

Młodzież prawie nie miała możliwości wyboru zawodu. Wyjątkiem był Wilhelm Duy (ur.1830) z Padwi. On studiował w Wiedniu medycynę. W czasie swojej służby wojskowej nawiązał kontakt z rodziną lekarską w Austrii. Od 1870 r. kilkoro z młodzieży zrobiło w Bielitz (Bielsko-Biała) maturę i tym sposobem zdobyło uprawnienia nauczycielskie.

Mieszkańcy wsi nie mieli wówczas wiele czasu wolnego. Nie było dyskotek, telewizji, horrorów. Było natomiast dużo pracy na roli.

Co roku odbywały się szkolne przedstawienia uczniów. Patrz – „Abenteuer Galizien”, część Padew, punkt 12.

Oficjalne uroczystości wiejskie odbywały się w szkole i w Domu Ludowym. Istniały poczta i dworzec kolejowy.

O tym jak wyglądało życie religijne mieszkańców pisze w swoich wspomnieniach Ella Müller<sup>2</sup>, rozdział 26-35.

Rzut pionowy domu zobaczyć można również w: A.G. (Abenteuer Galizien), część Padew, str. 24. Na ok. 90 m<sup>2</sup> mieszkała cała duża rodzina, ok. 10 osób albo i więcej.

O wspomnieniach, wrażeniach, związanych z rodzinną miejscowością przeczytać można w moich artykułach o Reichsheim, Padwi i innych piszących o Hohenbach.

W czasie mojej wizyty w 2008 r. w powiecie mieleckim mieliśmy wiele ciekawych spotkań. Odniosłem wrażenie, że obie

<sup>2</sup> Ella Müller, Mein Lebensweg von Padew in Galizien über Deutschland nach Amerika, Erinnerungen, 2008/ ... Moja droga życiowa z Padwi w Galicji przez Niemcy do Ameryki, Wspomnienia)

strony, Niemcy i Polacy byli zainteresowani zachowaniem śladów z przeszłości.

Oczywiście niektórzy z byłych kolonistów wyciągają czasami na światło dzienne wytarte stereotypy. We wcześniejszych latach skarżyli się oni często na brak zainteresowania ze strony polskiej konserwacją budynków przejętych miejscowości. Teraz mogą się oni przekonać, oglądając nasze zdjęcia i filmy, jak wiele w tym względzie się zmieniło, na lepsze.

Przez wiele lat miałem kontakt z redaktorami „Rocznika Mieleckiego”. Było wiele tłumaczeń artykułów polskich i niemieckich na inne języki. Po wizycie w 2008 r. doszło do tego wiele nowych kontaktów.

W naszym związku było tysiące członków. Obecnie jest ich ok. 500. Aktywiści i niektórzy goście spotykają się na corocznych imprezach. Bardzo popularny jest coroczny zlot w maju w Lamprecht w Palatynacie. Podczas tego zlotu prezentowane są głównie nowe badania historyczne, przekazywane są informacje o wyjazdach i spotkaniach. Odbywają się również każdorazowo wycieczki do Palatynatu, skąd nasi przodkowie od 1782 r. wyjeżdżali do Galicji. Podczas tych spotkań dominują oczywiście członkowie pochodzący ze wschodniej Galicji.

Chaotyczna ucieczka z Galicji podczas wojny oraz blokowanie wszystkich akt, które pozostały w opuszczonych obszarach pierwotnie bardzo utrudniało badania historyczne i dotyczące przodków. Podczas naszych spotkań nawiązywane są nowe kontakty. Dochodzi do wymiany zdobytych dokumentów. I tak z tej mozaiki wielu może odtworzyć swoją własną historię. Niestety zbyt mało członków zajmuje się studiowaniem znalezionych akt z archiwów Lwowa, Wiednia i częściowo także z Polski.

Jeżeli chodzi o wpisanie się na tzw. „Volkslistę”, lub też listy przesiedleńcze, to następowało to w jesieni 1941 r. Po tym jak nasi dziadkowie i rodzice w 1922 r. praktycznie zostali zmuszeni do polskiego obywatelstwa, nie było dla nich zbyt trudnym, aby po 1939 r. przestać być polskimi obywatelami. Przypuszczalnie nie widzieli nasi przodkowie w 1941 r. żadnej sensownej alternatywy, tak jak nie mieli żadnej alternatywy w 1922 r. Za każdym razem musiało się czynić to, co posiadający władzę w danym momencie z naciskiem żądali. Praktycznie nikt nie żałuje, że w latach powojennych znalazł się w Niemczech, obojętne, czy był, czy też nie był na „Volksliście”.

Obecnie ta przygoda licząca 160 (227) lat, kończy się. Europa kroczy naprzód. Tak i my będziemy kiedyś z większym dystansem do przeszłości ale i chyba coraz rzadziej rozmawiać o granicach, polskości i niemieckości.

### Manfred Konrad

Mein Cousin Alfred Konrad, Stuttgart, hat mich auf die vorgenannte Veranstaltung aufmerksam gemacht und mir anheim gestellt, mich an der Umfrage-Aktion Ihrer Schüler zu beteiligen, da mein Vater in Czermin-Hohenbach geboren ist. Ich will deshalb versuchen, den Fragenkatalog Ihrer Schüler aus der Sicht meines Vaters und auch aus meiner eigenen Anschauung zu beantworten, zumal auch die Vorfahren meiner Mutter deutschsprachige Siedler in der Provinz Posen (Poznan) waren.

Nazywam się Manfred Konrad, mam 72 lata i jestem najstarszym synem Emila Konrada, urodzonego w 1897 r. w Czerminie-Hohenbach, dom numer 19. Mój ojciec chodził od 1903 do 1912 r. do dwuklasowej szkoły ludowej w Hohenbach. Dalej uczył się on w latach 1913-1917 do

ewangelickiej szkoły nauczycielskiej w Bielitz (Bielsko-Biała), którą ukończył 5.02.1917 r. egzaminem maturalnym, dającym uprawnienia do nauczania w szkołach ludowych (powszechnych). Już podczas jego studiów powołany został do Armii Austriacko-Węgierskiej. Aby złożyć egzaminy końcowe w szkole otrzymał w lutym 1917 r. czterotygodniowy specjalny urlop.

Po zakończeniu I wojny światowej w 1918 r. wrócił do Galicji i starał się o posadę w szkole, w której uczono w języku niemieckim. Ponieważ to mu się wtedy nie udało, rozpoczął pracę jako urzędnik bankowy w Łodzi. Pierwszą posadę nauczycielską objął 1.9.1926 r. w Deutsch-Böhmisch (Czeskie Nowe), powiat Neutomischel (Nowy Tomyśl) w województwie Poznań. W tej miejscowości żyli przeważnie niemieckojęzyczni koloniści z Moraw (dzisiaj Republika Czeska), którzy opuścili swoją ojczyznę z powodów religijnych, byli tam również mieszkańcy pochodzący z Brandenburgii, Saksonii Anhalt itp. (ówcześnie Królestwo Prus). 1. 9. 1942 r. przeniesiono go do jednoklasowej szkoły w Wojnowicach (Kriegerau), powiat Grätz (Grodzisk Wielkopolski). 1. 10. 1943 r. został on powołany do wojska.

Moi rodzice znaleźli swoje nowe miejsce zamieszkania po zakończeniu II wojny światowej w Georgsmarienhütte koło Osnabrück, w Dolnej Saksonii. Mój ojciec znalazł zatrudnienie od 1. 2. 1947 r. w Volksschule (Szkoła Ludowa) i uczył tam do emerytury, na którą przeszedł w 1962 r.

Ja po zakończeniu moich szkół przenieśliśmy się z powodów zawodowych do Dortmundu i Düsseldorfu i mieszkam od ponad 50 lat w Essen, w Zagłębiu Ruhry, Nadrenia Północna-Westfalia.

Mój ojciec rozumiał i mówił po polsku. Język polski był językiem wykładowym w szkole nauczycielskiej w Bielitz (Bielsko-Biała). W Deutsch-Böhmisch (Czeskie Nowe) uczył częściowo również w języku polskim.

Mój ojciec był w wojsku. Moja matka ze mną i moim bratem mieszkała do 1944 r. w szkole w Wojnowicach. Przed wkroczeniem Armii Czerwonej w styczniu 1945 r. udaliśmy się furmanką chłopca z Wojnowic do Bentschen (Zbąszyn). Ze Zbąszyna pojechaliśmy pociągiem przez Berlin do Osnabrück, gdzie czasowo stacjonowała jednostka naszego ojca. Miałem wtedy 9 lat.

Nasz ojciec nie opowiadał nam zbyt wiele o swoim dzieciństwie i młodości w Galicji. Niestety, gdy ojciec jeszcze żył nie interesowałem się zbyt historią naszych przodków, dlatego nie zadawałem mu wtedy zbyt wiele pytań na ten temat.

Jeżeli chodzi o stosunek polskiej ludności do niemieckich kolonistów, to mogę powiedzieć coś o Deutsch-Böhmisch (Czeskie Nowe) i sąsiedniej miejscowości Mariankowo, powiat Wolsztyn (Wollstein), w prowincji Poznań, gdzie sam się urodziłem. Prowincja Posen (Poznań) należała od 1794 do 1918 r. do Królestwa Prus, względnie od 1870 r. do Niemiec. W tych miejscowościach żyli koloniści niemieccy już od wczesnego średniowiecza zgodnie ze swoimi polskimi współmieszkańcami. W Czeskim Nowym mieszkali głównie niemieckojęzyczni mieszkańcy, w Mariankowie było na odwrót. W obu miejscowościach zarówno Niemcy jak i Polacy tworzyli ścisłe wspólnoty wiejskie.

Czeskie Nowe (Deutsch-Böhmisch) miało w 1905 r. ok. 160 mieszkańców, z tego 130 niemieckojęzycznych. Wieś zajmowała powierzchnię ok. 390 hektarów.

Mariankowo miało w 1908 r. 240 mieszkańców, z tego ok. 90 niemieckojęzycznych. Wieś zajmowała powierzchnię ok. 200 hektarów. Mieszkańcy zajmowali się głównie rolni-

ctwem. Zakłady usługowe i sklepy znajdowały się w pobliskim miasteczku Bentschen (Zbąszyn), oddalonym o ok. 10 km. Dla obu miejscowości była jedna jednoklasowa szkoła ludowa w Deutsch-Böhmisch. Był to jedyny budynek publiczny w tej miejscowości. Budynek szkolny w Czeskim Nowym składał się z jednej izby szkolnej i mieszkania dla nauczyciela. A w tym mieszkaniu była kuchnia, izba mieszkalna i sypialnia. Mieszkała w tym mieszkaniu nasza, składająca się z 4 osób rodzina. Uczniowie musieli już jako dzieci pracować w gospodarkach rodziców. Szkoła średnia, względnie gimnazjum była w mieście powiatowym Neutomischel (Nowy Tomyśl). Poczta, sklepy, gospody były w sąsiedniej miejscowości Boruja lub w Zbąszynie.

Ludzie byli wówczas od rana do wieczora zajęci pracą na swoich polach, lub zajmowali się swoimi zwierzętami domowymi. Zagroda chłopska moich dziadków w Mariankowie miała kuchnię, izbę mieszkalną, sypialnię i pokój gościnny. Były to pomieszczenia o wiele mniejsze niż to się dzisiaj wyobraża. Po tym jak moja matka wyszła za mąż dziadkowie mieszkali w swoim domu sami, bo nikt z ich rodziców już nie żył.

Kościół dla obu wyznań, ewangelickiego i katolickiego, znajdowały się w Zbąszynie. Trzeba tu nadmienić, że ludzie byli wówczas o wiele bardziej religijni, niż dzisiaj, dotyczy to również niemieckojęzycznych mieszkańców wyznania ewangelickiego.

Mój ojciec po zakończeniu II wojny światowej, aż do swojej śmierci 1 1977 r., nie odwiedził swoich rodzinnych stron. Sytuacja polityczna wtedy (napięcie stosunki Wschód-Zachód) jeszcze do tego nie dojrzała. Po moim przejściu na emeryturę w 1995 r. zacząłem się interesować naszymi przodkami i badać historię rodziny. Od tego czasu regularnie jeżdżę wraz z moją żoną do powiatów Wolsztyn i Nowy Tomyśl, w województwie Poznań. Wyjazdy organizuje przeważnie stowarzyszenie Heimatkreis Wollstein z siedzibą w Uelzen/Bad Bevensen, Dolna Saksonia. Władze miasta i powiatu Uelzen utrzymują przyjazne stosunki z odpowiednimi władzami w Wolsztynie. Dochodzi ciągle do wzajemnych odwiedzin i konsultacji, również na płaszczyźnie politycznej.

W czasie naszych wizyt w Wolsztynie spotkaliśmy byłych uczniów szkoły ludowej w Deutsch-Böhmisch, którzy dobrze pamiętali czasy szkolne i naszego ojca. Niestety większość z nich w międzyczasie już zmarła. Wcześniejszą służącą mojej matki, pomimo, że ma 80 lat, cieszy się dobrym zdrowiem i chętnie spotyka się z nami.

Chętnie wracam wspomnieniami do moich rodzinnych stron, również do naszych polskich sąsiadów, którzy często mnie pilnowali, gdy moi rodzice musieli coś załatwić.

Cieszę się bardzo, że stosunki pomiędzy naszymi państwami tak bardzo się w ostatnich latach poprawiły. Przyjazne stosunki pomiędzy Polską i Niemcami bardzo poprawiły się po wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej. Dotyczy to również gospodarczego rozwoju Polski. Czuje się to podczas naszych wizyt.

Sam nadzieję, że pomiędzy Polską i Niemcami rozwiną się podobne przyjacielskie stosunki, jak pomiędzy Niemcami i Francją.

Stowarzyszenie Heimatkreis Wollstein ma ok. 250 członków. Celem naszego związku jest pojednanie pomiędzy polskimi i byłymi niemieckimi mieszkańcami i budowanie przyjacielskich stosunków pomiędzy naszymi krajami.

*Przetłumaczył i opracował Antoni Rejman*

Sprawiedliwi i nie tylko nad Wisłoką i Wisłą...

# Wieczność w kurniku, czyli młoda Żydówka podczas wojny w Mielcu

W czerwcu 2007 r. przebywałem z grupą moich uczniów w szkole partnerskiej I LO w Mielcu, a mianowicie w Bertolt-Brecht-Gesamtschule w Löhne, Nadrenia-Północna Westfalia, w ramach kolejnej wymiany uczniów. W poniedziałek lub we wtorek, 11 lub 12 czerwca na moim biurku znalazł się artykuł „Ewigkeit im Hühnerstall” („Wieczność w kurniku”) z gazety „Tageszeitung”, Sonnabend/Sonntag, 9/10 czerwca 2007 r. Autor Axel Dossmann informował w nim o książce, która wtedy ukazała się w Niemczech. Książka ukazała się po raz pierwszy w USA w języku angielskim pod tytułem „The Choice” („Wybór”) w 2004 r.

Irene Eber: „Ich bin allein und bang. Ein jüdisches Mädchen in Polen 1939-1945“ („Jestem samotna i boję się. Żydowska dziewczyna w Polsce 1939-1945”). Z języka angielskiego przetłumaczyła Reinhild Böhnke. C.H. Beck, Monachium 2007, 287 stron, Cena 19,90 Euro.

Mój niemiecki przyjaciel Volker Hegemann czytając recenzje książki zwrócił uwagę na powtarzającą się nazwę miasta Mielec. Bardzo zainteresowany kupiłem tę książkę i kilka razy przeczytałem. To nie jest tylko książka biograficzna. Autorka porusza w niej wiele zagadnień ponadczasowych. Irene Eber potrafi prostym językiem opisać problem winy, odpowiedzialności, określenia swojej tożsamości. Fascynującym jest czytać o miejscach, które się zna, bo przecież mieszkam w Mielcu, dla autorki wtedy shtetl Mielec.

**Antoni Rejman**

„Mając 50 lat powraca Irene Eber w 1980 r. do Mielca, do Polski, do rodzinnego miasta swojego ojca. Los rzucił jej rodzinę do tego miasta, gdy w 1938 r. została ona przepędzona z jej ojczyzny, Niemiec.

Podróż staje się powrotem do przeszłości, wyzwala ona wspomnienia z okresu, gdy jedenastoletnia Irene sprzeciwiła się postanowieniu ojca, który zabronił opuszczać rodzinę. Rozdziela się ona wtedy z rodziną, aby uniknąć deportacji.

Eber opisuje życie i dzień codzienny w Mielcu, małej miejscowości, na wschód od Krakowa, okupowanej przez Niemców. Używając przejrzystego języka o poetyckiej sile ożywia ona społeczny mikrokosmos, napiętnowany rywalizacją i wspaniałomyślnością, odwagą i oportunizmem. Kształtuje ona obraz miasta, w którym ludność żydowska poddawana jest coraz większemu naciskowi, a dziki obłęd i strach zataczają coraz szersze kręgi. Gdy w 1942 r. zbliża się deportacja do obozów, samotna Irene Eber udaje się w drogę, aby uciec przed śmiercią. Ona przeżyje wojnę, podczas gdy prawie wszyscy członkowie rodziny giną.

W pełnych wyrazu obrazach pokazuje autorka odczuwaną winę ocalonych, ich zwątpienie i doznania po poniesionych stratach. Książka Irene Eber jest znaczącym wkładem w literaturę o holocauście.”

Tłumaczenie z obwoluty książki: Antoni Rejman

„Jedź pociągiem do Mielca!” – powiedziała matka. „Idź do Kor...owej i poproś ją, aby cię ukryła. Ona ma nasze pieniądze i moją biżuterię.” Matka pocałowała mnie szybko i przeciągnęła ręką po mojej zimnej twarzy, jak gdyby chciała zapamiętać jej

kontury. Jako odpowiedź na moją chęć do życia znalazła budzącą szacunek siłę, zrodzoną z całkowitego zwątpienia – czy posyła mnie ku życiu czy też na śmierć? Gdy szybko pełzłam do drutu kolczastego, nie oglądałam się, a przecież wiedziałam, że nawet długo po moim zniknięciu będzie wypatrywać i nasłuchiwać...<sup>1</sup>

(...) Gdy przybyłam do Mielca, zawieja śnieżna pokryła białą pokrywą domy i pola. Znane mi drogowskie znakowanie wkrótce zgubiłam się w pokrytych śniegiem polach. Polna droga do domu Kor...owej zniknęła pod białą poduszką śniegu. W końcu znalazłam drogę. Moje pragnienie przeżycia zostało wkrótce zachwiane, gdy Kor...owa dziko złorzecząc spuściła ze smyczy swojego warczącego czarnego psa, aby mnie przepędzić. Chwilę myślałam, że na pewno zginę na tym srogim zimnie i przyszły mi na myśl historie ludzi, którzy w śniegu zasnęli i nigdy więcej się nie obudzili. Nie sądzę, abym wtedy była zła na Kor...ową. W takiej sytuacji nie można sobie pozwolić, aby tracić cenne siły na złość, czy też żalowanie samego siebie.

Jakoś szłam dalej w ten długi, zimny dzień, już sama nie wiem jak. Szłam dalej pomimo śniegu i moich mokrych, ciężkich butów, pomimo tego, że byłam wyczerpana i głodna. Wróciłam z powrotem do miasta i poszukałam gospodarza domu, w którym wcześniej mieszkaliśmy. To spotkanie pamiętam nadzwyczaj żywo. On był pijany, w domu nie było ani jego kościowej żony, ani ich małych bliźniaczek, które zawsze były do niego przyczepione. On siedział sam przy stole, przed nim stała butelka wódki i spoglądał na mnie podeszłymi krwią oczami. Być może rozpoznał mnie, a może i nie. Chociaż nie był on tak gruby i silny jak mąż Kor...owej, przestraszyłam się sposobu, w jaki mnie chwycił i przyciągnął do siebie. Wtedy nie wiedziałam jeszcze, do czego są zdolni mężczyźni, jednak wyczułam niebezpieczeństwo i wiedziałam, że muszę się od niego jak najszybciej oddalić. Gnana strachem uciekłam z domu pozostawiając dużą kałużę stopionego śniegu, na którą bezzadnie gapił się pijany gospodarz.

Strach został zastąpiony przez zwątpienie – wyczerpujące, bezgraniczne zwątpienie. Zapadł mrok i świat zdawał się być jeszcze mniej rozpoznawalny. Każdy cień był groteskowo wydłużony i obwieszczał nowe niebezpieczeństwo. To były ulice, których chyba nigdy nie widziałam, nieznane domy. Wiedziałam, że matki były teraz w ciepłych kuchniach i przygotowywały kolację, na stole stały jasne lampy, dzieci odrabiały swoje zadania domowe – oni wszyscy byli wewnątrz, a ja byłam na dworze w tym przenikliwym zimnie. Nie miałam już siły, aby się bać, chociaż byłam pewna, że umrę w tym białym, zimnym śniegu zapomniana, samotna i opuszczona.

Przestało padać, jednak na drodze tworzyła się z powodu zimnej nocy szybko warstwa lodu. Wlokłam się po nieznanymi ulicami i z powodu lodu często nie mogłam się utrzymać na nogach. Jakimś cudem dotarłam w końcu do mieszkania Orłowskich. Czy prowadziła mnie jakaś modlitwa. Chyba raczej pytałam któregoś z rzadkich przechodniów na ulicy, czy nie wie, gdzie mieszkają Orłowscy. Mogło nawet być tak, że pytałam nie jednego, zanim mi któryś wskazał drogę. Do dzisiejszego dnia nie wiem, jak wpadłam

<sup>1</sup> Nazwisko „Kor...owa” w oryginalnym tekście podane jest w pełnym brzmieniu. Zob.: Irene Eber, *Ich bin allein und bang. Ein jüdisches Mädchen in Polen, 1939-1945*, München 2007, s. 69.

\* \* \*

na pomysł, aby szukać u Orłowskich schronienie. Jednak oprócz Kor...owej i gospodarza domu nie znalazłam żadnych innych Polaków w Mielcu. Matka nie wymieniła Orłowskich, najprawdopodobniej zakładała, że Kor...owa mnie przyjmie.

Orłowscy byli pobożnymi katolikami i polskimi patriotami z Poznania. Krótko po niemieckiej inwazji na Polskę odrzucili niemieckie obywatelstwo, tak więc jako uciekinierzy dotarli do Mielca. Wynajmowali mieszkanie w podpiwniczeniu w domu, w którym wówczas mieszkaliśmy. Jako sąsiedzi i w pewnym stopniu towarzysze niedoli wymieniliśmy kilka grzecznościowych słów, ale nic ponad to. Po ich przeprowadzce straciliśmy kontakt z nimi. Leokadia Orłowska była drobną kobietą, chorą na serce; jej mąż Stanisław, urzędnik skarbowy pił dużo, jak wielu polskich mężczyzn. Z ich córką Romą nie bawiłam się, gdy żyli w naszym podpiwniczeniu. Ona była młodszą ode mnie i chodziła do szkoły, podczas gdy żydowskim dzieciom było zabronione chodzić do szkoły.

Dotarłam do ich mieszkania po zapadnięciu zmroku zmoknięta do cna i zmarznięta. Nawet nie wiem jak mi się to udało, przypominam sobie, jak stałam odurzona w drzwiach kuchennych i czułam napływające nagle na mnie ciepło, od dawna zapomniane wspaniałe zapachy domu i widziałam złoty blask jasno świecącej się lampy olejowej na stole pod oknem. Wydawało mi się, że upłynęły wieki od czasu gdy widziałam dom. Stały tam dwa łóżka przy ścianie, na których piętrzyły się pierzyny, piec kaflowy po drugiej stronie, stół i krzesła. Pani Orłowska wciągnęła mnie do mieszkania, zaryglowała drzwi i sprawdziła, czy firanki są zaciągnięte. „Widział cię ktoś?” – zapytała. Potem dała mi suche ubranie, ogrzała moje lodowate stopy, dała coś do jedzenia i skryła mnie później w kurniku. W końcu wtajemniczyła swojego męża, być może dopiero po kilku dniach. Po tym, jak dowiedział się o wszystkim nie miał serca, aby mnie odesłać, pomimo że być może tego chciał. Podróże miały się dla mnie na pewien czas skończyć...

(...) „Byłam tam sama, chciałabym jej powiedzieć. Sama! Dzień za dniem. Noc w noc. A noce były długie i nie chciały się skończyć, dni krótkie i szare; a w zimie stopione ze sobą dzień i noc...

Gdy się jest tak samotnym, nie można nic zrobić. Ten stan jest bezzczasowy, trwa wiecznie...

Na podwórzu stało w rzędzie cztery lub pięć lekkich drewnianych szop, każda z zamkiem w drzwiach, gdzie wynajmujący mieszkania w domu wielorodzinnym trzymali swoje kury. Szopa Orłowskich miała może dwa metry na cztery. Trzymali oni w niej kury i króliki...

(...) Już nie pamiętam, co to był za dzień, ten 8 sierpnia 1944 roku. Czy padało? Świeciło słońce? Było pochmurne niebo? Gorąco czy chłodno? Jedyną rzeczą, którą pamiętam, jest to, że wyszłam z szopy dopiero wtedy, gdy było pewne, że front minął Mielec. Wyszłam, gdy zapadał zmierzch, a niebo mieniło się wieloma kolorami. Mój czas samotności trwał rok i dziesięć miesięcy. Ale to uzmysłowiłam sobie dopiero później, gdy nauczyłam się od nowa oceniać czas. W pamięci z tego wieczora mam jeszcze zmęczonych rosyjskich żołnierzy, którzy siedzieli w kuchni u Orłowskich, pili wódkę i odpoczywali przed rychłym wymarszem. Czy się cieszyłam, że ich widzę? Może byłam zbyt oszołomiona, aby odczuwać tą niezwykłą, prawie zapomnianą radość. Wśród nich byli żołnierze, których wówczas uważałam za Tatarów. Jak się później dowiedziałam, byli to Kałmucy. Było to moje pierwsze spotkanie z nie-europejczykami.<sup>2</sup>

<sup>2</sup> Irene Eber, *Ich bin allein und bang...*

Kum zu mir zurik majn Hankele  
Kum zu mir zurik majn krojn  
Kum zu miri zurik majn hankele  
Wajl ich bin zu dir gewojnt.  
Treblinke dort ...  
Far jedn jid a guter ort\*.  
Wer's kumt ahin farblajt schojn dort  
Farblajt oif ejbik.  
Wer's kumt ahin fun brider, schweßter, tate, mame  
Den tut men sej ojchet glajch farßamen  
Un doß is sejer ßof.  
Fun di wagonen tut men aropjogn  
In tojten lager arajn  
A bod tut men sej opsogn  
ß'hert sich oiß a grojß gewejn  
Treblinke dort ...

Wróć do mnie moja Hankele,  
Wróć do mnie mój skarbie,  
Wróćże ty do mnie, moja Hankele,  
Bo puste jest po tobie miejsce.  
Treblinka tam,  
Dla każdego Żyda dobre miejsce\*.  
Kto raz tam dotrze, pozostanie już tam,  
Pozostanie na zawsze tam.  
Kto tam dotrze, brat, siostra, ojciec, matka,  
Zostanie natychmiast zagazowany.  
I to będzie ich koniec.  
Z wagonów popędzi się ich do obozu śmierci.  
Kąpiel dobrze zrobi, mówią oni,  
I słyhać tylko wielki płacz.  
Treblinka tam ...

Tłumaczenie z języka niemieckiego: **Antoni Rejman**

\*a guter ort, = dobre miejsce, żydowskie określenie cmentarza. Fragment pieśni, śpiewanej przez wielu Żydów w Krakowie w 1945 r.

**Irene Eber** (ur. 1930 r. w Halle, z domu Geminder) jest niemiecką orientalistką. Jest emerytowaną profesorką wschodnioazjatyckich studiów na Hebrajskim Uniwersytecie w Jerozolimie i senior fellow Harry S. Truman Research Institute. Mieszka i pracuje w Jerozolimie. Jej ojcem był Yedidia (Dudie) Geminder z Mielca, matką Helene Ganger z Lipska.

Opr. i tłum. **Antoni Rejman**



W powyższym artykule zamieszczamy tłumaczone fragmenty oraz informacje o książce Ireny Eber, pt. *Ich bin allein und bang, Ein jüdisches Mädchen in Polen, 1939-1945*, co w wolnym tłumaczeniu oznacza: *Jestem samotna i boję się. Młoda żydowska dziewczyna w Polsce, 1939-1945*, wydanej w Niemczech, w Monachium w 2007 r. Artykuł ten zbiega się z przypadającą w marcu tego roku 69. rocznicą wypędzenia przez Niemców i holocaustu Żydów w Mielcu. Wskazuje on także na świadczenia pomocy Polaków dla eksterminowanych Żydów, ale pokazuje też bierność i strach związany z narażeniem życia za udzielanie takiej pomocy. Na następnej z kolei stronie przedstawiamy *Artykuł Axela Dossmanna* „*Wieczność w kurniku*”, „*Tageszeitung*”, 9/10 czerwca 2007 r.

**Redakcja**

Z: „Tageszeitung“, sobota/niedziela, 9/10 czerwiec 2007 r.

## Wieczność w kurniku

Renomowana sinolog Irene Eber wspomina w swojej nadzwyczaj lekko napisanej biografii, jak przeżyła nazistowski terror i shoah (całkowitą zagładę).

Autor Axel Dossmann

Tekst zaprezentowany w tłumaczeniu na język polski i oryginalnej wersji niemieckiej.

Tłumaczenie:  
Antoni Rejman

Wczesnym rankiem w czerwcu 1945 roku stanęły ponownie po latach rozłąki w małej krakowskiej kuchni naprzeciwko siebie 15-letnia Irene i jej matka. Jednak nie rzuciły się sobie w objęcia, tak jak to się często pokazuje w filmach kinowych. Opisuje to spotkanie Żydówka Irene Eber prawie 60 lat później w swoich wspomnieniach. Zamiast tego otworzyła się „przepaść” pomiędzy matką i córką. „Obie wierzyły i obawiały się, że ta druga nie żyje.” Byłam wówczas egoistyczna, o zimnym sercu i żadna życia, ocenia dzisiaj renomowana sinolog z Jerolimy. Piszę ona o winie, jaką odczuwała przez lata po wojnie, bo w 1942 roku „poszła własną drogą”, aby uratować swoje życie przed niemieckimi mordercami. „Nie odchodź” – prosił ją jej ojciec, „- rodzina musi trzymać się razem”.

Jednak jedenastoletnia blondynka uciekła: „Sama miałam szansę, czułam, ktoś mógłby mnie ukryć.” Udała się z powrotem do zachodniogalicyskiego miasteczka, shtetl, Mielec, miasta, w którym urodził się jej ojciec. W październiku 1938 r. jej średniozamożna rodzina została deportowana z Halle nad Saale do Polski – wraz z około 18.000 Żydami polskiego pochodzenia, mieszkającymi w Niemczech, dzisiaj mało znane wydarzenie jeszcze przed wielkim pogromem w listopadzie 1938 r.

We wrześniu 1939 r. jej rodzina przeżyła wielki pogrom w Mielcu, chociaż ich polski właściciel mieszkania wygnał ich w tę noc mordu pod gołe niebo, chcąc uchronić swój dom przed Niemcami.

AZMAC E-MAIL: POLBUCH@TAZ.DE

politisches buch

Tageszeitung

SONNABEND/SONNTAG, 9./10. JUNI 2007 VII

## Die Ewigkeit im Hühnerstall

Die renommierte Sinolog Irene Eber erinnert sich in ihrer geradezu bezaubernd leicht geschriebenen Biografie daran, wie sie nationalsozialistischen Terror und Schoah überlebte

VON AXEL DOSSMANN

In einem frühen Morgen im Juni 1945 standen sich die 15-jährige Irene und ihre Mutter nach Jahren der Trennung in einer Krakauer Küche zum ersten Mal wieder gegenüber. Doch sie umarmten sich nicht verrückt, wie es wohl im Kinofilm gezeigt worden wäre, schloß die Jüdin Irene Eber fast achtzig Jahre später in ihren Lebenserinnerungen.

Schmerzen tat sich „ein Abgrund“ zwischen Mutter und Tochter auf. Nicht nur hatten beide „geradezu“ sich befeindet, die andere sei im „Selbstschutz, Kälbering und gering nach Leben sei sie damals gewesen, vor- teil die renommierte Sinologin aus Jerolimy heute: Sie schämt sich über die Schuld, die sie in den Jahren nach dem Krieg empfand, weil sie 1942 ihren „eigentlichen Weg“ gegangen war, um ihr Leben vor den deutschen Mordern zu retten. Geb nicht, hatte ihr Vater sie gebeten, die Familie muss zusammen- bleiben. ... Das ist Jahre alte, Heide Mähdorn.



Irene Ebers Mutter ist die Dritte von rechts auf diesem Bild mit ihren sieben Schwestern im Jahre 1917. Abb.: Verlag C.H. BECK

Matka Irene Eber, trzecia od prawej, wraz ze swoimi siedmioma siostrami w 1917 r. Zdjęcie: Wydawnictwo C.H. BECK

Irene Ebers Mutter ist die dritte von rechts auf diesem Bild mit ihren sieben Schwestern im Jahre 1917, Abb.: Verlag C.H. BECK

\* \* \*

Deutschen verschont bliebe. Im Winter 1942 aber wurde das Mädchen von vormaligen polnischen Nachbarn nicht abgewiesen. Im Hühnerstall der Familie Orłowsky hielt sich Irene Eber über zweiund- zwanzig Monate in Mielec versteckt, bis im Sommer 1944 russische Soldaten die Stadt einnahmen. Im Glauben, die einzige jüdische Überlebende zu sein, schlägt sie sich als polnisch-katholische Waise mit den Orłowskys durch. „Wie konnte ich sicher sein, dass es später weniger gefährlich sein würde, Jüdin sein?“

Lässt sich die mörderische Dialektik von Identität und kollektiver Identifizierung stärker verdeutlichen? Das Buch von Irene Eber entwickelt eine Wucht, gerade weil ihre Sprache beinahe bezaubernd leicht und einfach ist. Indem sie genau und nüchtern beschreibt und ihre Erinnerungen skeptisch befragt, wird aus „dem Holocaust“ wieder ein konkretes vorstellbares Leben und das Handeln einzelner Menschen inmitten des unbedingten Vernichtungswillens der Deutschen und ihrer Helfer.

Irene Eber begreift ihr schreibendes Erinnern ganz bewusst als Korrektiv für die Historiografie, die Orten wie Mielec bislang nur wenige, kraftlose Zeilen gewidmet hat. Mit dem Blick auf die vermeintlichen Nebenschauplätze der Schoah erinnert sich sie als Zeugin indirekt auch daran, dass allzu viele Morde an Juden nicht in den großen Lagern und in Gaskammern stattfanden, sondern auf Marktplätzen,

entlang der Chausseen, auf Feldern und an Wäldern.

Wiederholt schildert sie Zeichen, die der Katastrophe vorausgingen. Staunend nimmt sie zur Kenntnis, „dass wir hören und nicht verstehen, sehen und nicht begreifen“, dass Menschen durchaus erkennbare Chancen nicht nutzen, um ihr Schicksal zu ändern. „The Choice“ lautet der treffende Titel der amerikanischen Originalausgabe von 2004, denn die Freiheit des Menschen, in noch schier ausweglosen Situationen Entscheidungen zu treffen, ist Irene Ebers Thema. Nie wird sie dabei einem anderen vorwerfen, sich anders entschieden zu haben, da kein Weg Glück oder Erfolg garantiert. Auch ihre Mutter und die ältere Schwester, die sie verlassen hatte, entkamen den Mördern. Sie gehörten zu den 199 Frauen auf der Liste von Oskar Schindler.

Ihr Vater hingegen wurde bei seinem eigenen Rettungsversuch denunziert und erschossen. Nach dem Krieg, als junge Frau, wollte Irene Eber sich nicht als Opfer fühlen. „Es war eine Frage der Wahl, die man treffen konnte oder auch nicht.“ Mit 17 Jahren verließ sie die Lager für Displaced Persons in Deutschland und schiffte sich nach New York ein, um in den USA zu studieren, statt sich einer kommunistischen oder zionistische Idee zu opfern. Dass sie in ihrem Leben das Gedächtnis an die Jahre der Angst, Einsamkeit und Verfolgung stets begleiten werden, das begreift die Überlebende nur allmählich. Heute weiß sie ihren Verlust von Ge-



borgenheit und Vertrauen in die Welt ernüchternd klar zu formulieren: „Ich weiß alles über das Verschwinden von Menschen und Dingen. Meine Welt besteht aus Ungewissheiten.“

Eber schildert in ihrem genau komponierten Buch die vielen „Reisen“ ihres Lebens auf jeweils nur wenigen Seiten. In ihren Erinnerungen ist das gleichzeitige Vergessen unsentimental benannt. Ihre Erfahrungen kontrastiert sie mit spröden Zitaten aus der Bürokratie der Vernichtung. Und sie nimmt Fotos, die auch im Buch abgedruckt sind, zur Hand, um an vertraute, meist ermordete Menschen zu erinnern. Man liest stellenweise atemlos und muss dann immer wieder innehalten angesichts der Bilder der Vernichtung, die Irene Eber so eindrucksvoll evoziert.

\* \* \*

Ale w zimie 1942 roku dziewczynka nie została przepędzona przez swoich wcześniejszych sąsiadów. Przez ponad 22 miesiące ukrywała się Irene Eber w Mielcu w kurniku rodziny Orłowskich, aż do zajęcia Mielca przez żołnierzy rosyjskich w lecie 1944 r. Myśląc, że jest jedyną Żydówką, która przeżyła, podaje się jako polska katolicka sierota i spędza z Orłowskimi burzliwy okres po wyzwoleniu. „Jak mogłam być pewna, że później okaże się być mniej niebezpiecznym, podawać się za Żydówkę?”

Czy można mocniej wyjaśnić morderczą dialektykę tożsamości i zbiorowej identyfikacji? Książka Irene Eber wykazuje się siłą, właśnie dlatego, że jej język jest zachwycająco lekki i prosty. Opisując wydarzenia dokładnie i sucho i zadając sceptyczne pytania z „holocaustu” wyłania się konkretne życie i działanie poszczególnych ludzi pośrodku bezwarunkowej woli zniszczenia Niemców i ich pomocników.

Irene Eber pojmuje swoje spisane wspomnienia całkiem świadomie jako korektę dla historiografii, która takim miejscowościom jak Mielec poświęcała dotychczas tylko kilka bezbarwnych linijek. Spoglądając na inne miejsca wydarzeń shoah (całkowitej zagłady) przypomina ona również jako świadek o tym, że wiele mordów na Żydach miało miejsce nie tylko w wielkich obozach, czy komorach gazowych, ale również na rynkach miasteczek, wzdłuż dróg, na polach i w lasach.

Ponownie prezentuje ona sygnały, które zwiastowały nadchodzącą katastrofę. Ze zdumieniem stwierdza, „że

słyszemy i nie rozumiemy, widzimy i nie pojmujemy”, że ludzie nie wykorzystują widocznego szans zmiany swojego losu. „The Choice” („Wybór”) brzmi trafny tytuł amerykańskiego wydania oryginalnego z 2004 r., bo tematem Irene Eber jest wolność ludzi do podejmowania decyzji w jakby się wydawało sytuacjach bez wyjścia. Nigdy nie zarzuci ona innemu człowiekowi, że podjął inną decyzję, bo żadna nie gwarantuje szczęścia czy też sukcesu.

Także jej matka i najstarsza siostra, które ona opuściła, uchodzą mordercom. Należały one do 199 kobiet na liście Oskara Schindlera.

Natomiast jej ojciec został podczas jego własnej próby uratowania się zadenuncjowany i rozstrzelany. Po wojnie, jako młoda kobieta, nie chciała się Irene Eber czuć jako ofiara. „To był problem wyboru, którego można było dokonać, albo nie.” Mając 17 lat opuszcza obozy dla displaced persons w Niemczech i na statku płynie do Nowego Jorku, aby w USA studiować, zamiast poświęcić się jakiejś komunistycznej lub syjonistycznej idei. Uratowana powoli pojmuje, że pamięć o latach strachu, samotności i prześladowaniu będzie jej ciągle towarzyszyć. Dzisiaj potrafi nadzwyczaj jasno sformułować swoją utratę bezpieczeństwa i zaufania: „Wiem wszystko o znikaniu ludzi i rzeczy. Mój świat składa się z niewiadomych.”

Swoje liczne „podróże” przedstawia Irene Eber w swojej dokładnie skomponowanej książce na tylko niewielu stronach. W swoich wspomnieniach traktuje jednocześnie zapominanie bez sentymentu. Swoje doświadczenia przeciwstawia kruchym cytatom pochodzącym z biurokracji zagłady. Bierze zdjęcia, które są w książce wydrukowane, do ręki, aby przypomnieć sobie znane, przeważnie zamordowane osoby. Książkę czyta się miejscami wstrzymując oddech i musi się coraz to przerywać mając przed oczyma obrazy zagłady, które to Irene Eber w tak przejmujący sposób wywołuje.

\* \* \*

Sie sucht dabei nicht vordergründig Effekt, Sinn oder Botschaft – das macht dieses Buch besonders stark. Sie will vor allem Erfahrungen mitteilen, weil nach dem Tod der Zeitzeugen viele Fragen zu spät kommen werden, aber auch weil ihr selbst für Antworten bislang die richtigen Worte fehlten. 1998 fragte eine amerikanische Freundin sie, was sie denn die ganze Zeit über in dem Hühnerstall in Mielec gemacht habe. Ihre umständlichen Erklärungen langweilten damals die Freundin. Wie Irene Eber heute antworten würde, schreibt sie in ihrem Buch: „Wenn man so allein ist, kann man nichts machen. Der Zustand ist zeitlos, er dauert ewig.“

**Uwaga! Ktokolwiek wie coś na temat wspomnianej w artykule rodzinie Orłowskich z Mielca, prosimy o kontakt z Redakcją Kwartalnika „Nadwisłocze”!**



Deportation aus Mielec, 9. März 1942: „Junge Männer werden für die Arbeit selektiert. Man befiehlt ihnen, ihre Bündel abzulegen.“ (Aus: Irene Eber: „Ich bin allein und bang“). Im Besitz von Felicity Bloch / Fotos von Kurt Hippert. Zdjęcie z deportacji Żydów z Mielca 9 marca 1942 r., zamieszczone również w książce Ireny Eber. Źródło: <http://www.spiegel.de>

# Polemika ze „Strachem” Grossa

Wywiad telewizyjny z Janem Tomaszem Grossem na temat jego książki wyzwolił ponownie dyskusję o holocaustcie. Wchodząc na forum mieleckiego portalu internetowego, zauważyłem toczącą się polemikę na temat Żydów. Zaskoczyło mnie ogromne zainteresowanie młodych mieleckich internautów, jak i fakt nieznanomości, tej tak nieodległej jeszcze historii. O ile pocieszające jest zainteresowanie tematem, to już wypowiedzi sprawiają mieszane uczucia. Nie będę polemizował z wypowiedziami, lecz pragnę przedstawić własne spostrzeżenia tego, co powinniśmy przekazać młodym ludziom, aby mogli zrozumieć zachowania swoich dziadków w tamtych trudnych czasach bezprawia. Internauci zadają pytania „Co się stało z Żydami liczącymi około 50% społeczności mieleckiej”. „Chciałbym wiedzieć jak moi dziadkowie i ich sąsiedzi przyczynili się do likwidacji Żydów, czy wyłapywali ich wraz z Esesmanami?” „Co się stało z kirkutem i pamiątkami po nich, kto rozgrabił i przejął ich majątki w Mielcu?” „Czy kościół katolicki przyczynił się do holocaustu?”

Cóż można odpowiedzieć na takie pytania, ludziom nie żyjącym w tamtych czasach. Książki, historia przedstawiają tylko suche fakty, często przekręcane w okresie PRL-u, co powoduje dowolną interpretację. Rację mają twierdzący, że ukrywaliśmy Żydów i pomagaliśmy im, jak i ci myślący odwrotnie, a mianowicie, że wydawaliśmy ich Niemcom i zgrabialiśmy ich mienie. Pytający na forum wywołują nas, żyjących wówczas, do wypowiedzi.

Niech mój głos będzie jednym z tych wypowiedzi, jako człowieka pamiętającego tamte czasy jeszcze sprzed wojny. Jako chłopiec kilkunastoletni mieszkałem w Przecławiu, w którym żyli tacy sami Żydzi jak w Mielcu, Radomyślu i innych miastach. Myślę, że zachowanie społeczeństwa polskiego do Żydów było wszędzie podobne. Jako młodzi chłopcy wyrządzaliśmy Żydom pewne psoty, zresztą nie tylko im. Wchodzącemu do wychodka Żyda przewróciliśmy razem z nim, lub na wyciągniętą przez okienko rękę Żyda po pieniądze, zamiast nich załadowaliśmy krowie łajno. Dlaczego to robiliśmy? Czy był to antysemi-

tyzm? Nie, to nie był antysemityzm, bo robilibyśmy to wszystkim, którzy śmiesznie mówili, chodzili w szlafmycach, nosili długie pejsy, brody, mycki na głowach, czarne kapelusze itd., a żyjąc w izolacji od Polaków, zamkali się w swoich enklawach. Gdyby nie byli Żydami też byłiby dla nas śmieszni i wyrządzałibyśmy im psoty. Czy widziałem biednego Żyda? Tak, widziałem, ale biedniejszy był polski chłop, który by kupić soli, musiał ostatnią kurę sprzedać Żydowi, sam ją zjadł tylko wtedy, gdy mu zdechła. Jeśli sięgniemy do czasów XIX wieku, kiedy pod zaborami masowa była emigracja Polaków do USA, Żydzi organizowali wyjazdy biednych, niepiśmiennych ludzi za ocean. Składała się latami cała rodzina, żeby zbierać 500 złotych, koron, lub rubli i dać Żydowi. Żydzi zawozili emigrantów na statek, kupowali bilet za 50, a resztę zabierali dla siebie. Czy z wyzysku chłopca rodziła się niechęć do Żydów i późniejszy antysemityzm? Na pewno tak, ale to nie polski chłop wykorzystywał Żyda, tylko odwrotnie.

Czasy okupacji, to okres potwornych zbrodni i nieludzkich zachowań. Niełatwo to zrozumieć współczesnemu człowiekowi. Trzeba bowiem czuć ten strach na każdym kroku, który towarzyszył wszędzie. Nie byliśmy społeczeństwem, które żyło normalnie spoglądając na tragedie Żydów, albowiem byliśmy podobnie jak oni skazani na zagładę, tylko w następnej kolejności. Wszystkie polskie służby działające w Generalnej Guberni były przymuszane do swej działalności, a opierający się temu byli bezlitośnie karani. Musiała działać policja zwana wówczas granatową, koleje i wszystkie inne instytucje. Biada temu kto się nie podporządkował. Społeczeństwo chociaż wykorzystywane bezlitośnie musiało gdzieś pracować, żeby choć na kromkę chleba zarobić dla własnej rodziny. Nie potępiam granatowego policjanta za branie udziału w łapaniach na Żydów, bo był przymuszany do tego przez okupanta. Jeśli by tego nie robił, groziło by mu to samo co Żydom. Widziałem żołdaków niemieckich rabujących żydowskie sklepy. Po zrabowaniu cenniejszych rzeczy, wyrzucali pozostałe resztki przed sklep, które wiejska gawiedź wrywała sobie z rąk. Nie potę-

piał tych ludzi, choć było to ohydne widowisko, ale nie potępiał dlatego, że znam warunki, w których to się odbywało. Panował wszechobecny głód spowodowany morderczymi kontyngentami na wsi, na mocy których zabierano ludziom nawet to, co mieli do siewu czy sadzenia w polu. Nie istniały podstawowe środki do życia, a pójście pod żydowski sklep, było jedynym sposobem na zdobycia kostki mydła, odzieży, czy innego artykułu pierwszej potrzeby. To te warunki spowodowały, że w Przecławiu wymarli na tyfus moi najbliżsi sąsiedzi. Mój ojciec zapisał w swoim pamiętniku w 1943 roku, kiedy nastąpiła całkowita eksterminacja Żydów. „Na którym polu znaleziony zostanie Żyd, ten zostanie wraz z rodziną rozstrzelany, a jego dom spalony”. To nie były pogrożki, lecz częste praktyki niemieckich żołdaków. Chłopi, po takim komunikacie, przepędzali ukrywających się Żydów z własnych posesji i pola. Czy należy ich za to potępić? Ja ich nie potępiał, bo działali w obronie koniecznej przed swoją i swych rodzin zagładą. Trzeba czuć ten strach, kiedy kładzie się spać w obawie, że przyjdą zabierać na wywózkę do Niemiec i gdy się słyszy łomot do drzwi. Ucieka się w siano na strych, albo w ciemną noc przez okno. Czy mam potępić strażaków z OSP, że przyszli zabierać mnie do Niemiec. Nie potępiałem ich choć ich znałem, bo też byli przymuszani do tego. Byli tacy, którzy pozornie wykonywali niemieckie rozkazy, ale byli i tacy, którzy gorliwie je wykonywali. Robili to gorliwie nie tylko w stosunku do Żydów, ale i Polaków. Jesteśmy społeczeństwem tak jak każde inne. Składamy się z uczciwych społecznie jednostek, ale także złodziei, bandytów, pijaków, sadystów i innych. Wojna wyzwalała w człowieku to co jest najgorsze. Znam wypadki, kiedy ukrywano Żydów dopóki mieli pieniądze, a później ich wypędzali, ale to nie był antysemityzm, lecz zwykła chciwość i barbarzyństwo. Tych potępiał, podobnie jak wszystkich wypełniających gorliwie okupacyjne rozkazy.

Pragnę tu dodać, że Żydzi nie tworzyli własnego ruchu oporu, gdyby go tworzyli, Polacy pomogli by im. Zdarzało się, że jeden słabo uzbrojony Niemiec prowadził na rozstrzelanie

# Archiwum Istnień

kilkunastu Żydów, biernie się temu poddających. Trudno było im pomóc, kiedy oni sami tego nie robili. Przykłady chciwości wysługujących się Niemcom Polaków w Przecławiu opisał w swej kronice Wilhelm Lotz, a były to działania skierowane przeciwko wszystkim mieszkańcom.

Pytania zadawane przez internautów powinny dotrzeć do mieleckich historyków, w celu wydania pracy oddającej prawdę tamtych czasów z Mielca. Póki co istnieje dowolna interpretacja faktów, w których aż roi się od błędów. W wydawanych często historycznych bzdurach wymieszani zostali bohaterowie z przestępcami. Żółć mi się wylewa, kiedy czytam, że osoba wysługująca się Niemcom była żołnierzem Armii Krajowej.

Stosunki polsko żydowskie z okresu okupacji i po wojnie, kiedy polskość była dalej niszczone, jeszcze długo będą budziły emocje. Warto wspomnieć o roli, jaką spełniali Żydzi na wysokich stanowiskach w aparacie terroru w okresie stalinowskim do 1953 roku. Doświadczyłem tego na własnej skórze. Ten okres też wymaga udokumentowania.

Odpowiadając na pytania internautom, powiedziałbym, że nie znam wypadku, by którykolwiek z księży, znanych mi, był antysemitą. Nieruchomości żydowskie przejęło państwo. Pamiętek po Żydach nie ma, gdyż oni sami nie dążyli do tego. Zresztą nie tylko tych, bo również wielu innych.

Oceniając tamte odległe czasy, pragnę podkreślić heroizm tych jednostek ludzkich, którzy przechowywali Żydów i tych którzy potrafili przeciwstawić się okupantowi walcząc zbrojnie. Czyny „Jędrusia”, Wojciecha Lisa, „Rusala” – Aleksander Rusin, to już historia. Trzeba było naprawdę ogromnego heroizmu i odwagi, aby tak jak oni podejmować walkę z okupantem. Bohaterowie poginęli, a tych, którzy przeżyli, nie potrafimy docenić, wolimy puścić w niepamięć, gorzej - nie potrafimy nawet obronić przed nieuczciwymi atakami.

Potrafię zrozumieć wiele z tamtych tragicznych lat, natomiast całkowicie nie rozumiem dzisiejszego antysemityzmu, kiedy problem żydowski nie istnieje, bo ocalali stanowią niewielką liczbę.

**Teofil Lenartowicz.**

Wrocław, dnia 7. 2. 2011



*Józef Czaja - kadr z filmu*

Ponad dwa lata temu, wczesną jesienią 2008 r. w Czerminie gościła ekipa Telewizji Polskiej z Warszawy, której reżyser Justyna Łuczaj Salej realizowała zdjęcia do filmu dokumentalnego o niemieckich okupacyjnych badaniach antropologicznych miejscowej ludności z Czermina - Hohenbach, Borowej, Schönanger (obecny Orłów) i Wetzzenbring (Woli Pławskiej), które prowadzili hitlerowscy pseudo naukowcy z krakowskiego IDO - Institut Deutsche Europe, który powstał w miejsce zlikwidowanego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Podczas zdjęć w Czerminie filmowcy z Warszawy nagrywali wypowiedzi mieszkańca tej miejscowości Józefa Czaja, który wspominał czasy okupacji niemieckiej, w tym relacje mieszkających tu razem Polaków i Niemców. Film realizowany był także w innych miejscowościach, w tym. m.in. w okolicach Markowej. Obejmował on też problematykę tzw. Goralenvolk oraz eksterminację Żydów w Tarnowie. Premiera filmu pod tytułem „Archiwum Istnień” odbyła się 8 października 2010 r. w TVP 1.



*Archiwalne zdjęcie - kadr z filmu*

Przed premierą filmu, na jego temat w „Rzeczpospolitej” ukazał się artykuł autorstwa Małgorzaty Piwowar, która pisała m.in.: „W filmie Justyny Łuczaj-Salej i Bogusława Sławińskiego tamte zdarzenia wspominają ich świadkowie. Przed pół wiekiem zmuszeni do udziału w badaniach, dziś oglądają i komentują ich świadectwa: zdjęcia, testy, formularze, a nawet odbitki palców i włosy w kopertach. Notowano wymiary czaszki, kolor oczu i włosów.”

Justyna Łuczaj Salej jest autorką scenariusza i reżyserem filmu, zdjęcia - Michał Ślusarczyk, asystent reżysera - Bogusław Sławiński, muzyka - Jakub Ostaszewski. Przy realizacji zdjęć w Czerminie był obecny Włodzimierz Gąsiewski, który również udostępnił niemieckie zdjęcia archiwalne. Ekipa filmowała również zabudowania w dawnej kolonii Hohenbach. Film był emitowany w porze nocnej, stąd być może w porozumieniu z TVP i panią reżyser odbędzie się jego pokaz w Czerminie.

**Włodzimierz Gąsiewski**



*Na zdjęciu na niemieckim cmentarzu w Czerminie, od lewej Justyna Łuczaj Salej, a od prawej podczas wypowiedzi Józef Czaja (fot. Włodzimierz Gąsiewski)*

Bartosz Walicki

# Hołd pomordowanym w Turzy

W ostatnich miesiącach II wojny światowej, w połowie sierpnia 1944 roku, na pastwisku gromadzkim w Trzebusce NKWD zorganizowało przejściowy obóz o powierzchni około 50 arów. Łagier mieścił w sobie Dom Spółdzielczy oraz kilka ziemianek o zróżnicowanych wymiarach. Obóz został wydzielony ogrodzeniem z drutu kolczastego. Zarząd sprawował oficer NKWD – „pułkownik kompanijny”. Pomagała mu kilkudziesięciosobowa grupa strażników wyposażonych w broń automatyczną. Funkcjonowanie obozu otoczone było tajemnicą, zaś mieszkające najbliżej osoby wysiedlono. Więźniami byli żołnierze Armii Krajowej, a także żołnierze innych narodowości: Rosjanie, Azerowie, Niemcy. Nowi więźniowie przywożeni byli do łagru niemal codziennie. Ich rotacja była dość duża. Choć obóz funkcjonował zaledwie kilka miesięcy, ogółem przeszło przez niego około 2,5 tys. osób. Co tydzień, w czwartki, miały miejsce wielogodzinne przesłuchania. Część z więzionych osób przewożono do innych obozów, niektórych zsyłano w głąb Rosji. Wielu więźniom zasądzano wyroki śmierci. Tych ostatnich, odzianych jedynie w bieliznę, wieziono do pobliskiego lasu turzańskiego. Tam byli oni mordowani strzałem w tył głowy lub poprzez poderżnięcie gardła, a ich ciała grzebano w bezimiennych mogiłach, które starannie maskowano. W okresie powojennym o „sprawie Turzy” nakazano zapomnieć. Ale ludzie pamiętali. Zryw w roku 1980, a później w roku 1989 spowodował przypomnienie wydarzeń

sprzed kilkudziesięciu lat. Szczególnym kustoszem pamięci tragedii Trzebuski i Turzy do dziś jest Towarzystwo Miłośników Ziemi Sokołowskiej. To właśnie m.in. dzięki jego działaniom od roku 1990 corocznie jedna z jesiennych niedziel stanowi dzień pamięci o tych mrocznych kartach w dziejach regionu. Obchody turzańskie w bieżącym roku zainaugurowała połowa Msza św. celebrowana na miejscu byłego obozu NKWD w Trzebusce w dniu 5 września. Pomysłodawcą tego modlitewnego spotkania był regionalista Piotr Ożóg. Eucharystii przewodniczył proboszcz miejscowej parafii ks. Władysław Szwed, który również wygłosił okolicznościowe kazanie. Nabożeństwo poprzedziła Droga Krzyżowa z kościoła parafialnego do obelisku i krzyża upamiętniających miejsce pamięci. W uroczystości wzięło udział około 150 osób z ziemi sokołowskiej. Warto zaznaczyć, że była to w ogóle pierwsza w historii Msza św. celebrowana na miejscu byłego obozu sowieckiego.

Znakiem tego, jak bardzo wiedza o tragedii turzańskiej konstytuuje tożsamość ziemi sokołowskiej, była m.in. wizyta kilkudziesięciu gości z Lokalnej Grupy Działania „Zielony Pierścień” z Nałęczowa, która odbyła się w dniu 14 września. Goście z Lubelszczyzny realizowali wówczas wyjazd szkoleniowy o tematyce „Dobre praktyki: przykłady ofert turystyki wiejskiej; promocja i dystrybucja produktów lokalnych”. W programie wycieczki na Podkarpacie wpisał się m.in. pobyt w miejscu pamięci w lesie turzańskim. Z mrocznymi

kartami Małego Katynia zapoznał ich niżej podpisany – prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Sokołowskiej.

Centralne, doroczne uroczystości religijno-patriotyczne ku czci więźniów obozu w Trzebusce odbyły się w niedzielę 19 września. Przybyli na nie licznie mieszkańcy ziemi sokołowskiej i goście z różnych regionów Polski. Byli wśród nich parlamentarzyści, samorządowcy szczebla wojewódzkiego, powiatowego i gminnego, przedstawiciele organizacji kombatanckich, rodzin katyńskich, działacze kulturalni i społeczni. Obchody rozpoczął program słowno-muzyczny zaprezentowany przez druhów z 26. Drużyny Harcerskiej istniejącej przy Zespole Szkół im. Jana Pawła II w Sokołowie Małopolskim oraz parafialny chór młodzieżowy pod batutą Sebastiana Lesiczki. Krótki koncert przedstawiła też Wojskowa Orkiestra Garnizonowa z Rzeszowa. Istotnym punktem programu było nadanie Honorowego Obywatelstwa Miasta Sokołowa Małopolskiego ordynariuszowi diecezji rzeszowskiej bp. Kazimierzowi Górnemu oraz działaczowi solidarnościowemu Wojciechowi Buczakowi.

Okolicznościowe kazanie wygłosił sędziwy o. Hieronim Warachim z klasztoru oo. Kapucynów w Sędziszowie Małopolskim, były kapelan Inspektoratu Armii Krajowej „Lwów – Północ”. Na samym początku podał on intencję religijno-patriotycznego zgromadzenia: „Bogu niech będą dzięki za to, że tradycyjnym obyczajem w trzecią niedzielę września gromadzimy się w tym lesie słusznie nazywanym lasem katyńskim ziemi rzeszowskiej. Przyszliśmy tutaj tak licznie zgromadzeni, by uczcić pamięć naszych rodaków barbarzyńsko wymordowanych w sierpniu 1944 roku”. Mocnym głosem zwracał również uwagę: „Rodacy, analizując dzieje Polski na tle radosnych i bolesnych z naszej historii wydarzeń stwierdzamy zdecydowanie, że nad Polską czuwała i czuwa i wierzymy, że nieustannie czuć będzie moc Bożej Opatrności. Bo gdy nadchodziło doświadczenie krzyża równocześnie jawiła się jutrznia Zmartwychwstania. Bo przez krzyż podchodzi się do Zmartwychwstania. Z ofiary miłości rodzi się Zmartwychwstanie. Trzeba kochać Polskę, a Polska nie zginie!”. Po Mszy św. odbył się Apel Pamięci



Turza. Droga Krzyżowa (foto. arch.)



Turza. Laureaci konkursu bibliotecznego (foto. arch.)

i salwa honorowa w wykonaniu żołnierze 21 Brygady Strzelców Podhalańskich z Rzeszowa. Uroczystość zakończyło złożenie wieńców i kwiatów przy grobie ofiar NKWD. Uczestnicy obchodów mieli też możliwość zwiedzenia wystawy dokumentującej zbrodnię turzańską, po której oprowadzał przedstawiciel Towarzystwa Miłośników Ziemi Sokołowskiej, nauczyciel historii Piotr Ożóg z Trzebuski.

Kilka dni po obchodach turzańskich, 23 września 2010 r., odbyła się VI Patriotyczna Droga Krzyżowa zorganizowana przez Zespół Szkół w Trzebusce. Jej szlak wiódł od miejsca byłego obozu NKWD aż do lasu turzańskiego na długości ponad 3 km. W nabożeństwie wzięli udział gimnazjaliści z sześciu szkół z terenu gminy sokołowskiej (Trzebuska, Nienadówka Górna, Nienadówka Dolna, Górno, Sokołów Małopolski i Trzeboś), łącznie ponad 200 osób. Teksty poszczególnych stacji oraz wstępu i zakończenia czytali przedstawiciele młodzieży z poszczególnych placówek oświatowych. Całą Drodze Krzyżowej przewodniczył proboszcz Trzebuski ks. Władysław Szwed. W przerwach pomiędzy rozważaniami stacji męki Pańskiej odmawiany był różaniec i koronka do Bożego Miłosierdzia, śpiewano pieśni religijne. To plenerowe nabożeństwo stanowiło doskonałą okazję do podjęcia przez młodzież głębszej refleksji na temat patriotyzmu, męczeństwa oraz wartości ofiary składanej za Ojczyznę.

Podsumowaniem tegorocznych obchodów turzańskich była 3. edycja konkursu literacko-plastycznego „Patriotyczna Droga Krzyżowa – Mały Katyń Ziemi Sokołowskiej” zorganizowanego przez Miejską i Gminną Bibliotekę Publiczną w Sokołowie Małopolskim – filię w Trzebusce oraz Zespół Szkół

im. Św. Królowej Jadwigi w Trzebusce. Jego celem było: pogłębianie świadomości i wiedzy uczniów dotyczących losów więźniów obozu NKWD w Trzebusce oraz mordu dokonanego na nich, jak również propagowanie uczuć patriotyczno-religijnych. Ogółem na konkurs wpłynęło 48 prac – 11 plastycznych, 10 plakatów, 9 znaczków pocztowych, 2 plakietki, 4 stacje Drogi Krzyżowej, 5 wierszy, 1 folder oraz 6 tekstów Drogi Krzyżowej. Wśród uczestników były trzy osoby dorosłe, a także uczniowie szkół z Sokołowa Małopolskiego, Trzebuski, Trzebuski oraz nr 1 i nr 2 w Nienadówce. Do Jury powołani zostali na równych prawach: instruktor plastyki sokołowskiego Ośrodka Kultury Henryka Boho, nauczyciel języka polskiego w Tyczynie Adam Janiec, nauczyciel historii w Sokołowie i przedstawiciel Towarzystwa Miłośników Ziemi Sokołowskiej Stanisław Kula oraz bibliotekarz Izabela Piekło. Komisja ta postanowiła przyznać łącznie 22 nagrody i 7 wyróż-

nień. Rozstrzygnięcie konkursu i ogłoszenie wyników miało miejsce 9 listopada w czytelni sokołowskiej księżnicy.

W kategorii Stacja Drogi Krzyżowej wśród dorosłych nagrodzono Jolantę Szczygieł z Nienadówki i wyróżniono Bernadetę Kiejar z Trzebuski, zaś wśród młodzieży nagrodzono Karolinę Chorzępę z Trzebuski, a wyróżniono Sylwię Chmiel z Sokołowa. Najlepszy projekt plakietki złożył sokołowianin Damian Flak, a folder – Bernadeta Sołtys z Nienadówki. Wśród autorów projektu znaczka pocztowego pierwsze miejsce zajął Paweł Antoni Ożóg, II miejsce Martyna Gielarowska, a III miejsce Patrycja Marszał i Paweł Marek Ożóg (wszyscy z Trzebuski). Najciekawsze prace plastyczne wyszły spod ręki sokołowian: Bernadety Chruściak, Huberta Kidy i Rafała Bzdeka. Jako najładniejszy plakat wśród młodzieży oceniono dzieło Jakuba Marszała, a następnie Marceliny Bałamut i Joanny Karaś. Wśród dzieci nagrodzono natomiast Wiolettę Watras, a wyróżniono Monikę Watras (wszyscy z Trzebuski). W kategorii Wiersz wśród dzieci zwyciężyła Małgorzata Chorzępa z Nienadówki, a na II miejscu uplasowała się Sabina Szczygieł z Trzebuski. Najlepszym autorem wiersza spośród młodzieży okazała się Gabriela Baran z Trzebuski, zaś kolejne miejsca zajęły Alicja Smółka z Trzebuski i Dominika Pieniek z Nienadówki. Najlepszy tekst Drogi Krzyżowej opracowali: Aneta Woś, Mateusz Chorzępa i Konrad Morawski (wszyscy z Nienadówki), a nadto wyróżniono Kingę Rycek z Trzebuski oraz Jana Melech i Jakuba Rogalę (obaj z Nienadówki).



Turza. Uroczystości w miejscu pamięci (foto. arch.)

## HISTORIA I WIARA

### POLSKA KRZYŻEM STOI

Polska krzyżem stoi,

gdy woda chrzcielna  
spływa na dziecka skronie  
i zmywa grzech Adama,  
rodząc go do życia w niebie.

Polska krzyżem stoi,

gdy pierwszoklasisty książki  
ksiądz święci, błogosławi;  
karmi Chrystusa Ciałem  
działwę na szkolne wędrowanie.

Polska krzyżem stoi,

gdy matka uczy wiary  
małą latorośl i kruszynkę,  
znakiem krzyża znaczy czoło,  
kładzie do snu z aniołem.

Polska krzyżem stoi,

gdy rodzicielka zanim bochen  
chleba, wyrosły z gleby polskiej  
skroi, ze czcią całuje,  
znaczy krzyżem jego świętość.

Polska krzyżem stoi,

gdy po raz pierwszy  
w nieskalanej bieli dzieci  
są na Bankiecie Zbawcy  
i spożywają Jego dary z krzyża.

Polska krzyżem stoi,

gdy rodzice kładą ręce  
na głowę młodożeńca;  
śpiewając serdeczna Matko,  
żegnają krzyżem w nowe progi.

Polska krzyżem stoi,

gdy Veni Creator  
w kościele już rozbrzmiewa,  
kapłan młodych wiąże stułą,  
wyprawia w drogę krzyżem.

Polska krzyżem stoi,

gdy grzesznicy wyznają liczne winy,  
z krzyża płynie rozgrzeszenie,  
miłosierdzia wołają za Faustyną:  
Jezu, ufam Tobie!

Polska krzyżem stoi,

gdy wierni co niedzielę  
biegną na Ucztę Pańską,  
do źródła łaski z krzyża,  
i otrzymują Jego moce.

Polska krzyżem stoi,

gdy obok Matki Boskiej  
oraz Wszystkich Świętych  
krucyfiks z dostojnego miejsca  
posyła łaski domownikom.

Polska krzyżem stoi,

gdy pośród pieśni żałobnych  
prowadzą brata na spoczynek wieczny,  
ofiarując żarliwe pienia, modły,  
krzyż mu nadzieją zbawienia.

Polska krzyżem stoi,

gdy instalują prezydenta,  
marszałek w Sejmie dzierży łaskę,  
historia orła i krzyża się kłania,  
Najjaśniejsza Ojczyzna triumfuje.

Polska krzyżem stoi,

gdy na Anioł Pański biją dzwony,  
a na wieży króluje krzyż wysoko;  
i lud wysławia Stwórcę swego,  
modli się za tych, co za Styks odeszli.

Polska krzyżem stoi,

gdy idąc wiejską ścieżyną,  
czapkę przechodzień zdejmuje nabożnie  
przed kapliczką i krzyżem,  
zdrowaśkę odmawia zaległą.

Polska krzyżem stoi,

gdy na Giewoncie krzyż góruje  
i obejmuje mocno Lachów plemię  
od gór tatrański aż po Bałtyk,  
ty czuwaj, niech nikt go nie wyrwa.

Polska krzyżem stoi,

gdy toczysz bój codzienny,  
ryczy lewiatan imieniem Świecki,  
który wciąż szydzi i urąga Bogu,  
weź krzyż – ocalisz dziedzictwo ojców

**Mieczysław Kuriański**

Święta Katarzyna, dn. 5 września 2010

Ks. Józef Mandziuk

## **Postacie z dziejów Kościoła śląskiego w czasach nowożytnych (cz. X)**

**BISKUP DANIEL ELIASZ  
SOMMERFELD  
– „ŚLĄSKI BOROMEUSZ”**

Najwybitniejszym wrocławskim biskupem sufraganiem w XVIII stuleciu był bez wątpienia Daniel Eliaz Sommerfeld. Nazywano go „śląskim Boromeuszem” oraz „ozdobą i zaszczytem całego duchowieństwa”. Przez blisko 30 lat posługi biskupim „swoim życiem dawał życie innym”. Przeszedł na świat 7 IV 1681 r. w Borowie k. Świebodzina jako syn Teodora i Anny Katarzyny z d. Hoffmann. Ojciec w młodości przeszedł na katolicyzm, a matka do końca życia pozostała gorliwą luteranką. Nauki gimnazjalne pobierał w kolegiach jezuickich w Głogowie i we Wrocławiu. W latach 1700-1703 studiował w Rzymie jako śląski „Germanik”, przyjmując 22 III 1704 r. święcenia kapłańskie w bazylice laterańskiej z rąk kardynała Kaspra Carpiniego. Tydzień później uzyskał doktorat z teologii na uniwersytecie w Perugii. Po powrocie do kraju został przyjęty do grona kapituły katedralnej. Pełnił w niej obowiązki sędziego, kolektora i bibliotekarza. Miał okazję zapoznać się z aktami kapituły, przepisami prawnymi i księgozbiorem kapitulnym, przerezedzonym przez Szwedów w czasie wojny 30-letniej. Zabrakło w nich m. in. 298 rękopisów pergaminowych, 217 papierowych i 2213 druków. Z zapalem uporządkował księgozbiór, powiększył go i rozłożył nad nim opiekę, pełniąc do 1728 r. funkcję kustosa zbiorów kapitulnych. Ponadto uporządkował i uzupełnił akta kapitulne oraz protokoły od 1600 r. do czasów sobie współczesnych. W ten sposób pozostawił po sobie pięć grubych foliałów, które stanowią dziś bezcenne materiały do dziejów kapituły i diecezji. Znajomość historii i statutów kapitulnych pozwoliła mu wraz z dziekanem Leopoldem Zygmuntem Franckenbergiem opracować nową instrukcję, dotyczącą przyjmowania kandydatów do grona kapituły. Cieszył się dużym zaufaniem zarówno biskupa jak i kapituły. Z prowdzi biskupa otrzymał godność prałata scholastyka. W 1714 r. objął stanowisko rektora seminarium duchownego, którą to funkcję pełnił do 1731 r., kiedy powołano do istnienia nowy alumnat. Dotychczas

alumni mieszkali w domu rektora lub dziekana, a później u kanonika-teologa. Zwykle przebywał z nimi jeden z kapłanów, pozostających tuż po święceniach w alumnacie, dopóki nie skierowano go do pracy duszpasterskiej w parafii.

Prałat Sommerfeld po śmierci biskupa Antoniego Mitznera został 11 VI 1714 r. biskupem tyt. Leontopolis i sufraganiem wrocławskim. Sakrę biskupią otrzymał 19 sierpnia w kościele reformatów w Wiedniu z rąk nuncjusza apostolskiego Spinoli w asyście wikariusza apostolskiego Okseniusza Werziresco z Siedmiogrodu i Wilhelma Leslina, koadiutora z Triestu. Wobec częstej nieobecności ordynariusza w diecezji odpowiadał praktycznie za stan religijno-moralny duchowieństwa i wiernych. O jego posłudze biskupiej świadczą następujące liczby: 1819 wyświęconych kapłanów, 55 konsekrowanych świątyń, 266 ołtarzy, 1229 portatyli ołtarzowych. Ponadto instalował 28 prałatów i opatów, udzielił benedykcji 4 opatom i obłóczyn 70 zakonnic. Konsekrował m. in. kaplicę bł. Czesława we Wrocławiu i kościół benedyktyński w Legnickim Polu. W l. 1718-1724 przeprowadził z trzema współpracownikami generalną wizytację diecezji na podstawie zasad podanych w 18-punktowej instrukcji, opracowanej na polecenie ordynariusza. Z tej wizytacji zachowały się obszerne protokoły dotyczące każdej parafii, zawierającymi zalecenia duszpastersko-administracyjne. Na podstawie tego materiału powstał w 1724 r. pierwszy schematyzm diecezji wrocławskiej.

Wielkim osiągnięciem biskupa Daniela było wybudowanie zakładu dydaktyczno-wychowawczego dla alumnów, którzy wiedzę teologiczną zdobywali w jezuickiej akademii we Wrocławiu. Tenże alumnat powstał dzięki ogromnemu zaangażowaniu biskupa-rektora, który pozyskiwał darczyńców, życzliwość i hojność niektórych kanoników i samego ordynariusza. Dnia 18 X 1731 r. biskup uroczystie konsekrował ołtarz w kaplicy alumnackiej i poświęcił budynek, do którego weszli pierwsi kandydaci do kapłaństwa. Dla podniesienia poziomu wiedzy religijnej wiernych biskup przygotował katechizm do nauczania młodzieży na podstawie małego katechizmu rzymskiego św. Piotra Kanizjusza

i wydał go drukiem w 1735 r. Działalność zewnętrzna sufragana wrocławskiego oparta była o bogate życie wewnętrzno-ascetyczne. Jej przejawem była m.in. przynależność do bractwa różańcowego i Najświętszego Sakramentu. Był on nawet wybierany przez członków na rektora i aktywnie uczestniczył w praktykach religijnych tychże bractw, często im przewodnicząc w spotkaniach modlitewno-organizacyjnych.

Ciesząc się wielkim poważaniem wśród duchowieństwa śląskiego, biskup Sommerfeld był kandydatem kapituły podczas elekcji nowego rzadcy diecezji wrocławskiej w 1732 r. Ostatecznie jednak pod naciskiem dworu wiedeńskiego biskupem wrocławskim został kardynał Filip Sinzendorf, z którym sufragan nie mógł znaleźć wspólnego języka. Przeżywał więc lata upokorzeń i cierpień. Czarę goryczy wypełniło zajęcie Wrocławia przez wojska pruskie. Nie mógł pogodzić się z tym pruskim najazdem i za odmowę złożenia królowi Fryderykowi II homagium, musiał wraz z kilkoma innymi kanonikami opuścić ziemię śląską. Przez ponad trzy miesiące tułał się w Polsce. Do Wrocławia powrócił 10 XI 1741 r., kiedy wytypowani przedstawiciele kapituły złożyli hołd nowemu władcy pruskiemu. Znany był jego ostry protest przeciwko narzuconemu przez króla wyborowi Schaffgotscha na wrocławskiego biskupa-koadiutora.

Sterany pracą i różnymi problemami zmarł 26 VIII 1742 r. we Wrocławiu w wieku 61 lat. Został pochowany w ówczesnej kaplicy św. Karola Boromeusza w katedrze wrocławskiej. Potomni wystawili mu pomnik, umieszczony za ołtarzem głównym naprzeciw kaplicy Mariackiej. Wyrity napis wystawia go jako męża bez skazy, owianego duchem proroka Eliasza, przyswiewcającego współbraciom rzadkim przykładem całkowitego poświęcenia się dla chwały Bożej i zbawienia ludzi.

### **SZLACHCIC ADAM BORKA FUNDATOR PIERWSZEGO KLASZTORU BONIFRATERSKIEGO**

W okresie dominacji katolicyzmu na Śląsku pojawili się bonifratrzy, stanowiący zakon szpitalny, o genezie wybitnie laickiej. Początki jego wiążą się z osobą św. Jana Bożego, który w 1540 r. zorganizował pierwszą wspólnotę w Grenadzie w założonym przez siebie szpitalu. Pierwotnie było to stowarzyszenie bez ustalonej formy organizacyjnej mimo napływu licznych kandydatów i szybkiego powstawania nowych fundacji

szpitalnych w Hiszpanii i Włoszech. W czasach staropolskich w Rzeczpospolitej Trojga Narodów bonifratrzy mieli aż 18 placówek. Zakonem zainteresowany był szczególnie król Zygmunt Waza III, bowiem leczył go bonifratr G. Ferrara, nadworny lekarz cesarski z Wiednia. Podstawą życia i duchowości dobrych braci była reguła św. Augustyna, a oni sami składali specjalny ślub dożywotniego służenia chorym. Mimo, że w każdym domu znajdowało się 1-2 kapłanów sprawujących opiekę duszpasterską, zakonnicy nie-kapłani spełniali zasadnicze funkcje i decydowali o obliczu zakonu. Ich obowiązkiem było dbanie o chorych nie tylko we własnych szpitalach, lecz także ambulatoryjne leczenie w domach. Wszyscy mieli fachowe przygotowanie medyczne i farmaceutyczne, ze szczególną specjalizacją w ziołolecznictwie. W wielu krajach zakonnicy byli wysoko cenieni za ofiarną i apostołską postawę, zwłaszcza w czasie epidemii. W czasie wojen pracowali w lazaretach wojskowych. W szpitalach szczególną troską otaczali przewlekle chorych, zwłaszcza psychicznie. Obląkanych bowiem uważali za „istotnie chorych”. Ich działalność przyczyniła się do rozwoju szpitalnictwa i nauk medycznych.

Pierwszy śląski konwent bonifraterski powstał w 1694 r. w Cieszynie. Fundatorem klasztoru i szpitala był szlachcic Adam Borka, właściciel Wędrzyni i Grodziszca. Dzięki jego fundacji wzniesiono kościół zakonny pw. Wniebowzięcia NMP. Konwent liczył w połowie XVIII w. 12 braci i należał do prowincji austriackiej. Zakonnicy prowadzili zakład dla nieuleczalnie chorych.

Z Cieszyna bonifratrzy przybyli do Wrocławia. Wcześniej istniały już starania o ich osiedlenie się w stolicy biskupstwa nadodrzańskiego. W tym celu zbierano fundusze na budowę klasztoru i szpitala. W 1709 r. zakonnicy drogą darowizny otrzymali ogród ze starym domem na wschód od ufortyfikowanego miasta, za bramą Oławską. Cesarz Józef I zatwierdził darowiznę i pod koniec 1711 r. pierwsi zakonnicy pojawili się na Przedmieściu Oławskim. Kamień węgielny pod budowę kościoła położono 10 VII 1715 r. Budowę prowadził J. B. Peintner z Karyntii Górnej, nadworny architekt biskupa wrocławskiego. Budowę świątyni pw. Trójcy Świętej ukończono w 1722 r. i była to ostatnia katolicka budowla sakralna w stylu barokowym we Wrocławiu. W piwnicach świątyni urządzono kryptę grzebalną. Z kościołem połączono klasztor-szpital, według planów zabudowań cieszyńskich. Przy szpitalu utworzono aptekę.

W 1714 r. konwent wrocławski liczył 8 braci, a w połowie XVIII w. – 22. Zakonnicy byli bardzo cenieni za ofiarną i apostołską postawę, zwłaszcza w czasie grasujących epidemii, oraz za troskliwą opiekę, którą otaczali szczególnie przewlekle chorych. W swoim szpitalu dobrzy bracia przyjmowali wszystkich chorych niezależnie od ich wyznania. Podczas wojen śląskich opiekowali się również rannymi i chorymi żołnierzami pruskimi, zyskując przez to uznanie i poparcie króla Fryderyka II. Jako wyraz wdzięczności władca zezwolił im na bezakcyzowe sprowadzanie drewna dla klasztoru oraz podarował im rocznie 5 ton soli.

Bonifratrzy mieli też klasztor i szpital w Prudniku, dzięki staraniom generała majora Fryderyka Wilhelma von Rödera, wyleczonego przez brata Probusa Martiniego z Wrocławia. Poświęcenie nowego klasztoru i szpitala nastąpiło w 1766 r. Po 20 latach wzniesiono nowy klasztor wraz z kościołem zakonnym. Konwent, liczący 5 zakonników, prowadził działalność medyczną i chirurgiczną, co rodziło nieporozumienia z miejscowymi lekarzami, a także z aptekarzem. Dzięki przeorowi Probosowi konwent i szpital prudnicki przetrwał trudne lata 2 poł. XVIII w., a bracia mogli się poświęcać chorym, troszcząc się o ich zdrowie fizyczne i duchowe. Wielki rozwój zakonu nastąpił w XIX stulecie. Zakonników nie dotknęła pruska sekularyzacja, ani restrykcje kulturkampfu.

### JAN ERNEST I ELEONORA VON SPRINTZENSTEIN – DOBRODZIEJE ŚLĄSKICH JEZUITÓW

Baron Jan Ernest von Sprintzenstein, pułkownik cesarski, odziedziczył od pierwszej swojej małżonki Heleny von Rechenberg wolne państwo stanowe Otyń. Po długich i kosztownych procesach obronił je przed sądowymi pretensjami szwagra, barona Jerzego von Rechenberg. Samo państwo otyńskie obejmowało 16 906 ha i było zamieszkiwane przez 6 463 osoby. W jego granicach znalazły się 2 miasta i 11 wsi. Tworzyły 3 odrębne kompleksy, usytuowane na terenach powiatów Zielona Góra i Nowa Sól. W testamencie pułkownik zapisał ten wielki majątek drugiej żonie Eleonorze, hrabinie von Harrach. Następnie zobowiązał małżonkę, aby po jej śmierci majątek przypadł jezuitom prowincji czeskiej. W testamencie zastrzegł, aby fundatorzy mieli miejsce spoczynku w świątyni jezuickiej, a zakonnicy

w rocznicę ich śmierci mieli sprawować za nich Msze św.

Jezuici, mając hojną fundację, postanowili wznieść okazałe kolegium Sprintzensteinianum w protestanckiej Legnicy. Prace wstępne pod kierunkiem Jana Jerzego Knolla rozpoczęto 18 VII 1700 r. Budowę ukończono w 1708 r. i w 2-piętrowym gmachu zamieszkało 20 zakonników: rektor, 8 kapłanów, 4 magistrów i 7 braci. Stary budynek kolegium przeznaczono na siedzibę konwiktu. Po drugiej stronie ulicy znajdowały się dwa wielkie obiekty: Dom Lubiński, należący do opactwa cysterskiego w Lubiążu oraz Akademia Rycerska, którą ufundował w 1708 r. cesarz Józef I.

Na miejscu pofranciszkańskiej świątyni w 1714 r. jezuici rozpoczęli budowę nowej świątyni pw. św. Jana Chrzciciela. Powstały obiekt sakralny – to prawdziwy klejnot europejskiej sztuki barokowej XVIII w. Wnętrze jest jednonawowe, halowe z czterema rzędami kaplic bocznych otwartych do środka, nad którymi umieszczono empory. Przy tylnej ścianie kaplicy Najświętszego Serca Pana Jezusa umieszczono metalowe sarkofagi małżonków Jana Ernesta i Eleonory von Sprintzenstein. Zostali oni najpierw pochowani w miejscowości Kopanin, później w Otyniu i wreszcie w Legnicy. Na początku roku szkolnego 1729/1730 urządzono uroczyste nabożeństwo żałobne w ich intencji. Pod posadzką świątyni umieszczono krypty grobowe, w których chowano zmarłych jezuitów.

Przy kościele zachowano Mauzoleum Piastów, wzniesione w 1679 r. według projektu Karola Rossi'ego. Powstało ono z inicjatywy księżnej Ludwiki, matki ostatniego z książąt piastowskich Jerzego Wilhelma. Freski namalowane na kopule i ścianach rotundy związane są z najstarszymi dziejami Polski i Piastami śląskimi. W pięciu niszach umieszczono cynowe trumny Piastów. Niektóre z nich zostały wsparte na polskich orłach. Rzeźbiarz pochodzenia niemieckiego Maciej Rauchmiller wykonał w l. 1677-1678 posągi ostatnich piastowskich książąt: Chrystiana i jego żony oraz dzieci Karoliny i Jerzego Wilhelma.

W 1725 r. rozpoczęto budowę nowego gmachu konwiktu św. Józefa, w pobliżu murów miejskich na miejscu starego młyna. Konwikt był budynkiem jednoskrzydłowym. Posiadał trzy kondygnacje: parter, pierwsze i drugie piętro. Konwiktorzy mogli zamieszkać w nowym domu w 1733 r.

Podstawą egzystencji i działalności kolegium legnickiego były majątki państwa otyńskiego. Każdy rektor legnicki był jednocześnie administratorem tych



że majątków, które ulegały ciąglej modernizacji. W 1721 r. ukończono budowę nowego zamku w Otyniu, a konwikt tamtejszej rezydencji liczył 11 członków. We wzniesionym kościele pw. Podwyższenia Krzyża Świętego szczególnym kultem cieszyła się łaskami słynąca statua Matki Bożej, przeniesiona tam z pobliskiej Klenicy.

Działalność konwikt legnickiego umożliwiał majątek Lubiatów k. Złotoryi, który był zupełnie niezależny od władztwa otyńskiego. Jeden z jezuitów prowadził tam duszpasterstwo parafialne. Z kolegium legnickim związana była również misja w pobliskich Twardocicach, gdzie katolicy byli diasporą otoczoną w zdecydowanej większości przez szwenkfeldystów, którzy ostali się na Śląsku.

### OPAT INNOCENTY FRYTSCH – BUDOWNICZY KOŚCIOŁA PANNY MARYI ŁASKAWEJ W KRZESZOWIE

W okresie dominacji katolicyzmu na Śląsku na szczególną uwagę zasługuje cysterski Krzeszów, gdzie dzięki funduszom nagromadzonym przez opata Bernarda Rosę kontynuowano wielkie prace budowlane. Dokonano rozbudowy klasztoru i zabudowań gospodarczych. Przebudowano kościół górski pw. św. Anny. Wzniesiono kaplicę Betlejem z grotą Narodzenia Pana Jezusa, a także zbudowano Kalwarię, składającą się z 32 kaplic i kapliczek. Największym jednak przedsięwzięciem było wzniesienie kościoła klasztorowego pw. Panny Maryi Łaskawej. Budowę tej perły baroku śląskiego rozpoczął w 1727 r. opat Innocenty Frytsch. Na miejscu starego kościoła powstała ogromna bryła świątyni z transeptem, dwuwiekową fasadą, Mauzoleum Piastów i kaplica św. Marii Magdaleny z Grobem Pańskim. Długość całego obiektu wynosi 118,5 m, szerokość nawy poprzecznej – 48,80 m, a wysokość do kalenicy sięga ok. 35 m.

Z daleka widoczna jest fasada, posiadająca trzy kondygnacje, w których znajdują się kamienne figury. W kondygnacji pierwszej, obrazującej sferę ziemską, widnieją rzeźby św. Scholastyki, jej brata św. Benedykta i Mojżesza, a po drugiej stronie św. Ludgardy, św. Bernarda Clairvaux i św. Grzegorza Wielkiego. W środkowej kondygnacji znajduje się 5-metrowa statua Niepokalanej Dziewicy, a pod nią napis: Domus Gratiae Sanctae Mariae. Kondygnacja trzecia, ukazująca sferę niebieską, przedstawia Trójcę Świętą. Kopuły wież wieńczą figury aniołów o 2,5 metrowej wysokości.

Bardzo malownicze jest wnętrze świątyni, zbudowanej na planie krzyża łacińskiego. Cały szereg kaplic powiązano z przestrzenną nawą, podporządkowaną ołtarzowi głównemu i kazalnicy. W ołtarzu głównym umieszczono obraz, przedstawiający Wniebowzięcie NMP, autorstwa Piotra Brandla. Rzeźby wokół obrazu, będące dziełem Antoniego Dorazila, przedstawiają radość 10-chórów anielskich, iż Maryja została wzięta do nieba. Powyżej tabernakulum widnieją łaskami słynący obraz Matki Bożej Łaskawej, ujęty w rokokową ramę. W jej górnej części widoczny jest napis Gratia S. Mariae, natomiast w części dolnej wyrzeźbione są herby zakonu cysterskiego i opata krzeszowskiego. Kosztowny baldachim został wykonany przez cysterkę z Trzebnicy. Ołtarz różni się od zachowanego w Muzeum Archidiecezjalnym we Wrocławiu modelu ołtarza Matki Bożej Karmiącej z 1690 r., który był przeznaczony do kościoła krzeszowskiego.

Rzeźbiarz Józef Antoni Lachel, kierownik „trzeciego warsztatu krzeszowskiego” ozdobił kosz ambony personifikacjami czterech cnót kardynalnych, a balustradę schodów – płaskorzeźbami czterech Ojców Kościoła. Tenże artysta wykonał szereg figur do bocznych ołtarzy: św. Jana Nepomucena, św. Franciszka Ksawerego, św. Anny, św. Józefa, św. Marcina i św. Mikołaja. Jego dziełem jest też ołtarz Czternastu Wspomożycieli. W l. 1774-1776 Ignacy Koenig wykonał dekorację rzeźbiarską do dalszych ołtarzy bocznych: św. Urszuli, św. Katarzyny, św. Jana Chrzciciela, św. Piotra i Pawła. Obrazy w ołtarzach bocznych są dziełem Feliksa Antoniego Schefflera i zostały wykonane w l. 1740-1743. Wyjątkowo w kaplicy św. Jana Nepomucena i św. Franciszka Ksawerego znajdują się obrazy pędzla Piotra Brandla. W północnym ramieniu transeptu umieszczono obrazy Michała Willmana, malowane jeszcze do starego kościoła.

Znakomity i pracowity rzeźbiarz Antoni Dorazil aż 30 lat pracował nad dekoracją figuralną fasady kościoła i najważniejszymi elementami wyposażenia wnętrza świątyni. Dziełem jego warsztatu są stalle zakonne, odznaczające się wspaniałą kompozycją rzeźbiarską z płaskorzeźbami i malowidłami na zapleckach. On też wykonał ołtarze Ukrzyżowania i Dzieciątka Jezus, nastawę ołtarzową w kaplicy Loretańskiej, wielkie anioły z kropielnicami, rzeźby ołtarza Przodków Chrystusa, personifikacje Spes i Caritas nad portalami prowadzącymi do Mauzoleum Piastów oraz



Bazylika pw. Wniebowzięcia NMP zbudowana została na miejscu gotyckiej świątyni z XIII wieku. O budowie świątyni zdecydował opat Innocenty Fritsch, który doprowadził do wyburzenia stojącego w tym miejscu starego kościoła. Budowa bazyliki rozpoczęła w 1727 roku trwała siedem lat. 3 lipca 1735 roku odbyła się konsekracja nowej świątyni. Chwili tej nie doczekał opat Innocenty Fritsch, który zmarł pół roku wcześniej. Dzieło życia opata Fritscha kontynuował jego następcą opat Benedykt II Seidel.

ołtarze św. Benedykta z Nursji i św. Bernarda z Clairvaux.

W latach 1732-1735 mistrz wrocławski Michał Enger Młodszy zbudował potężne organy, a wrocławski ludwisarz Jan Jakub Krumpfert odlał olbrzymi dzwon „Emanuel”, który uległ zniszczeniu podczas pożaru wieży w 1913 r. W nawie poprzecznej znaleziono miejsce dla gotyckiej rzeźby Piety z ok. 1500 r.

Uroczysta konsekracja kościoła nastąpiła 3 VII 1735 r., a dokonał jej kardynał Filip Sinzendorff, biskup wrocławski. W następnych latach kontynuowano prace nad wyposażeniem kościoła, wprowadzając pod koniec XVIII stulecia cechy sztuki rokokowej. Po przeprowadzonej w 1810 r. sekularyzacji opactwa, nastąpiła dewastacja świątyni. Partie fresków stawały się coraz bardziej nieczytelne, odpadały tynki, konserwacji domagały się piaskowcowe rzeźby na fasadzie. Prace renowacyjne prowadzono dopiero w 2 poł. XIX w., lecz nie stały one zawsze na odpowiednim poziomie, stąd ucierpiały szczególnie przemalowywane freski. Roboty konserwacyjne, zakrojone na wielką skalę, rozpoczęto w 1938 r., przeprowadzając konserwację rzeźb w fasadzie kościoła. Po utworzeniu diecezji legnickiej, Krzeszów stał się głównym miejscem pielgrzymkowym nowego biskupstwa. Biskup Tadeusz Rybak doprowadził do wielkiej restauracji świątyni, która bezspornie jest dzisiaj jedną z najpiękniejszych w Europie. (Cdn.)

**Włodzimierz Gąsiewski**

**Multimedia w edukacji i praktyce ... (2)**

**MEDIA  
W EDUKACJI**

Na podstawie doświadczeń studentów  
pedagogiki resocjalizacyjnej  
i pedagogiki edukacyjnej wczesnoszkolnej  
Akademii Humanistyczno-Ekonomicznej w Łodzi,  
Zamiejscowego Ośrodka Dydaktycznego w Zakopanem

**Ankieta – Media w edukacji**

Podczas swojej już ponad trzydziestoletniej pracy nauczyciela szkół podstawowych i średnich oraz kilkuletniej jako nauczyciela akademickiego, w tym wykładowcy przedmiotu „media w edukacji”, wielokrotnie zetknąłem się z faktem rozmijania się praktyki z teorią edukacyjną, w tym w zakresie stosowania mediów w edukacji, zwłaszcza w ich rozszerzonym pojęciu, jako multimedii, czy też hipermediów, tj. pełnej gamy i możliwości medialnych od rzutnika, czy też telewizora począwszy, na szerokim zastosowaniu komputera i wszystkich związanych z nim akcesoriów, na internecie i łączności telefonii komórkowej skończywszy. Aby więc uzyskać przynajmniej częściową odpowiedź na postawioną powyżej tezę oraz szersze informacje na temat wykorzystania mediów w edukacji jesienią 2009 r. przeprowadziłem wśród studentów ankietę, w której zadałem następujące pytania:

Płeć: Kobieta    Mężczyzna (proszę właściwe podkreślić)

Wiek 18-25 lat    26-35 lat    36-45 lat    46-59 lat    60 i więcej

Miejsce zamieszkania: wieś    miasto 3-5 tys.    6-10 tys.    11-19 tys.    20-30 tys.    31-50 tys.    50 tys. i więcej

1. Proszę uporządkować w kolejności jakimi mediami posługiwali się najczęściej nauczyciele w Pani/Pana edukacji?

- ..... prasa
- ..... radio
- ..... film (tradycyjny w kinie)
- ..... telewizja
- ..... komputer z Internetem
- ..... książka tradycyjna, w tym podręczniki
- ..... E-book
- ..... inne (jakie .....

2. Proszę uporządkować według ważności media, którymi Pani/Pan posługuje się w swojej edukacji:

- ..... prasa
- ..... radio
- ..... film (tradycyjny w kinie)
- ..... telewizja
- ..... komputer z Internetem
- ..... książka tradycyjna, w tym podręczniki
- ..... E-book
- ..... inne (jakie .....

3. Proszę uporządkować według ważności media, którymi Pani/Pan chciałaby/chciałby posługiwać się w edukacji innych:

- ..... prasa
- ..... radio
- ..... film (tradycyjny w kinie)
- ..... telewizja
- ..... komputer z Internetem
- ..... książka tradycyjna, w tym podręczniki

- ..... E-book
- ..... inne (jakie .....

4. Jak ocenia Pani/Pan wyposażenie współczesnych szkół w sprzęt multimedialny (komputery wraz z akcesoriami, Internetem, rzutniki, nagrywarki itp.)

Bardzo dobrze    dobrze    dostatecznie    niedostatecznie

5. Jak często nauczyciele posługiwali się multimediami w edukacji?

Bardzo często    często    rzadko    sporadycznie    nie korzystali

6. Do nauki jakich przedmiotów są najbardziej przydatne multimedia w edukacji? Proszę uporządkować według kolejności:

- ..... język polski
- ..... języki obce
- ..... przedmioty humanistyczne
- ..... przedmioty matematyczno-przyrodnicze
- ..... przedmioty artystyczne
- ..... przedmioty zawodowe
- ..... inne, jakie .....

7. Czy korzystała Pani/ korzystał Pan z formy edukacji typu E-learning? Tak    nie

8. Czy poprzez E-learning zdawała Pani/Pan testy, sprawdziany, egzaminy Tak    nie

9. Czy poprzez E-learning ukończyła Pani/Pan jakąś formę: kształcenia    doksztalcania    kurs

10. Jak ocenia Pani/Pan taką formę edukacji: bardzo dobrze    dobrze    dostatecznie    niedostatecznie

**Analiza ankiety „Media w edukacji”**

**Tabela 1. Płeć badanych osób**

Wyszczególnienie	Ilość badanych	%
Mężczyzna	21	84
Kobieta	4	16
Razem	25	100

W badaniu brało udział 25 osób, w tym 21 kobiet (84%) i 4 mężczyzn (16%), a zatem widać zdecydowaną przewagę kobiet.

**Tabela 2. Wiek respondentów**

Wiek	Ilość badanych	%
18-25 lat	15	60
26-35 lat	5	20
36-45 lat	4	16
46-59 lat	1	4
60 i więcej	-	-
Razem	25	100

Najwięcej, bo 60% osób biorących udział w badaniu to osoby w wieku 18-25 lat. Na drugim miejscu są osoby w wieku 26-35 lat i stanowią one 20% wszystkich badanych. 16% respondentów stanowiły osoby z przedziału wiekowego 36-45 lat i tylko 4% ogółu badanych to osoby z przedziału wiekowego 46-59 lat.

Tabela 3. Miejsce zamieszkania respondentów

Miejsce zamieszkania	Ilość badanych	%
wieś	13	52
miasto 3-5 tys.	5	20
6-10 tys.	-	-
11-19 tys.	-	-
20-30 tys.	3	12
31-50 tys.	4	16
50 tys. i więcej	-	-
Razem	25	100

Jeśli chodzi o miejsce zamieszkania respondentów, to 52% badanych, a więc zdecydowana większość, to mieszkańcy wsi. Mieszkańcy małych miasteczek liczących 3-5 tys. mieszkańców stanowili 20% respondentów. 12% badanych mieszka w miastach liczących 20-30 tys. mieszkańców i 16% respondentów to osoby z miast liczących 31-50 tys. mieszkańców.

Tabela 4. Media najczęściej wykorzystywane przez nauczycieli w edukacji badanych osób

Media	Ilość pkt	Kolejność
prasa	95	5
radio	100	6
film (tradycyjny w kinie)	87	3
telewizja	86	2
komputer z Internetem	89	4
książka tradycyjna, w tym podręczniki	35	1
E-book	116	7

Pierwsze pytanie dotyczyło mediów, którymi posługiwali się nauczyciele badanych osób. Odpowiedzi należało uszeregować według ważności, przyznając pierwsze miejsce mediom najczęściej wykorzystywanym przez ich nauczycieli. Jak wynika z tabeli najwięcej nauczycieli posługiwało się tradycyjną książką, w tym podręcznikami. Na kolejnym miejscu respondenci wskazali telewizję, film i komputer z Internetem – te media były wykorzystywane przez nauczycieli na podobnym poziomie. Telewizor mógł być najczęściej wykorzystywany wraz z odtwarzaczem wideo i filmami edukacyjnymi. Natomiast komputer mógł być wykorzystywany głównie z projektorem multimedialnym do wyświetlania prezentacji lub wykorzystywania edytorów tekstu i programów multimedialnych.

Na piątym miejscu respondenci umieścili prasę, a na szóstym radio. Najmniejszą popularnością cieszył się E-book zajmujący ostatnie miejsce wśród mediów. Badani wymienili również inne media: mapy, tablice, rzutniki, adapter, magnetofon, eksponaty, wyposażenie pracowni przedmiotowych, obrazy, dzieła sztuki.

Tabela 5. Media najczęściej wykorzystywane przez respondentów we własnej edukacji

Media	Ilość pkt	Kolejność
prasa	87	3
radio	125	7
film (tradycyjny w kinie)	100	5

telewizja	101	6
komputer z Internetem	51	2
książka tradycyjna, w tym podręczniki	48	1
E-book	92	4

Ankietowani studenci zostali zapytani również o media, którymi oni posługują się w swojej edukacji. Tutaj również na pierwszym miejscu pojawiła się tradycyjna książka, w tym podręczniki. Drugim najczęściej wykorzystywanym medium w ich edukacji, tuż za książką, jest komputer z Internetem. Nie dziwi tak wysoka liczba wskazań dla komputera, jako że jest on najbardziej uniwersalnym środkiem technologii informacyjnej, a ponadto umożliwia wykorzystanie innych środków jak chociażby Internetu czy projektora multimedialnego oraz wielu narzędzi technologii informacyjnej. Środek ten jest najczęściej używany do przeglądania stron WWW oraz wyszukiwania różnych informacji. Drugim istotnym obszarem zastosowań sieci była komunikacja z innymi użytkownikami.

Kolejne miejsca jeśli chodzi o media wykorzystywane w samokształceniu badanych słuchaczy zajmują prasa i E-book, a media, z których najrzadziej korzystają badane osoby to telewizja, film i radio. Wskutek zacierania się granic między zakresami mediów, tradycyjna książka jest wydawana na papierze, ale niekiedy towarzyszą jej materiały audiowizualne, zawarte na płytach czy kasetach, zaś książka elektroniczna z natury łączy tekst z multimediami, co zawdzięczać można jednolitości elektronicznego medium.<sup>1</sup>

Tabela 6. Media, które byłyby najczęściej wykorzystywane przez respondentów w edukacji innych

Media	Ilość pkt	Kolejność
prasa	107	3
radio	146	7
film (tradycyjny w kinie)	120	5
telewizja	121	6
komputer z Internetem	55	2
książka tradycyjna, w tym podręczniki	40	1
E-book	106	4

Gdyby ankietowani studenci mieli sami przekazywać wiedzę innym, to robiliby to tak jak ich nauczyciele i jak sami zdobywali wiedzę, a więc za pomocą tradycyjnej książki, w tym podręczników. Zaraz na drugim miejscu znalazł się komputer z Internetem. Te media uzyskały najwięcej wskazań wśród badanych studentów. Na kolejnych miejscach, w znacznej odległości od tych poprzednich, studenci wymienili E-book, prasę, film i telewizję. Najmniej respondentów korzystałoby z radia.

Tabela 7. Wyposażenie współczesnych szkół w sprzęt multimedialny w opinii respondentów

Wyposażenie	Ilość wskazań	%
bardzo dobre	1	4
dobre	8	32
dostateczne	11	44
niedostateczne	5	20
Razem	25	100

<sup>1</sup> <http://pl.wikipedia.org/wiki/E-book>

## KULTURA I CYWILIZACJA

Badane osoby uważają, że współczesne szkoły nie są dobrze wyposażone w sprzęt multimedialny. Tylko 4% uważa takie wyposażenie za bardzo dobre i 32% za dobre. 44% respondentów jest zdania, że wyposażenie szkół w sprzęt multimedialny jest dostateczne, a 25% sądzi, że jest niedostateczne.

**Tabela 8. Częstotliwość posługiwania się multimediami przez nauczycieli badanych osób**

Częstotliwość	Ilość wskazań	%
Bardzo często	-	-
Często	4	16
Rzadko	11	44
Sporadycznie	9	36
Nie korzystali	1	4
Razem	25	100

Tylko 16% respondentów przyznaje, że ich nauczyciele posługiwali się multimediami często; nikt nie wskazał, że bardzo często. Pozostałe 86% uważa, że częstotliwość posługiwania się multimediami była raczej mała: w opinii 44% respondentów nauczyciele rzadko posługiwali się multimediami, 36% sporadycznie, a zdaniem 4% nie korzystali w ogóle.

**Tabela 9. Przydatność multimedii w nauce przedmiotów w opinii respondentów**

Przedmiot	Ilość pkt	Kolejność
język polski	104	6
języki obce	48	1
przedmioty humanistyczne	74	2
przedmioty matematyczno-przyrodnicze	92	4
przedmioty artystyczne	79	3
przedmioty zawodowe	94	5

Zdaniem badanych studentów multimedia najbardziej przydają się podczas nauki języków obcych i przedmiotów humanistycznych. W najmniejszym stopniu widzą ich przydatność w nauce języka polskiego.

**Tabela 10. Wykorzystanie edukacji typu E-learning przez osoby biorące udział w badaniu**

Wyszczególnienie	Ilość respondentów	%
tak	4	16
nie	21	84
Razem	25	100

**Tabela 11. Czy badani zdawali poprzez E-learning egzaminy?**

Wyszczególnienie	Ilość respondentów	%
tak	4	16
nie	21	84
Razem	25	100

Kolejne pytanie dotyczyło dotychczasowych doświadczeń związanych z wykorzystaniem edukacji typu E-learning i uczestnictwem w kursach na odległość. Niewielka liczba odpowiedzi

pozytywnych (16%) świadczy o braku tradycji kształcenia nie-stacjonarnego wśród badanych studentów. Mniej niż co piąta osoba miała jakiegokolwiek doświadczenia w tym zakresie, a 84% badanych nigdy nie uczestniczyło w kursach e-learningowych. Wszystkie osoby korzystające z edukacji E-learning ukończyły poprzez tę formę edukacji kurs.

**Tabela 12. Ocena edukacji E-learning przez respondentów**

Ocena	Ilość respondentów	%
bardzo dobrze	2	8
dobrze	12	48
dostatecznie	4	16
niedostatecznie	-	-
brak zdania	7	28
Razem	25	100

Mimo bardzo małego wykorzystania edukacji E-learning przez respondentów, ponad połowa ocenia ją pozytywnie: 8% ocenia ją bardzo dobrze i 48% dobrze. Tylko 16% badanych ocenia tę formę edukacji jako dostateczną, a aż 28% nie ma zdania na jej temat.

### Forum dyskusyjne

Jeszcze bardziej ciekawe wnioski wynikają z forum dyskusyjnego studentów, którym w rok później zimą 2010/2011 rok, już poprzez Platformę Zdalnego Nauczania Akademii Humanistyczno-Ekonomicznej w Łodzi, postawiono następujące pytanie: Podaj przykłady wykorzystania mediów i multimedii w edukacji i procesie wychowawczym podczas mojej nauki lub pracy zawodowej. W dyskusji na forum wzięło udział 38 studentów, a oto ich niektóre wypowiedzi:

*Monika: Media mają swoje pozytywne i negatywne strony, ale wszystko zależy od tego, w jaki sposób są przez nas wykorzystywane. Będąc dorosłymi osobami, mamy tego świadomość i każdy czerpie z nich to, co jest dla niego wartościowe lub zwyczajnie potrzebne. Z drugiej strony, jakoś 20 lat temu ludzie nie mieli dostępu do Internetu, z telewizji korzystali rzadziej niż obecnie i myślę, że świetnie funkcjonowali (z pewnością spotykali się częściej - dziś media zabierają nam sporo czasu na „żywe relacje” z bliskimi). Oczywiście, świat idzie do przodu i nie powinniśmy się „zatrzymywać”, ale wychodzę z założenia, że należy znaleźć jakiś „złoty środek”, by nie popadać w skrajności. Dla naszych dzieci jesteśmy żywym przykładem. To nas pociechy naśladują, uczą się ważnych wartości w życiu i w dużej mierze to od nas zależy w jaki sposób je przekażemy.*

*Mariola: Tak, dzieci mają absolutną łatwość w obsłudze komputera, bo nie jest on tak jak dla wcale nie małej części rodziców czymś skomplikowanym, że nie wspomnę tu o jeszcze starszym pokoleniu. Większość rodziców chociaż komputerem posługuje się kilka razy w tygodniu czy nawet codziennie, nie wie wielu rzeczy o jego obsłudze, które to bez problemu wiedzą i obsługują dzieci czy młodzież. Często to rodzice w tej dziedzinie są w roli ucznia, a dzieci... no cóż przeżywają zaskoczenie jak można nie wiedzieć takich rzeczy.*

*Marta: Ruch na forum zamarł, pozwolę więc sobie rozpocząć temat: media w życiu dziecka (dorosłych zostawmy na boku - poradzą sobie).*

*Dzieci, jako osoby jeszcze niedoświadczone i nieukształtowane, są bardziej podatne na wpływ mediów - w sensie złego wpływu. Przysłowie „mówi”: dobrego karczma nie zepsuje, a złego kościół nie naprawi. W przypadku mediów i dzieci, punktem oparcia nie jest dobro czy zło, ale właśnie doświadczenie, lub dokładniej kompe-*

tencje. Treści przekazywane przez media są różne, z tym musimy się pogodzić. Problem dzieci polega na braku zdolności do odróżniania prawdy od fałszu, wartości od błyskotek. W tym miejscu widać, że problem wpływu mediów nie jest tak bardzo wyjątkowy. Z tym samym problemem spotykamy się w innych sytuacjach życiowych. Problemy te rozwiązujemy rozmawiając z dziećmi, tłumacząc im, dając dobre przykłady. Specyfika mediów polega chyba na braku wystarczających kompetencji medialnych po stronie rodziców i innych osób odpowiedzialnych (np. nauczycieli). Skoro sami nie posiadają wystarczających kompetencji, to czują się bezradni i niewiele dzieciom w tym zakresie pomagają. Dlatego więc problem wpływu mediów urasta do tak dużej rangi. Rozwiązaniem jest podnoszenie kompetencji komunikacyjnych przez odpowiedzialnych za dzieci dorosłych, tak aby mogli się stać dla nich przewodnikami po świecie ukazwanym w mediach, lub co najmniej partnerami.

Adam: „Dzieci w sieci” bez kontroli są narażone na wiele zagrożeń. Co idzie za tym, należy tak postępować by ograniczyć ten aspekt, poprzez blokady stron np.: dla dorosłych, brutalnych gier, czatów itp. Te działania spoczywają na dorosłych, dlatego muszą oni interesować się co dzieci robią, ile czasu poświęcają na używanie komputera, oglądanie telewizji, w której wiele przemocy, agresji, negatywnych postaw i wzorców do naśladowania.

Beata: Media nie podnoszą wiedzy jak również kwalifikacji. Dostarczają niejednokrotnie fałszywych informacji bądź wielce wyolbrzymionych. Demoralizują poprzez łatwy dostęp do pornografii. Gry komputerowe, które są przepełnione agresją to kolejny przykład złego wpływu mediów na nas. Aczkolwiek można znaleźć pozytywne takie jak np. szeroki dostęp do informacji (zarówno poprawnych jak i błędnych), gier edukacyjnych. A także ułatwiają kontakt z innymi poprzez komunikatory (GG, Facebook, Nasza Klasa...) żyjemy w czasach, że nie unikniemy mediów, ale wykorzystanie ich w sposób właściwy na pewno nie zaszkodzi zarówno dzieciom jak i dorosłym.

Aneta: Media mają wpływ na dzieci i ich wychowanie i nie zawsze jest to wpływ pozytywny. Telewizja, Internet, komputer to właśnie one najbardziej wpływają na rozwój, edukację najmłodszych. Zdarza się, że rodzice z braku czasu włączają dzieciom telewizor lub komputer. Chcą w ten sposób wypełnić czas wolny dzieci. Media przekazują bardzo dużo informacji, które są przydatne w życiu, nauce. Media są przydatne w edukacji, ale należy z nich racjonalnie korzystać.

Krystyna: Media mają ogromny wpływ na dzieci. W dzisiejszych czasach wpływ ten jest szczególnie niebezpieczny. Dzieci pozostawione same sobie są narażone na negatywne działanie mediów. Nawet kiedy rodzic włączy dziecku bajkę nie może być pewien, że nauczy ona dziecko pozytywnych wartości. Bajki są przepełnione agresją, która już od najmłodszych lat wpływa na kształtowanie postaw młodego człowieka. Internet również wpływa negatywnie ma małe dziecko. Rodzice nie kontrolują co dziecko robi, gdyż cieszą się, że jest ono czymś zajęte. Nie zdają sobie sprawy, że gry komputerowe mogą uzależnić ich dziecko i spowodować ogromne zmiany w jego psychice.

Katarzyna: Uważam, że istnieją również pozytywne strony korzystania z mediów przez dzieci. Media umożliwiają rozwój osobowości, sportowienia, rozbudzania zainteresowań, poznawania świata poprzez programy edukacyjne, rozrywkowe. Dzięki mediom dziecko może dostrzec wartości takie jak: tolerancja, pokój czy miłość itp. Każdy program i prezentowane zachowania są odbierane przez jednostkę indywidualnie. Telewizja ukazuje wzory do naśladowania, które są przez dzieci przejmowane a realizowane w sposobie zachowania, postrzegania czy wyrażania się. Niektóre programy ukazują istotne społeczne wartości i idee. Telewizja wpływa na rozwijanie zainteresowań oraz może być wykorzystywana jako pomoc dydaktyczna w zdobywaniu i uzupełnianiu wiedzy. Oczywiście istnieje wiele wad

mediów jeśli chodzi o wychowanie dzieci. Między innymi uczą agresji, podają negatywne wzorce do naśladowania, łatwo dostępna jest pornografia oraz dzieci narażone są na działanie pedofili, gdyż dzieci często nie umieją odróżnić dobra od zła, dlatego dorośli powinni kontrolować swoje pociechy, czy nie korzystają z mediów w sposób niewłaściwy. Jeżeli chodzi o dorosłych myślę, że media pomagają w komunikacji między ludzką, w zdobywaniu wiedzy, dostarczają rozrywkę.

### Podsumowanie

Środki dydaktyczne, nazywane dziś mediami edukacyjnymi, wykorzystywane w procesie kształcenia, sięgają czasów A. Komeńskiego, propagatora zasady pogłębłości. Stąd media, jakie wykorzystują ruchome obrazy, czy język i pismo, mają już swoje stałe miejsce w procesie kształcenia i są stosowane na szeroką skalę. Najnowsza technologia informacyjna dąży do integrowania różnych nośników informacji w jednym kanale i do pewnego czasu telewizja za taką uchodziła. Bardzo szybki rozwój techniki komputerowej, jak i możliwości integrowania komputerów z innymi mediami pozwalają upatrywać w nich najdoskonalszych multimedii.<sup>2</sup>

Mass media są dla każdego człowieka głównym źródłem informacji o otaczającym świecie i jednym z podstawowych czynników edukacyjnych: to one kreują obraz współczesnej kultury, wytyczają zakres kontaktów z nią, kształtują upodobania i postawy.<sup>3</sup> Technologie medialne i informacyjne otwierają przed uczącymi się szereg nienotowanych do niedawna możliwości. Pozwalają na zastosowanie nowoczesnych technik ułatwiających i zachęcających do samokształcenia. Uczący się mają praktycznie nieograniczone możliwości pozyskiwania, gromadzenia i przetwarzania informacji. Od nich samych zależy jak te możliwości zostaną wykorzystane w praktyce. Nowa edukacja będzie nakierowana na rozwój umiejętności uczenia się przekształcania informacji w wiedzę, a wiedzę w działanie.

Nowoczesne nauczanie wymaga kompleksowego stosowania nie tylko tradycyjnych ale i nowoczesnych środków dydaktycznych. Uczeń najlepiej poznaje rzeczywistość lub wiedzę o rzeczywistości, kiedy nauczanie i uczenie się przybiera charakter wielozmysłowy i wielostronnie aktywizujący uczniów. Media w nauczaniu odgrywają wielką rolę i odpowiednio wykorzystywane stają się sprzymierzeńcem nauczyciela. Rola mediów zależy od przyjętej w ich tworzeniu lub wyborze koncepcji pedagogicznej, od cech i możliwości technicznych mediów, a przede wszystkim od użytkowników - nauczycieli i uczniów. Nowoczesne środki dydaktyczne wywierają wpływ na cały proces kształcenia, m.in. na przyswajanie i utrwalanie treści nauczania, przebieg operacji myślowych i czynności praktycznych.

Jak wynika z uzyskanych odpowiedzi w ankietach, teza o dość słabym wykorzystaniu mediów w edukacji częściowo potwierdza się. Z analizy przeprowadzonej ankiety wynika, że 84% respondentów to kobiety i 82% badanych to mieszkańcy wsi i małych miasteczek liczących od 3 do 5 tysięcy mieszkańców. Zwłaszcza ten drugi wskaźnik mógł mieć wpływ na wyniki badań ankietowych. Aspekt ten pojawia się także w wypowiedziach na forum internetowym. Respondenci wprawdzie doceniają i akceptują rolę mediów w edukacji, ale też prawie w każdym przypadku wyrażają swoje obawy wobec edukacji medialnej. Szczególnych zaś zagrożeń upatrują w dostępie dzieci do Internetu. Uważają, że poza walorami edukacyjnymi czai się tam wiele zła, stąd konieczne są ograniczenia oraz kontrola dorosłych w tym zakresie. W tej kwestii zresztą wypowiedzi na forum są tak ciekawe, że wrócimy do nich w kolejnej części artykułu.

<sup>2</sup> W. Strykowski, W. Skrzydlewski (red.), *Media i edukacja w dobie integracji*, Poznań 2002, s. 16.

<sup>3</sup> J. Gajda, *Media a edukacja*, Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1997, s. 97.

## NADWISŁOCZE LITERACKIE

### PANA ZRODZENIE

Święty Wieczór – noc Przymierza  
Boga z grzesznikami bez żadnej nadziei;  
korzeń Jessego pęd wypuścił i nastał czas;  
z łona Maryi trysnęło nowe życiodajne źródło;  
w Betlejem, w małym chutorze ziemi judzkiej  
przyszedł na świat Emanuel, nasze pragnienie.

Przybył do swoich, do dzieci Adamowych,  
też nie ominął domostw dzielnych Lachów  
wszystkich czasów i zakątków oddalonych;  
dziś puka do biednych i majątnych ziemian,  
aby Go przyjęli sercem, bez obłudy,  
dzieląc się bogactwem, króla w nim widzieli.

Nowonarodzony nie pragnie twych zakupów  
w markecie co niedzielę, bez modlitwy,  
ani żalonych utyskiwań za sukcesem,  
twoich dyplomów bez ciepła bliskich,  
pustego życia wzorem trendu, mody  
ludzi z billboardów, piśmideł kolorowych.

Usiądź z Nim, choć teraz przy żłóbku,  
wyłączywszy przyciski trosk, znoonej pracy;  
wchodząc do wnętrza swego, jak do świątyni,  
ukłękni w ciszy przed Dziecięciem;  
On cię uleczy i ukoi – poczujesz niebo  
w rodzinnym kręgu twego domu.

A gdy już doznasz przeobstwienia,  
spójrz przez okno, co się tam daleko dzieje:  
na firmamencie piszą anieli pośród gwiazd:  
Polska Wigilia – Gloria in Excelsis;

wokół śnieg, strojne choinki, leśne zwierzęta  
wyspiewują jeszcze: „Wśród nocnej ciszy” ...  
Więc syć się przedsmakiem rajy na ziemi  
boć kochasz wiarę ojców naszych,  
własną ojczyznę, pastorałki spod Karpat  
oraz wesołe kolędy kresowe od Lwowa.  
Dla ciebie, mój rodaku, mam takie życzenie:  
w twej duszy niech się ziści Pana zrodzenie!

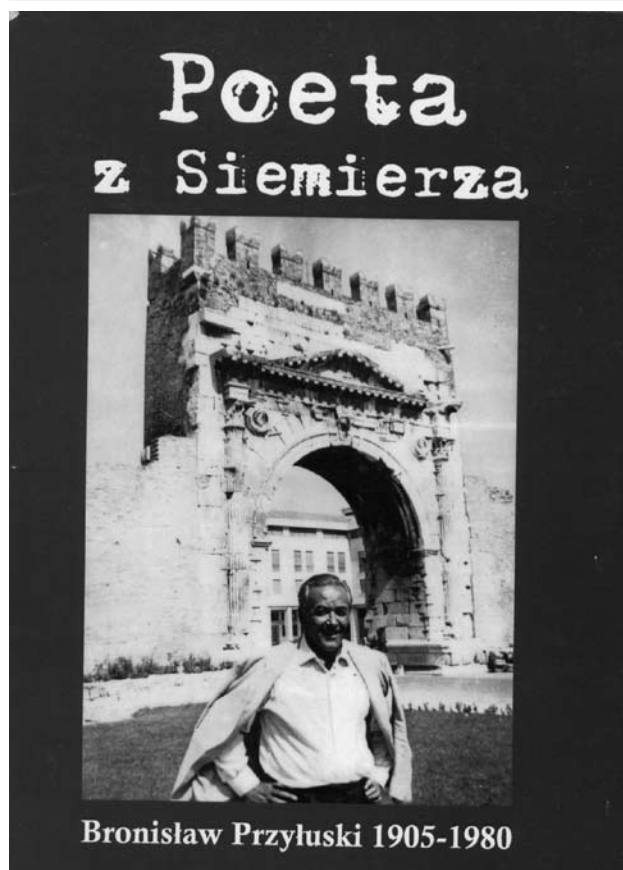
### Też Wigilia

Noc i gwiazdy oświeciły granat nieba;  
tu telewizor... wokół ekranu rodzina  
w blokowym mieszkaniu na Ciemnej;  
zasiadła mama z konkubentem niestałym,  
obok niej córka z partnerem z Polmosu,  
wnet przyszedł syn z dziewczyną próbna.

W kącie choinka z promocji marketu,  
a na ścianie zezował pokraczny Mikołaj  
z saniami od Dziadka Mroza z Kremla,  
na stole opłatek, ryba, też flaszka czystej,  
trochę połamanych chrześcijańskich symboli,  
bez Chrystusa, tak dla ozdoby, jak u sąsiada.

Tylko wierny pies sędziwy i zmęczony  
coś mrucał sobie pod ławą, dość długo,  
chyba wspominał z nostalgią dawne wigilie,  
gdy wszyscy radośnie chwalili Pana;  
teraz on sam, w pojedynkę i skrycie,  
merdając ogonem, wyznał Boże Narodzenie.

Św. Katarzyna, Boże Narodzenie 2010  
Mieczysław Kuriański



## Bronisław Przyłuski (1905-2010)

### Antologia pod redakcją Jacka K. Danela

„W 2010 roku mija sto piąta rocznica urodzin i trzydziesta śmierci Bronisława Przyłuskiego, żołnierza, poety, dramaturga i dziennikarza, związanego rodzinie z ziemią tomaszowską. Należy on do twórców, których określa się w Polsce mianem „mało znany”. Podręczniki szkolne i akademickie nie uwzględniają jego poezji, co tym samym ogranicza percepcje dokonań Przyłuskiego, jako człowieka i artysty. A był osobowością wybitną i oryginalną, o czym zaświadcza jego spuścizna literacka. Lektura utworów poety jest doświadczeniem życia nasyconego wartościami chrześcijańskimi, którym blasku nadaje niezwykła metaforyka, przywołująca swym brzmieniem takich twórców jak: Jan Kochanowski, Cyprian Kamil Norwid, Bolesław Leśmian, co w obecnym świecie fascynacji liberalizmem, ateizmem, poprawnością polityczną i nadmierną wolnością zostaje zepchnięte na margines współczesnej kultury europejskiej.”

Jest to początek wstępu Jacka Krzysztofa Danela, który w 2010 r. wydał sygnowana Londyn - Zamość 2010, swoją 76 stronicową publikację formatu A-5, pod tytułem: „Poeta z Siemierza. Antologia tekstów Bronisława Przyłuskiego z lat 1956-1980 w sto piątą rocznicę urodzin i trzydziestolecie śmierci”. Praca zawiera m.in. kilka artykułów prasowych, wierszy poety oraz artykuły Alicji Lisieckiej, Antoniego Pospieszalskiego i Józefa Łobodowskiego. Wszystkie pochodzą z polskojęzycznej prasy londyńskiej.

Włodzimierz Gasiewski

# Daromiła Wąsowska-Tomawska

## „W głosach domu”

### BALLADA O DOMU

Poprawiam głaszczkę  
Coraz bliżej  
te twarze fotografie  
Bo dzisiaj jest czwartek  
Ojciec uniesie ramię adapteru  
otworzy się stanie cisza  
I tylko Muzyka  
Wtedy trudna  
I ten sam oddech matki  
za uchem na szyi  
Potem zaskrzypi krzesło  
podróźne czoło przetrze  
proboszcz z Boruszyna  
Na dębowym stole tort  
książka z papierkiem-zakładką  
Będą czytać dziś Słowackiego  
mówić i pić wino  
a my z umazanymi wargami od kremu  
podglądać  
jak ojciec gra Chopina  
Zawsze wysuwa język  
i kryje urwany palec  
zmiażdżony w niemieckiej młocarni  
Odkurzam pustą ramkę  
na ścianie  
Moja ręka cień

### CZERWIEC 1956

Mama kroji chleb  
Zawsze robi znak krzyża  
Łamie rozkładą i suszy  
na rozgrzanej blasze  
kuchennego pieca  
Nocą uszyje płócienny worek  
i powiesi go we wnące  
na drzwiach  
pod kredowym napisem  
K + M + B 1956  
Ktoś rozpowiada szepce  
W Poznaniu na ulicy czołgi  
na bruku krew  
A tu pachnie chleb  
Pod kaflem iskra żar  
Poci się dzień  
w dreszczu stoi noc  
W szczyrbinie stołu  
okruch chleba

### U PROGU

Ciągle budujesz ten dom  
Rozstępują się rozpychają  
ściany  
Na nich starzeją  
pudrują się twarze  
Na trawniku przy lipie

wnuczka Majka  
Znów w roli Tosi  
jak w filmie u pana  
Maleszki  
i wnuk w pierwszokomunijnym  
zachwycie podniesieniu  
Być tu  
przy tym świętym progu  
I jeszcze zdążyć  
dopieść na rdzawej fotografii  
warkocz babci  
Maryni

### OPOWIEŚĆ O DOMU

Przyjdą i usiądziemy  
przy dębowym stole  
znów wszyscy  
A potem każdy pójdzie  
w swój terkot zegara  
stukot pięt  
I wystarczy że słyszeć będę  
ten wietrzny dom  
Nad sobą obok  
nasz świt i zmierzchanie  
Szuranie po kątach suficie  
jakby ścieliły troiły się gniazda  
szukały słowa  
goiły chwile

I słyszę – skrzypi deska  
twoje kroki na schodach  
gwizdże czajnik  
i pachnie kawa przez ścianę  
ktoś puka gwóźdź wbija  
wiesz swój krzyż czy miłowanie  
I dziecko w płacz  
szum wody po rurach  
I już nic  
Aż znów błysnie światło  
po szybie wieczora  
pies zahaczył przy bramie  
i zazgrzyta klucz  
Są wszyscy  
I rośnie  
mój pokój niepokój

### JESIEŃ – CHWILA

Jakby się miód  
z nieba wylał  
Zsunął się spłynął  
z kopulastych szczytów gór  
Po liściach  
między zielonym kapturem  
sosny smreka  
Na rosnące przy miedzy  
paklony badyle trawy



Daromiła Wąsowska-Tomawska

Urodziła się w Szamotułach. Z wykształcenia lekarz stomatolog. Prezes i współzałożycielka Salonu Artystycznego im. Jackowskich, członek UPPL (Unia Polskich Pisarzy Lekarzy). Mieszka w Pobiedziskach k/Poznania. Debiutowała w „Kulisach Gnieźnieńskich” (1997), - w kwartalniku literackim „Protokół Kulturalny” (1999). Publikowała w „Akanacie”, „Gazecie Lekarskiej”, w książce „Sursum Corda” - poezje (w Roku Jubileuszu 25-lecia Pontyfikatu w Hołdzie Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II - Zakopane 2003 r.), w książce „Kapłan Męczennik Ks. Józef Jamróz” - Kraków 2007 r. W „Arkuszu 2004”, „Gazecie Kulturalnej” i in. W 2002 r. otrzymała statuetkę „Pegaza” Wielkopolskiego Towarzystwa Kulturalnego. Redagowała periodyk „Salonowe Spotkania”. Współtworzyła film w reż. Jacka Kubiaka o Maksymilianie Jackowskim. Fascynuje się muzyką klasyczną. Wydała książkę - debiut poetycki: „Za cieni i obłoków” (2004), w roku 2007 tomik poetycki „Smuga i promień”, w 2008 r. „Ślad stopy”, a w 2009 r. „W cieniu wronczyńskiego dworu”.



### Rozstrzygnięto I Ogólnopolski Konkurs Poetycki „O kwiat dziewięciosa” pod patronatem wójta gminy Tokarnia

Na I Ogólnopolski Konkurs Poetycki „O kwiat dziewięciosa”, zorganizowany przez Filię Gminnego Ośrodka Kultury i Sportu w Skomielnej Czarnej, napłynęło 176 zestawów wierszy oraz 58 wierszy w kategorii dodatkowej (razem 586 wierszy). Autorzy nadesłali je ze 126 miejscowości, ze wszystkich województw w Polsce. Do konkursu zakwalifikowano 167 zestawów. Jury powołane przez organizatora Konkursu w składzie:

Kazimierz Burnat (Wrocław) – przewodniczący, Kazimierz Jakubowski (Namysłów) – członek, Wiesław Zieliński (Rzeszów) – członek, postanowiło przyznać następujące nagrody i wyróżnienia za zestawy wierszy: I nagroda Piotr Zemanek z Bielska-Białej, II nagroda Edyta Wysocka z Miastka, III nagroda Ewa Korczyńska z Dębicy.

Równorzędne wyróżnienia: Katarzyna Fetlińska z Ciechanowa, Dorota Grzesiak z Bytomia Odrzańskiego, Czesław Markiewicz z Zielonej Góry oraz w kategorii dodatkowej za wiersz dotyczący tematyki przyrody górskiej – Wyróżnienie Wójta Gminy Tokarnia dla Ewy Korczyńskiej z Dębicy.

Ponadto jury wytypowało po jednym wierszu poniższych autorów do publikacji w tomiku pokonkursowym (wydanie ich nastąpi po II edycji konkursu w 2011 r.): Jacek Brzostowski z Sieradza, Arleta Ciapa z Sieradza, Ela Galoch z Turku, Robert Miniak z Łodzi, Ryszard Mścisz z Jeżowego, Ewa Musiorska z Jaworzna, Anna Piliszewska z Wieliczki, Sonia Plisikiewicz z Zamościa, Adam Bolesław Wierzbicki z Dłużka oraz Leszek Wójcik z Krakowa.

W dniu 15 września 2010 r. w filii GOKiS w Skomielnej Czarnej odbyło się uroczyste podsumowanie konkursu oraz wręczenie nagród laureatom.

Po ogłoszeniu wyników, zebrani na sali Filii GOKiS mogli wysłuchać nagrodzonych i wyróżnionych wierszy w wykonaniu młodzieży z Gimnazjum w Krzczonowie których przygotowała Katarzyna Piechowicz-Cieślak oraz Gimnazjum w Tokarni pod kierunkiem Elżbiety Krupy, Ewy Majchrzak i Anny Pasiowiec. Ten szczególny poetycki wieczór ubogacił także występ rodzinnej kapeli regionalnej Wojciecha Boguckiego z Łącka. Spotkanie prowadziła: Lesław Jan Urbanek – pomysłodawca konkursu i Andrzej Słonina – kierownik filii GOKiS.

## VII OGÓLNOPOLSKI I POLONIJNY TURNIEJ POETYCKI o „SREBRNE PIÓRO PREZYDENTA MIASTA MIELCA”

oraz o LAURY KWARTALNIKA „Nadwisłocze”, „Wieści Regionalnych” i „POETYCKI EXLIBRIS” Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej w Rzeszowie Filia w Mielcu

Pod patronatem w kategorii POLONIA  
Senatora Rzeczypospolitej Polskiej Władysława Ortyła  
REGULAMIN

1. Turniej poetycki organizowany jest przez Pedagogiczną Bibliotekę Wojewódzką w Rzeszowie – Filię w Mielcu, Stowarzyszenie na Rzecz Promocji i Rozwoju Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej w Rzeszowie oraz Redakcję „Nadwisłocza” i „Wieści Regionalnych”. Honorowy patronat: Prezydent Miasta Mielca.
2. Turniej organizowany jest w trzech kategoriach:
  - I. MŁODZIEŻOWEJ (uczniów szkół gimnazjalnych i średnich),
  - II. DOROSŁYCH
  - III. POLONII zagranicznej oraz cudzoziemców piszących po polsku (do wiersza napisanego w innym języku należy dołączyć jego tłumaczenie na język polski)
3. W Turnieju nie mogą brać udziału laureaci nagrody głównej sześciu poprzednich edycji Turnieju, poza tymi, którzy przeszli z kategorii „MŁODZIEŻOWEJ” do kategorii „DOROSŁYCH”.
4. Zainteresowani udziałem w konkursie przygotowują indywidualnie jeden wiersz o objętości nie większej niż 1 strona znormalizowanego maszynopisu (30 linijek), napisany w 7 egzemplarzach + tekst wiersza na płycie CD z zapisem w programie Word, podpisane godłem z dopiskiem MŁODZIEŻ, DOROŚLI lub POLONIA.
5. Uczestnicy przekazują do Biblioteki Pedagogicznej 39-300 Mielec, ul. Wypiańskiego 6 dwie zaklejone koperty opatrzone godłem: pierwsza zawiera tekst jednego utworu poetyckiego, w 7 egzemplarzach + płyta CD z tekstem wiersza; w drugiej kopercie znajdują się dane osobowe uczestnika turnieju – imię, nazwisko, wiek, adres, nazwa szkoły, nr telefonu, adres e-mail itp. w terminie do 25 marca 2011 roku (utwory poetyckie odbiegając od w/w wymagań, tj. np. kilka wierszy, za długie lub bez godła, nie będą kwalifikowane do oceny).
6. Utwory ocenia powołane przez organizatorów Jury. W jego skład wchodzić będą przedstawiciele organizatorów i patronów konkursu, poeci - członkowie Związku Literatów Polskich, poloniści oraz animatorzy kultury. O nagrodach głównych i wyróżnieniach decyduje suma punktów uzyskanych od poszczególnych członków Jury przyznawanych w skali od 1 do 6. Oceniane wiersze są anonimowe i dopiero po zliczeniu punktów otwierane są koperty z danymi uczestników konkursu.
7. Autorzy zostaną powiadomieni o zakwalifikowaniu utworu do finału turnieju, który planowany jest na przełomie maja i czerwca 2011 roku. Podczas Finału odbędzie się prezentacja nominowanych utworów, ogłoszenie wyników, wręczenie nagród głównych oraz dodatkowych.
8. Uczestnicy turnieju wyrażają zgodę na bezpłatną publikację książkową oraz w mediach, zgłoszonego do konkursu wiersza. Autorzy, nadsyłając prace na konkurs, zgadzają się na przetwarzanie danych osobowych.
9. Nauczyciele – opiekunowie uczniów otrzymają zaświadczenia o współpracy z Pedagogiczną Biblioteką Wojewódzką w Rzeszowie – Filią w Mielcu.

Informacji udziela Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka w Mielcu, tel. 017 5862178 oraz e-mail: mielec@pbw.org.pl a także przez stronę internetową: [www.rzeszow.pbw.org.pl](http://www.rzeszow.pbw.org.pl) lub [www.promocja.mielec.pl](http://www.promocja.mielec.pl)



## Jeżowskie licealistki laureatkami Wrzeciona

Wyróżnienie XVII Międzynarodowych Spotkań „Wrzeciono 2011” w Nowej Sarzynie przypadło Karolinie Szewczyk z klasy IIa Liceum Ogólnokształcącego w Jeżowie, zaś wyróżnienie honorowe Dominice Gil z klasy III tej szkoły. To wielki sukces zdecydowanie najmłodszych laureatek w konkursie dla dorosłych twórców, w którym brało udział 521 autorów z całej Polski i wielu krajów zagranicznych. Tym bardziej, że jest to sukces odniesiony drugi rok z rzędu.

I nagrodę konkursową zdobył Andrzej Ziobrowski z Krakowa, II – Monika Milewska z Włoch, zaś III – Wojciech Stańczyk z Józefowa. Laureaci nagród głównych, 7. wyróżnień i 7. wyróżnień honorowych to dojrzały twórcy, mający spory dorobek: wydane tomiki, nagrody na wielu konkursach ogólnopolskich, przynależność do stowarzyszeń i związków twórczych. Wśród laureatów nagród i wyróżnień konkursowych było wiele osób spoza granic Polski: oprócz laureatki drugiej nagrody z Włoch pochodzi Mira Contu, Marzena Szatko jest z USA, Jadwiga Dörr z Francji, zaś Irena Palewicz i Apolonia Skakowska mieszkają w Wilnie. Na konkurs wiersze napłynęły nie tylko z wszystkich województw w Polsce, ale z Litwy, Łotwy, Estonii, Niemiec, Francji, Włoch, Kanady, USA, Rosji, Słowacji, Mołdawii, Argentyny, Konga. W tak licznej, w dodatku międzynarodowej stawce, znaleźć się w elitarnym gronie osób nagrodzonych było bardzo trudno. Sukces nastolatek z jeżowskiego liceum tym bardziej był więc wyjątkowy i zauważony. Podkreślał to nie tylko animator i główny organizator konkursu, prezes Stowarzyszenia Folklorystycznego „Majdaniarze”, Roman Kostyra, ale i wielu innych, także dyrektor Wojewódzkiego Domu Kultury w Rzeszowie – Marek Jastrzębski.

Dominika Gil i Karolina Szewczyk przyjechały wraz ze swoim opiekunem, polonistą Ryszardem Mściszem, który występował niejako w szczególnym charakterze

Mistrza Poetyckiego Wrzeciona – takim zaszczytnym tytułem został uhonorowany, jako poeta i wielokrotny laureat konkursu, podczas poprzedniego „Wrzeciona”. Konkursowe nagrody dla Dominiki i Karoliny nie były zresztą jedynymi formami ich uhonorowania. Na konkurs, w imieniu wójta gminy Jeżowe, przybył dyrektor Gminnego Centrum Kultury w Jeżowie – Zbigniewa Bednarz, który złożył im gratulacje i wręczył wiązanki kwiatów. Wójt Gabriel Leszczka i Urząd Gminy w Jeżowie od wielu już lat wspierają twórców z jeżowskiego liceum, zauważając i doceniając nie tylko ich talenty, ale także wkład w tworzenie dobrego „małej ojczyzny”. Gratulacje złożyła także dziewczynom ich koleżanka Jagoda Piróg – uczennica klasy maturalnej z Liceum Ogólnokształcącego im. KEN w Stalowej Woli. Jagoda współpracowała niegdyś z Dominiką i Karoliną przy tworzeniu gazetki szkolnej „Post Scriptum”, w której obie są bardzo ważnymi osobami, pełniąc funkcję zastępców redaktor naczelnej. Niedawno gazetka Zespołu Szkół w Jeżowie zdobyła główny laur w V Podkarpackim Przeglądzie Gazetek Szkolnych w Leżajsku, zaś Dominika Gil i Karolina Szewczyk przyczyniły się do tego sukcesu przede wszystkim jako dziennikarki. Tym razem w spontanicznie prowadzonym przez pana Romana Kostyrę i nader sympatycznym finale „Wrzeciona 2011” zostały docenione jako poetki. Kiedy powróciły w radosnym nastroju, z dyplomami i nagrodami – po udzieleniu wywiadów dla Radia Rzeszów – do domu, okazało się, że czeka na nie jeszcze jedna pomyślna wieść. Obie zostały laureatkami VI Ogólnopolskiego Przeglądu Twórczości Poetyckiej im. Jacka Kaczmarskiego „Rytmy nieskończoności” w Warszawie. Finał tego renomowanego konkursu dla młodzieży szkół ponadgimnazjalnych, którego jury przewodniczy o. Waław Oszejca, odbędzie się 8 kwietnia w L LO im. Ruy Barbosy w Warszawie.

Ryszard Mścisz



## „O LUDZKĄ TWARZ CZŁOWIEKA”

Dnia 06 lipca 2010 roku w siedzibie Związku Literatów Polskich w Warszawie (ul. Krakowskie Przedmieście) odbyło się posiedzenie jury XIII Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „O ludzką twarz człowieka”. Na tegoroczną edycję konkursu nadeszło 112 zestawów wierszy: 5 zestawów w kategorii młodzieżowej, 7 zestawów w kategorii regionalnej, 100 zestawów w kategorii ogólnej. Dwa zestawy zostały zdyskwalifikowane, gdyż nie spełniały wymagań regulaminowych (autorzy nadesłali tylko jeden egzemplarz zestawu zamiast czterech). Jury w składzie:

1. ks. Waław Buryła, Krośnice - poeta, przewodniczący jury
2. Andrzej Gnarowski, Warszawa - poeta, krytyk literacki
3. Stefan Jurkowski, Warszawa - poeta, krytyk literacki
4. Marek Wawrzkiwicz, Warszawa - poeta, krytyk literacki

po wnikliwym zapoznaniu się z nadesłanymi wierszami postanowiło przyznać następujące nagrody i wyróżnienia:

KATEGORIA OGÓLNA - NAGRODY GŁÓWNE:

I NAGRODA: Katarzyna Zychla, Osiedle (poczta Sieniawa Żarska, woj. lubuskie) - godło „Ryba na piasku”

II NAGRODA: Łucja Gocek, Chojnice - godło „ósma czterdzieści dziewięć”

III NAGRODA: Jerzy Fryckowski, Dębica Kaszubska - godło „STALÓWKA”

Inf.: Organizatorzy



Laureaci konkursu (foto arch.)



### Marta Gdula -Zukowicz

urodziła się w 1948 roku w Leżajsku. Lata dziecięce i wczesną młodość spędziła w Lubaczowie, gdzie ukończyła w 1965 roku Liceum Ogólnokształcące. Jest absolwentką Wydziału Metalurgii na Akademii Górniczo-

Hutniczej w Krakowie oraz studiów podyplomowych z zakresu informatyki, ukończonych na tej samej uczelni. Do przejścia na emeryturę pracowała jako projektant systemów komputerowych w Zakładzie Informatyki Huty Stalowa Wola.

Pisze wiersze i prozę wspomnieniową. Debiutowała w 1994 roku w almanachu poetyckim „Spojrzenia 2”. Jej wiersze ukazywały się również w tygodniku „Sztafeta”, „Ilustrowanym Miesięczniku Przyjaciółka”, w Mielecko – Podkarpackim Kwartalniku Społeczno – Kulturalnym „Nadwisłocze”, w Rzeszowskim Miesięczniku Społeczno – Kulturalnym „Nasz Dom” w Magazynie Literackim „Wers” oraz w Kwartalniku „Krynica”, będącym pismem mniejszości polskiej na Ukrainie. Znalazły się również w kolejnych almanachach poetyckich „Spojrzenia 3” i „Spojrzenia 4”, które ukazały się w 2006 i 2009 roku.

W 2004 roku brała udział w IV Ogólnopolskim Konkursie Małych Form Literackich im. Stefana Żeromskiego, organizowanym przez Muzeum Stefana Żeromskiego w Nałęczowie, gdzie zdobyła nagrodę w kategorii „Dzienniki i wspomnienia”. Rok później otrzymała nagrodę, również w tej samej kategorii, biorąc udział w Konkursie Literackim pt. „...A kto czyta, żyje wielokrotnie” zorganizowanym przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Stalowej Woli.

W grudniu 2008 roku opublikowała pierwszy tomik poezji zatytułowany „Uładzić Rzeczywistość”, zawierający wiersze z różnych okresów jej twórczości.

#### Zanurzam się w czasie

Nieśpiesznie mijam  
niezbyt odległą przeszłość  
pełną buro – kolorowych zdjęć  
moich najbliższych  
przyjaciół znajomych  
jest jeszcze we mnie  
tamta radość zdziwienie  
rozczarowania miłość i bunt

Teraz dzieciństwo  
z poszarzałych zdjęć  
figlarnie zerka  
uśmiechnięta twarz  
pucułowatej dziewczynki  
z kotkiem na rękach  
w krakowskim stroju  
z siostrą i mamą w Iwoniczu  
z ojcem nad morzem  
w śmiesznie opadającym opalaczu

Po dłuższej chwili  
opuszczam ten Eden  
by zagłębić się z ciekawością  
w coraz odleglejsze rejony  
sepiowych zdjęć moich rodziców  
ich bliskich i znajomych  
znanych mi czasem  
tylko z opowiadań

Docieram w końcu  
do strzępów faktów i dat  
z życia moich pradiadków  
na podstawie których  
ze zdumieniem stwierdzam  
że rodzinny dom praprzodków  
stał zupełnie gdzie indziej  
niż sądzono a prababka po mieczu  
Konstancja Kimłowska  
urodziła się równo sto lat przede mną

## Krzysztof Graboń

### Z doświadczeń Kantora

studentka ląduje na bruku  
tej nocy będzie zimno  
dokumentują to tatuaże  
zaglądające przez obnażoną sukienkę

### Próba

niedzielną zmianę rytuału  
posłuchaj opowieści o człowieku  
jak pokarm spożywanego  
przez rak języka

ze ściany spada krzyż  
jako wotum symbolu  
chemia zatrzymuje  
sekundnik biologii

### Kredyt słowa na przyszłość

chciałem podarować ci domek  
sobie pozostawić w odludnych górach  
krajobraz pełni rolę zniewolonego mędrca  
to spotkanie z ciszą na jej prawach

\*\*\*

jak bardzo nienawidzi nas życie  
chodzące po cielesnym deptaku  
wiem o mieszkaniu nad rzeką smutku  
samobójstwo zlodowaciało coraz grubszą warstwą

### 14 października 2009

w Sanoku zimno  
nie wiem jakich barw użyłby Beksiński  
ani ja jakich użyłbym słów  
každorazowo próbuje wysłać mi uśmiech  
karpackie rękopisy siadają na ławce  
słucham chmury aniołów

Ryszard Mścisz

## Maski i cienie czasu w opowiadaniach Mirosława Osowskiego

Cienie przeszłości zdają się wylaniać z okładki nowej książki Mirosława Osowskiego „Szychta i inne opowiadania”. Ten ciekawy projekt graficzny Edyty Lisek, symbolicznie znaczący wpływ czasu, rytmny przemijania jakże wydaje się adekwatny do zbioru opowiadań odwołujących się do różnych realiów i okresów z życia narratora, a właściwie narratorów poszczególnych opowiadań.

Niektóre z ośmiu opowiadań składających się na książkę były już publikowane, tytułowa „Szychta” ma za sobą nagrodę w ogólnopolskim konkursie. W jakiś sposób też łączy się część z nich – choćby za sprawą prezentowanych środowisk, miejsc czy „nuty” autobiografizmu – z poprzednimi książkami Mirosława Osowskiego. Środowisko górnicze, praca w kopalni, znane z powieści „Z nieba do piekła”, to temat i miejsce akcji opowiadań „Szychta”, „Śląskie życiorysy” i „Beczka”, opowiadanie „Puszcza” jest swoistą wędrówką wokół miejsca znanego z powieści „Powołanie”, „Dwa listy” w ciekawy sposób wracają ku przeszłości, realiom studenckim znanym z debiutanckiej powieści „Tomasz”. Mirosław Osowski pokazywał też realia małomiasteczkowe, pewne relacje pomiędzy mieszkańcami różnej narodowości, zwłaszcza w książce „Świniobicie i inne opowiadania” – podobna tematyka, z wyeksponowaniem obrazu społeczności żydowskiej, pojawia się w opowiadaniu „Sztetł”. Może nieco odmienne, nowe akcenty odnajdziemy w „Przygodzie nad morzem”, pokazującym relacje międzypokoleniowe, oraz „Victoria”, którego tematem są rozterki sportowca, biegacza u kresu kariery. Sukces, który odnosi bohater tego ostatniego opowiadania nabiera zresztą charakteru symbolicznego, stając się w gruncie rzeczy bardziej sukcesem nad samym sobą niż sensu stricto – w sportowej rywalizacji.

Mirosław Osowski, podobnie jak we wcześniej publikowanych opowiadaniach, preferuje behawiorystyczną technikę narracyjną, nie wnika w meandry psychiki bohaterów, skupia się na pokazywaniu, relacjonowaniu zawitych nieraz losów bohaterów, umiejętnie opisuje i na swój sposób charakteryzuje także miejsca zdarzeń, próbując określić ich specyfikę, swoiste *genius loci*. W opowiadaniu „Sztetł” jest to ściśle zespolone z ukazaniem relacji narodowościowych, związków między Polakami a Żydami na tle zmieniających się czasów, zwłaszcza realiów wojennych. Jako baczny obserwator, Osowski poprzez narratora stara się odmalować obiektywny obraz społeczności żydowskiej, ukazując nie tylko typowo żydowską mentalność, filozofię, ale i cechy ich polszczyzny, wzbogacając ponadto fleksyjne, fonetyczne czy składniowe osobliwości języka Żydów anegdotami – szmoncesami.

Ludzkie losy, o których stara się w sposób żywy, zajmujący opowiedzieć pisarz za pośrednictwem narratorów opowiadań, często – jak chociażby w opowiadaniu „Szychta”, wyeksponowanym w tytule zbioru – łączą się z charakterystyką środowiska, dobrze oddanymi realiami życia bohaterów. Kowolik z „Szychty”, mimo indywidualnych, wyrazistych rysów osobowych, pozostaje poniekąd bohaterem reprezentatywnym dla górniczej braci. Mirosław Osowski w zasadzie odziera go z rysów heroizmu, uwydatnia jego zwyczajność, jakąś surową górniczą „miarę bytu”. Jego za-

śnięcie podczas pracy także nabiera charakteru „zwyčajnego tragizmu”. W „Przygodzie nad morzem” mamy do czynienia z ciekawym zestawieniem beztroskiej perspektywy, podejścia do świata młodych ludzi i starszego człowieka, który dokonuje swego rodzaju pokoleniowej „transpozycji” i wspomina swoje doświadczenia sprzed ćwierćwiecza w podobnym kontekście. Starsze pokolenie cechował zapewne większy stopień idealizmu, konfrontowanie swojej postawy z wzorcami literackimi czy historycznymi, jednakże i podobny stopień egotyzmu, zapatrzenia w siebie – taki można wyciągnąć wniosek z toczącej się dwubiegunowo akcji opowiadania.

Niewielki, liczący niespełna 90 stron, zbiorek opowiadań Mirosława Osowskiego cechuje jednakże spora różnorodność nie tylko ze względu na środowiska, w których rozgrywa się akcja i czas rozgrywania się prezentowanych zdarzeń – wyznaczany zwykle autobiograficznymi wędrówkami w czasie i pamięci. Mamy tu wszakże i różne „jakości” narracyjne: od żywiołu opisowego w „Puszczy”, poprzez charakterystykę miejsc i środowisk („Szychta”, „Sztetł”), panoramę ludzkich losów rzuconych na tło historyczne w „Śląskich życiorysach”, aż po nieco pokrewny, epistolograficzny paralelizm losów ludzi w „Dwóch listach”. To ostatnie opowiadanie w ciekawy sposób zderza subiektywne perspektywy widzenia wspólnej przeszłości przez parę bohaterów. Skrótowno ukazane ich losy, na przestrzeni czasowej między okresem młodzieńczej, studenckiej znajomości a starszymi latami, w jakiś sposób wynikają z indywidualnej percepcji świata i dokonywanej z subiektywnej perspektywy oceny innych. Subiektywizm narracji, jaki wiąże się z formą listu, służy pogłębieniu owego „wejrzenia w psychikę” bohaterów, które czyni tę historię ciekawszą. Zresztą w tym opowiadaniu chyba najbardziej odbiega pisarz od preferowanej behawiorystycznej techniki prezentowania zdarzeń.

Wspomniana różnorodność opowiadań Mirosława Osowskiego tym bardziej czyni je interesującymi, albowiem stają się w ten sposób „nieprzewidywalne”, w jakiś sposób wzbudzają zainteresowanie czytelnika formą prezentacji zdarzeń, rozmaitością łączników między teraźniejszością a mniej lub bardziej odległą przeszłością. Dodatkowym atutem staje się tu wielość technik narracyjnych, którymi się twórca posługuje – mamy tu opowiadanie, opis, list, liczne retrospekcje, narrację pierwszoosobową i trzecioosobową. Nie brakuje przy tym, zwłaszcza w partiach dialogowych różnych odmian języka: żargonu środowiskowego, gwary czy „żydlączenia”. Prezentowane w sposób bardziej pełny lub wrywkowy losy ludzkie także zyskują różne ujęcia, „sankcje uniwersalizacji”. Czasem mamy do czynienia z kompozycją otwartą, właściwie brakiem wyraźnej „pointy”, jak w opowiadaniu „Szychta”, innym razem pojawia się moralistyczne, wręcz wychowawcze przesłanie, jak w „Przygodzie nad morzem”, czy konfrontacja perspektywy egzystencjalnej narratora z historiozoficzną czy archetypiczną w „Puszczy”. W jakiś sposób poprzez ten zbiorek opowiadań powracamy do stylistyki poprzednich książek prozatorskich (czasem nawet zbiorów poetyckich) Mirosława Osowskiego, jednakże są to przecież nowe historie, przy tym w jakiś sposób „syntetyzują” one poprzez swoją różnorodność jego dotychczasowy dorobek twórczy.

Mirosław Osowski, „Szychta i inne opowiadania”, Towarzystwo Słowaków w Polsce, Kraków 2010.

Ryszard Mścisz

# Różaniec w rękach anioła

## czyli o poezji Moniki Kusztal z drugiego tomiku

Poezja „rozgarnia słowa”, by przemówić obrazem, zaiskrzyć uczuciem, zapalić myśl. Dotyka stóp anioła, oddechem życia koi ranę, tańczy unosząc się na palcach pośród potłuczonego szkła. Tylko poetyckie słowa ujmują istotę poezji Moniki Kusztal, w której „światło rozchyła płaszcz nocy” i „deszcz płacze niezapominajkami”.

„Reklamówka w niebieskiej sukience” – drugi poetycki tomik Moniki Kusztal urzeka subtelnym liryzmem, jakimś ciepłym poetyckim spojrzeniem, które oplata niepoetycką codzienność, stanowi swoisty balsam na raniące oczy obrazy, ból, cierpienie, nawet „śmierć zadowoloną/ po udanych żniwach”. Debiutancki tomik Moniki „Oparta o deszcz” był w znacznej mierze naznaczony piętnem dorastania, a dziecięce spojrzenie na świat zyskiwało coraz bardziej dojrzały, wyrafinowany poetycko, mądry refleksyjny ujęciem wyraz. W znacznej mierze jednak istota poetyki, zręby twórczego spojrzenia na rzeczywistość Moniki Kusztal już się wykrystalizowały, a jej „vis poetica”, swoista magia słowa zaczęła emanować.

Personifikacja tego, co wyłania się z obserwacji realnego świata, którą stosuje, nie funkcjonuje w poezji autorki „Reklamówki w niebieskiej sukience” jako poetycki ornament, atrybut sprawności operowania tropami poetyckimi – często prowadzi do paradoksów, a niemal zawsze ewokuje stany uczuciowe, doznania i prowadzi do swoistej wiwisekcji. Plastycznie nakreślony w wierszu „Reklamówka” obraz tej, która: Tańczyła pijana/ W niebieskiej sukience/ Deptała chodnikom po palcach, prowadzi do zderzenia owej uosobionej reklamówki z fenomenem śmierci. Oto przejechana przez tramwaj: Otrzepała kolana/ A wiatr/ Znowu porwał ją to tańca.

Doświadczenie śmierci to pewne autobiograficzne piętno poezji z tomiku Moniki Kusztal. Dokonujące się w wierszu „Reklamówka” niezwykle „zmartwychwstanie rzeczy” – nie ma, niestety, owego atrybutu „stawalności” w świecie realnych zdarzeń, w którym odszedł ojciec podmiotu lirycznego. Pozostaje tylko tytułowa „Miłość marmurowa”, objawiająca się wycieraniem pleców zakurzonych, dziesiątkami róż-

zańca i setkami knotów wypalonych. Zespolenie śmierci i miłości w wierszach poświęconych ojcu łączy emocjonalny i refleksyjny, eschatologiczny wymiar rejestrów poetyckiego i ludzkiego odczuwania. Jakże wymowny staje się obraz przywołany w wierszu „Pogrzeb w stokrotkach”:

Lat dziesięć  
a już zapomniałam  
jak beztrzęsio myśli się o Tacie  
Otula wspomnienie  
tysiącem pocałunków

bez obawy że można zaszkodzić  
i jest się pewnym  
że tak zawsze będzie

Ta „transpozycja” uczuć, zderzenie perspektywy czasowej sprzed lat z dzisiejszą, to jakże wzruszająca i poetycko dojrzała, wyrafinowana tak poetycko jak i emocjonalnie „płaszczyna ocalenia”. Instancja śmierci łączy się u Moniki Kusztal kilkakrotnie z semantycznie wymownym, obrazowo, metaforycznie pojętym przywołaniem różańca. W wierszu „Tacie” pisze: Różańcem/ zostałam w Twoich palcach, czyniąc owego „pomocnika modlitwy” namiastką, rękojmią miłości wiecznej i trwałej – niczym owoce głogu z historii „nieposkromionej” miłości Tristana i Izoldy. Ów trzymany różaniec można zestawić z „opuszczonym różańcem” z wiersza „Oświeć”. Na kogo wypadnie/ dla tego/ śmierć – dziecinna wyliczanka przywołana w tym wierszu zwielokrotnia, potęguje obraz niewinnej śmierci, w której naiwne i nieświadome dzieci zostają wciągnięte w swoisty „dane macabre”.

Miłość do rodziców, która jakby dorosłeje wraz z podmiotem lirycznym wierszy, tętni lirycznym pulsem wielkiego uczucia. Piśzę Cię jak ikonę/ Twarz łzami rzeźbiona/ Korytarze smutku/ na czole/ Serce/ rozkruszone na dłoni – tak obraz matki kreśli poetka w wierszu „Matce”. Wysnuty z wyobraźni i uczucia, artystycznie „zarchaizowany” i „orientalny” obraz matki nabiera zarazem cech pewnego archetypu, mitycznej trwałości, ponadczasowości. Niejako dopełnieniem obrazu ojca i matki podmiotu lirycznego stają się wzruszające liryczne ich ujęcia z wiersza



sza „Rodzicom”: Linie papilarne/ związane wiecznością (...) linia rąk trzyma przy życiu.

Monika Kusztal potrafi jednak dokonać także swoistej reifikacji osoby – jak w wierszu „Modelka”. Klawiatura żeber/ przebija bluzkę/ Na wysokich obcasach/ niepewne nogi – metaforyczne określenia jakże trafnie „dekomponują”, egzemplifikują tytułową dziewczynę, która w jakiś sposób zostaje wykreowana jako osoba zniewolona, zdegradowana przez swą rolę, zawód. Obraz oczu, umierających/ z pragnienia kariery”, którym kończy się wiersz, w jakiś sposób stanowi o istocie poetyckiego talentu Moniki, sile jej poetyckiego oddziaływania, która zresztą została „sprawdzona” już przez niejedno konkursowe jury – wszak jest ona laureatką wielu poetyckich konkursów, także tych rangi ogólnopolskiej. Wycucie słowa, funkcjonalność jego użycia, umiejętność „lakonicznego” ujęcia bogactwa znaczeń, zamknięcia ich w wymownym obrazie – to jeden z istotnych wyróżników owego poetyckiego „dominium” Moniki. Drugim jest umiejętność dostrzegania i werbalizowania, „puentowania” paradoksów tego świata, ludzkiej egzystencji, nader trafnego „finalizowania” utworów – przy tym owe paradoksy i puenty wierszy niejako zapraszają do refleksji, nigdy nie upraszczają istoty rzeczy, nie zamykają jej w jakąś konstatację ze znamionami ostateczności, doskonałości.

Podmiot liryczny wierszy Moniki Kusztal bacznie obserwuje rzeczywistość, widzi wszelkie jej ułomności i mroczne odsłony, ale wszystko otula jakimś woalem dobra i pogodnego, mądrego dystansu. On wie, iż dziś popłaca szokowanie, ale pokazując w jednym z wierszy torturującą tytułową lalkę dziewczynkę nie dąży do epatowania naturalistycznymi, turpistycznymi opisaniami, ale do „utajonej ekspresji” w finale wiersza: tak bawi się nią tata/ gdy wraca do domu/ pijany. Pozbawiona poetyckiego „krzyku”, łagodna w war-

# KAZIMIERA SZCZYKUTOWICZ

stwie emocjonalnej – jako że przemawia samo zestawienie obrazów, odsłon rzeczywistości – sytuacja liryczna pokazana w wierszu przemawia jednak szczególnie dobitnie. Implikuje bowiem pewne wyraziste odczucia, jakby je „imploduje” z owym spokojem, wydając cichy krzyk protestu przeciw takiemu stanowi rzeczy, objawiając głęboki smutek, że tak musi być.

Ale poezja Moniki Kusztal przeżyta jest także marzeniami, ulatuje w krainę fantazji, urojonych światów. Wyobraźnia/ wachać firankowe kwiaty – to także świat poetyckich zmysłów Moniki, który odnajdziemy w wierszu „Kwiaty fantazji”. Podróżuje także poetka szlakami aniołów, które w linii papilarne latają, sakralizując rzeczywistość, zwierza się: Kurczowo trzymam się aureoli/ Przyklejam do ramion białe pióra/ Głos ćwiczę na bardziej śpiewny/ Ręce rozkładam w pokornym geście. Obraz upadku, utraty atrybutów świętości łączy się z refleksją czy raczej retorycznym zapytaniem, nader szczerym wejrzeniem w siebie, we własne wnętrze: Do twarzy mi w białym/ ale czy na tym/ polega świętość.

Ostatni fragment, pochodzący z wiersza „Święta”, uwydatnia kolejne wyznaczniki poetyckiego talentu, „elementy składowe” decydujące o lirycznym potencjale wierszy Moniki Kusztal. To szczerłość uczuć, ich ujawniania – pewna dawka ekshibicjonizmu – oraz skromność, patrzenie na siebie z jakimś ironicznym dystansem, umiejętność widzenia własnych niedoskonałości. Potwierdza to także końcowy wiersz „Łzy nad i”, w którym poetka zestawia swoje twórcze łzy nad i, kilkuminutowe ukojenie z wielkimi dziełami Homera, Herberta i Szymborskiej. Ale przecież to przełożone na poezję „ukojenie”, jak kończy tomik poetki, jest – napisane bym mogła żyć.

„Reklamówka w niebieskiej sukience” Moniki Kusztal urzeka swoją „łagodną siłą” poetyckiego oddziaływania. Poetycko zwiewne jak owa sukienka wiersze, są zarazem pełne prawdy o życiu, pułapkach i dramatach codzienności, kryją w sobie wrażliwą, dojrzałą i mądrą osobę, która potrafi czarować słowami i lirycznymi obrazami. Jestem pewny, że to poezja, która nadmiernej reklamy nie potrzebuje, albowiem ma w sobie ten czar i urok, które same „odnajdą” czytelnika.

Monika Kusztal, „Reklamówka w niebieskiej sukience”, Towarzystwo Słowaków w Polsce, Kraków 2010.

Pełnia

przepełniła we mnie sen  
płynie w zbrudzonym błękitcie  
noc  
mruga gwiazdami  
moje przebudzenie  
cienie na śniegu  
popłamiły biel  
dzwoni cisza

Bezdomni

ciepło zagubili  
w marszu z przemijaniem  
bieda rozproszona

w szyku

w kolejce po zupe  
w dniu chłodnym  
po samo zmrożenie

Gilotyna

mróz ściał  
gilotyną minusów  
znieuchomiał nurt  
jednak zabiera czas  
zazdrosny szmer



Urodziłam się na kielecczyźnie. Szkołę średnią i zawód nauczyciela zdobyłam na Dolnym Śląsku, gdzie pracowałam tylko jeden rok. Następnie wyszłam za mąż i przeprowadziłam się w rodzinne strony - do Kielc. Właśnie tutaj mieszkam i pracuję do dziś jako nauczycielka matematyki. Poezję lubiłam czytać, pisałam również - do szuflady oraz na różne okazje. Od roku 2007 brałam udział w spotkaniach literackich organizowanych przez Związek Literatów Okręgu Świętokrzyskiego, promocjach nowości wydawanych przez poetów i pisarzy naszej świętokrzyskiej ziemi oraz plenerach literackich. Zadebiutowałam w 2007 roku w czasopiśmie „Radosowa” i prawie jednocześnie jako współautorka almanachu „Irysowe Nitki”. Moje wiersze znalazły miejsce w almanachach: „A duch wieje kędy chce”, „Dziesięć Muz”, „Kwartalnik Świętokrzyski”, a także w czasopismach: „Bieszczady”, „Gazeta Kulturalna”. W 2009 roku wydałam tomik poezji pt. „Jak zakotwiczyć NIEBO”, a w 2010 roku drugi tomik poezji - „Mowa wiatru”. Moje wiersze były tłumaczone na język serbski.

\*\*\*

...a sprawił to Jezusik  
- mały człowiek  
wplątany w żniwo  
codziennych falowań  
w złotoustej mowie  
Świątecznego rozświetlenia  
układa bukiety życzeń

Na szlaku

wciśnięty w zieleń  
głęboki oddech

a oczy wiodą do gwiazd  
a stopy niosą  
przez szarość  
a dusza  
skrzydeł dostaje

i człowiek  
pnie się

przez gąszcz  
do światła szczytów

gdzie ciężar  
obcina wiatr

Robert Czop

## Takie sobie pogaduchy

z innym literatem o współczesnej doli i niedoli  
miłośnika pióra i wszelkich innych sztuk  
(dokończenie z poprzedniego numeru)

A że moje słowa nie są bezpodstawne niech wystarczy przykład Mikołaja Hussowskiego, autora „Poematu o żubrze”, który miał zostać podarowany przez biskupa płockiego Erazma Ciołka papieżowi Leonowi X. Oto nikomu nieznanemu poecie ma szansę nagle zaistnieć i tylko pech chce, że kolejny następca św. Piotra umiera, a niedługo po nim odchodzi z tego świata Erazm Ciołek-człowiek o wielkich ambicjach mecenasowskich i opiekun młodego Hussowskiego. Niestety, ale innych zamówień ten, rokujący wielkie nadzieje poecie, nie otrzymuje i zbyt wcześnie umiera. Ale nie jest to jedyny z naszej bogatej historii literatury przykład utalentowanej osoby (wypada tu jeszcze wymienić Klemensa Janicjusza, Cypriana Kamila Norwida czy Mirona Białoszewskiego), która, zmagając się ze skutkami własnej nieugiętej woli, by nie iść na kompromis i nie wyrzec się własnej wizji, skazywała się na odtrącenie i znaczne pogorszenie warunków bytowych. Widzimy więc, że wielkość artysty wynika z dzieła, którego dokonuje, a które ma ogromny wpływ na innych ludzi, sprawiając, iż stają się przez obcowanie z tą pracą bardziej szlachetni i radośni. Jeżeli do tego dodamy czynnik boski, który przemawia przez usta danego twórcy, to zaczynamy idealizować i promować jakąś niezmierną istotę, co łącząc się z jakimś niewiarygodnym Uniwersum, staje się kimś nadludzkim, nie mającym choćby najmniejszego odpowiednika w świecie, a równocześnie, jak słusznie zauważył Janusz Orlikowski, jest marzycielem, co wciąż buja w obłokach, więc czy warto się z nim zaprzyjaźnić i potraktować go poważnie, czy też może machnąć ręką i skwitować: „no tak, poeta; słuchajcie, to poeta”. Choć z drugiej strony patrząc, to nie dziwny się, iż inni traktują nas w taki sposób, skoro my sami nie potrafimy siebie i własnej pracy uszanować.

A co w takim razie powiemy o czytelniku, który już od najmłodszych lat jest oswajany z odbiorem poezji, kiedy to od pierwszej klasy recytuje wierszyki, a później poznaje podstawowe środki stylistyczne i powinien rozpoznać oraz próbować zrozumieć, jaką myśl chciał poeta przekazać przy pomocy metafory, porównania czy epitetu. Także uosobienie oraz obraz poetycki nie powinny sprawiać mu kłopotu. Szkoła na różny sposób próbuje zapoznać młodego człowieka z różnorodnością w twórczości polskiej od średniowiecza po współczesność, a mimo to, jak słusznie Janusz zauważył, ten kto odbiera twórczość innych, nie zawsze jest do tego przygotowany na tyle by przebrnąć przez język, który w pierwszym momencie wydaje mu się tak bardzo nienaturalny: „Za godzinę pomyślał Franek i przyszedł. Później czytał, zdziwiony początkowo treścią, bezpretensjonalnością tych pism, ich rzeczowością. Dowiadywał się prawdy literatury. Było mu to początkowo obce.” Tak jak obca jest nie tylko poezja, ale cały świat literacki, który przemyka się małą stróżką światła do pokoju, o ile ktoś łaskawie uchyli odrobinę drzwi, ale robi się to zbyt rzadko, by mieć stały kontakt z tym, co chcą nam przekazać ludzie pióra. Ale także ci, co chcą widzieć jedynie piękno tekstów bez tego co złe i przykre, mogą się w tej nowej sytuacji poczuć nie tyle obco, co niepewnie, gdyż w pierwszym momencie moglibyśmy doszukiwać się jakiegoś podstępku. Naturalnie możemy się zastanowić, gdzie czytelnik, oczywiście poza obowiązkiem szkolnym, może obcować z twórczością współczesnej poetki czy poety, ale w dzisiejszych czasach nie jest to takie proste, skoro są twórcy, którzy wydali po trzydzieści tomików, a nawet w ich mieście niewiele osób orientuje się, iż ktoś taki istnieje. Czytając

Brulion Literacki „Ślad” XXX dowiaduję się o Warszawskiej Jesieni Poezji, Międzynarodowym Listopadzie Poetyckim w Poznaniu, Światowym Dniu Poezji w Warszawie i Międzynarodowej Galicyjskiej Jesieni Literackiej. I nagle uświadomiłem sobie, że te piękne zdjęcia i relacje oraz słuszne słowa Wiesława Stanisława Ciesielskiego, że: „charakterystyczną oprawę, albo raczej jej brakiem jest nieobecność mediów, bo po co pokazywać szaleńców ratujących polską kulturę”, miałem możliwość obejrzenia i zapoznania się z tymi wydarzeniami tylko dlatego, iż egzemplarz tego bardzo ciekawego brulionu przesłał mi Jan Towarnicki. Inni, którzy mają mniej szczęścia ode mnie, raczej nie obejrzą tej pozycji wydawniczej (podobnie jak „Ciechanowskich Zeszytów Literackich”, „Gazety Kulturalnej”, „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego” czy „Ulotnej Przestrzeni”, w których miałem przyjemność publikować), ponieważ, przynajmniej na moim terenie, nie można znaleźć tych tytułów na półkach salonów prasowych. W taki więc sposób zamyka się błędne koło, kiedy to ciekawe wydarzenia literackie odbywają się jedynie w kręgu wtajemniczonych i równocześnie zostaje omówione w piśmie, które nie mając możliwości obiegnięcia całej Polski, ostatecznie ogranicza się do tego samego kręgu. Czy to znaczy, iż w wolnym państwie nadal jest uprawiana przymusowa konspiracja? Dlatego ta wypowiedź, iż: „Franek wszedł do salonu prasy. Bywał tu czasami. Mnóstwo czasopism, pamiętał. Pusto. Półki przypominające spożywcze sklepy z czasów dogorywającego komunizmu. Przepraszam u nas socjalizmu.

Lecz zamiast octu zauważył dwie kupki pism. Jedną większą, drugą mniejszą, malutką. Widok niebywały.

- Niech pan przyjdzie za godzinę, to się zapełni – usłyszał głos sprzedawcy”

A teraz po tych słowach zamykam oczy i widzę same puste półki i jedynie gdzieś tam w kącie pojawia się „Fantastyka” i czasem „Akant”. Był nawet taki krótki czas, że w Sanoku na półkach znalazłem „Radostowę”, był taki czas... Dlatego nie dziwię się narratorowi, kiedy, widząc tak wielkie i nie mające się szans zapełnić, przestrzenie, zaczyna marzyć o tym, że wszystkie czasopisma literackie są wszechobecne i wychodzą wreszcie z ukrycia, czego jemu i wszystkim tym wspaniałym redaktorom życzymy.

Ale w omawianej przez nas książce pojawia się też jakby taka jedność dusz między twórcą a odbiorcą, czego najlepszym przykładem jest szkic „Echo”. Oto młodzieniec bierze do ręki książkę i odnajduje w niej wiersz, który tak bardzo przyciągnął jego uwagę, iż ma go do dzisiaj, mało tego, gdyż zna go na pamięć. Jeżeli uda nam się przejść przez wszelkie bariery, które oddzielają nas od wartościowych wypowiedzi poprzednich i dzisiejszych pokoleń, czyli jak marzył o tym Norwid, byśmy, nie czekając na to, aż ktoś zapali świecę za nas, sami uczynili ten pierwszy krok, który zawsze nam się opłaca. A stanie się tak tylko dlatego, że za tymi zasłonami, odnajdziemy pokrewną nam duszę, istotę myślącą, odczuwającą i przeżywającą te same dramaty i radości, co my. Bo któż z nas nie kochał jak bohaterowie utworów Adama Mickiewicza czy Juliusza Słowackiego i w swoich młodzieńczych wzlotach i upadkach nie przeżywaliśmy tego samego, co oni. Stawali się nam braćmi w swoim szczęściu i nieszczęściu, a z którymi mogliśmy się utożsamiać i u których mieliśmy możliwość znaleźć zrozumienie dla naszych bolączek, stanów euforii i niewysłowionych uniesień. Także dzisiaj, kiedy przemiany w Polsce i panoszący się dziwny kapitalizm sprawia, iż zaczynają być aktualne utwory Henryka Sienkiewicza, Bolesława Prusa, Elizy Orzeszkowej czy Stefana Żeromskiego, ukazujące nędzę i wyzysk tak wielu ludzi, nie mamy wątpliwości, iż koło się zamyka. Te same problemy znowu wracają i gdy czytam wiersze mówiące o niesprawiedliwości i ciężkiej doli bezrobotnego, to widzę przed oczami poezję rewolucyjną Władysława Broniewskiego, Juliana Tuwima czy Mieczysława Jastruna. Naturalnie dzisiejsze utwory są inaczej skrojone i wykorzystuje się

inne materiały, lecz wystarczy tylko przystanąć i sięgnąć, a przekonamy się, iż znajdziemy tam wszystko to, co napisali nasi wielcy poprzednicy. W taki oto sposób czytelnik ma możliwość na identyfikację z bohaterem książki i w ostateczności na bezinteresowną przyjaźń, mimo że nie doświadcza bezpośredniego kontaktu z określoną osobą. Myślę, że właśnie niezwykle przykłym przykładem takiej serdecznej znajomości i zarazem niezwykle połączeniem się poetyckich dusz jest współpraca między poetą Klemensem Janickim a poetą i mecenasem Jerzym Krzyckim. Ale to jest jeszcze za mało, bo jak słusznie zauważa Janusz, obcowanie z inną osobą, a dokładniej z jej poezją, sprawia, iż zostaje przywołane to, „co w człowieku najlepsze. A w ujęciu ontologicznym to po prostu szukanie i odnajdywanie w sobie dobra w każdej chwili wartości poznania.” W taki więc sposób, analizując każdą linię omawianej przez nas publikacji, będziemy odkrywać kolejne skarby, nad którymi warto się pochylać i poznać je. Pozostaje jednak pewien problem, bo skoro tak wiele zyskujemy, to dlaczego tak bardzo się bronimy przed tym, co nas wzbogaca, czyli mówiąc inaczej, dlaczego jest tak źle, skoro jest tak dobrze. I tutaj Orlikowski próbuje postawić diagnozę, która znów wydaje się wielowarstwowa, dlatego spróbuję tutaj to jakby podsumować:

1. Poeta jest istotą, a raczej taką jakby dziwną roślinką, która potrzebuje właściwego traktowania. A potem, jak każdy piękny kwiat, może dać wiele radości, działając na wszystkie nasze zmysły swoim kształtem, zapachem, subtelnym dotykiem swoich płatków czy cichym szeptem, w czasie lekkich podmuchów wiatru. Jednak potrzebuje określonych warunków, które sprawią, iż da z siebie wszystko, co najwartościowsze i najpiękniejsze. Właśnie o tym możemy przeczytać w „Szkoda, że nie poezja” czy w „Poezja, rzeczywistość i wyobraźnia”:

„A tu kelner – chciał mi zrobić dobrze. Dwa ruchy i już. Błysnął ekran telewizora, gdzie piękne panie uruchamiały swe biodra, ramiona, całe ciała, aby odzwierciedlić charakter nagle mocno nagłośnionej muzyki spod znaku rap. Jej agresja powoli wytrącała mnie z chwili. Linia melodyczna mojego rodzącego się wiersza klóciła się z tą rzeczywistością nie do poznania. Szkoda było gorącej kawy, lecz cóż...”

Wspomnieliśmy wcześniej, że taką oazą byłby mądry mecenas, ale jak pokazuje historia to i to nie daje szansy na stabilizację czy niezależność. Bo wprawdzie Oktawian August wspierał poetów, którzy myśleli tak jak i on, to jednak skazał Owidiusza na wygnanie, z którego już ten wybitny twórca nie powrócił.

2. Poeta, jako istota inna, która często nie potrafi dostosowywać się do panujących warunków, musi sobie także uświadomić, że i ona czasami powinna odpuścić. Skoro wymagamy od czytelnika, by przedzierał się przez gąszcz rozbudowanych i skomplikowanych środków stylistycznych, to wypada dać mu również wartościowe wnętrza, by nie doznał rozczarowania, kiedy po ogromnym wysiłku uda mu się rozłupać twardą skorupę orzecha i ujrzeć jedynie pustkę lub coś zgniłego. Jeżeli teraz nasz odbiorca mało uważał na lekcjach, gdyż poezja go nudziła lub nie była atrakcyjna w tak atrakcyjny sposób, aby go poruszyć i pociągnąć za sobą, to on już na tym etapie ma braki. I to właśnie one nie pozwolą mu odczytać twórczości innych na wyższym poziomie zaawansowania. Przecież podobnie dzieje się, na przykład z nauką języków obcych. Jeżeli nie nauczymy kogoś podstaw i nie podamy odpowiedniego słownictwa, to uczeń odejdzie z niechęcią od dłuższego tekstu, który będzie zmuszony przetłumaczyć, ponieważ on go przytłoczy swoją wielkością. Wciąż zapominamy o tym, że jednak poeta, podobnie jak historyk literatury, pracując na określonym materiale przez wiele lat, więc czy można wymagać od studenta, by miesiąc przed egzaminem pojął to, czego przez lata uczy się profesor? Przenigdy, ponieważ zawsze będzie między nimi przepaść nie do przeskoczenia dla ucznia. Dlatego o wielcy, apeluję o odrobinę cierpliwości dla malucz-

kich. Czytelnik, aby przeczytał książkę jednym tchem, musi mieć także stworzone odpowiednie warunki ku temu. I nie tylko chodzi tu o pomieszczenie czy właściwy nastrój, ale przede wszystkim potrzebuje tego, za czym w danej chwili najbardziej tęskni i właśnie o tym nie powinien zapominać literat. Nie jestem za tym, by poeta, wzorując się na kameleonie, dostosowywał swoją twórczość do kaprysów krytyki czy też innych odbiorców, rezygnując ze swoich ambicji i planów, lecz zależy mi na tym, by nie rezygnując z siebie, równocześnie potrafił dać innym to, czego w danej chwili oczekują. Skoro piszemy o pismach literackich, to tutaj warto wspomnieć o „Nadwisłoczu” z Mielca. Ten kwartalnik, który wychodzi regularnie od sześciu lat, idzie na pewien kompromis w stosunku do odbiorcy przez rozszerzenie swojej propozycji. Dzięki temu możemy zapoznać się nie tylko z literaturą, ale także z historią czy innymi zjawiskami, które zachodzą w społeczeństwie.

3. Przede wszystkim autor, który domaga się od czytającego poświęcenia i wyrozumiałości, jednocześnie powinien wymagać tego samego od siebie. I teraz pasuje tutaj kolejna wypowiedź Janusza: „Seriale, do znudzenia powtarzalność osób, rekwizytów i treści choćby najbardziej małych, nijakich, uwikłanych wciąż w te same schematy, intelektualnie czasem poczytych, a gdy braknie pomysłu zwyczajnie głupich, stanowią o treści kulturowych zapatrywań, tzw. przeciętnego człowieka. O Boże, nic nowego – czego się czepiasz?”

Dlaczego nie inaczej? Jakiś cytat z dobrego wiersza, już nie mówię nam najbardziej współczesnych, ale choćby z Baczyńskiego, Herberta, Miłosa czy ostatniej noblistki, Szymborskiej.”

Autor esejów przypomina kolejne wielkie prawdy, które powtarzamy od wieków.

Przede wszystkim, jak sam zauważył, wszystko, co się wciąż powtarza aż do znudzenia, staje się przykre, więc być może powrócimy do utworów wyżej wymienionych osobowości, kiedy już nie będziemy mogli patrzeć na to, co wokół nas otacza. A wówczas seriale zamienimy na książki. Przecież tak już się działo w historii naszego i innych narodów, kiedy to po średniowieczu przyszedł renesans a po nim barok, który miał w sobie tak wiele ze średniowiecza, by następnie ustąpić miejsca czasom oświecenia, które przejęły znów tak wiele z odrodzenia. Drugą prawdą natomiast jest to, iż gdyby nie było tych seriali, nigdy nie mielibyśmy okazji zatęsknić za czymś innym, ambitniejszym, dlatego to, co jest krytykowane, gdy spojrzymy na to zjawisko z innej strony, to nie tylko nie zasługuje na krytykę, ale przede wszystkim na pochwałę, bo dzięki temu bardziej doceniamy wiersze. A przecież pisali już o tym i Heraklit, i Lao-tse a także Władysław Tatarkiewicz w „Teorii szczęścia”. Przecież sam autor omawianej przez nas książki, uległ urokowi stworzonemu w swojej wyobraźni światu („Kultura w świecie ciszy”), więc czyż powinniśmy się dziwić zwykłemu zjadaczowi chleba, że znudzony szarą codziennością, ulega czarowi fikcyjnej przestrzeni, stworzonych w tasiecowych serialach. Bo przecież nie zaprzeczamy temu, iż bardzo często tęsknimy za tym, czego w danej chwili nie posiadamy, a czego z każdą sekundą jesteśmy coraz bardziej spragnieni i głodni. Poza tym wydaje się, że nie jest tak źle, bo poezja Haliny Poświatowskiej, o ile statystyki z czasopism nie kłamią, sprzedaje się bardzo dobrze i cały czas jest na nią popyt.

Nie ukrywam, że o „Statusie poety. Eseje i szkice” mógłbym napisać jeszcze drugie tyle, a może i trzecie, tylko kto by to wydrukował, a poza tym muszę uszanować cierpliwość czytających te słowa, o ile zdołają dotrzeć do końca. Z tego też powodu postanowiłem zamknąć w tym momencie, choć ciężko się oderwać od tych kolejnych myśli filozoficznych, o które ocieramy się w innych rozdziałach. Również sporo miejsca zostało poświęcone innym wybitnym twórcom, z czego godne uwagi są „Diamentowe gody”, ale nie tylko one.

## NADWISŁOCZE OBRONNE

Ogłoszenia zamieszczone nieodpłatnie

### **Wojskowy Komendant Uzupelnień w Mielcu informuje o naborze ochotników do SŁUŻBY PRZYGOTOWAWCZEJ**

SŁUŻBA PRZYGOTOWAWCZA to nowa forma służby wojskowej, do której mogą zgłosić się ochotnicy, którzy stawali do kwalifikacji wojskowej (wcześniej „poboru”) i zostali uznani za zdolnych do służby wojskowej (kat. „A”) , a także ochotnicy, którzy nie mają orzeczonej kategorii zdolności do służby wojskowej i nie odbywali wcześniej żadnej formy tej służby (w tym kobiety).

Do służby przygotowawczej może być powołana osoba niekarana za przestępstwo umyślne, posiadająca obywatelstwo polskie, odpowiednią zdolność fizyczną i psychiczną do pełnienia czynnej służby wojskowej, wiek co najmniej osiemnastu lat i wykształcenie:

- 1) co najmniej wyższe – w przypadku kształcenia na potrzeby korpusu oficerów;
- 2) co najmniej średnie – w przypadku kształcenia na potrzeby korpusu podoficerów;
- 3) co najmniej gimnazjalne – w przypadku kształcenia na potrzeby korpusu szeregowych.

Żołnierzy służby przygotowawczej kształcą na potrzeby korpusu:

- 1) oficerów – uczelnie wojskowe;
- 2) podoficerów – szkoły podoficerskie;
- 3) szeregowych – ośrodki szkolenia lub jednostki wojskowe.

Czas trwania służby przygotowawczej wynosi:

- 1) dla żołnierza kształcącego się na oficera – do sześciu miesięcy;
- 2) dla żołnierza kształcącego się na podoficera – do pięciu miesięcy;
- 3) dla żołnierza kształcącego się na szeregowego – do czterech miesięcy.

W każdym miesiącu odbywania służby przygotowawczej osoba pełniąca tą służbę otrzymuje:

- kształcąca się na potrzeby korpusu oficerów - 1500 zł
  - kształcąca się na potrzeby korpusu podoficerów - 1000 zł
  - kształcąca się na potrzeby korpusu szeregowych - 750 zł
- Kwoty podane są brutto i obowiązują od 1 stycznia 2010 r.

Powołanie do służby przygotowawczej będzie następowało w miesiącach:

- na potrzeby kształcenia w korpusie oficerów - styczeń, kwiecień lub październik;
- na potrzeby kształcenia w korpusie podoficerów – luty, maj lub listopad;
- na potrzeby kształcenia w korpusie szeregowych – marzec, czerwiec lub grudzień.

Po ukończeniu służby przygotowawczej, osoba, która tą służbę ukończyła uzyskuje prawo do:

- ubiegania się o przyjęcie do służby w Narodowych Siłach Rezerwowych
- ubiegania się o przyjęcie do zawodowej służby wojskowej na stanowisku właściwym do posiadanego stopnia wojskowego.

Po ukończeniu służby przygotowawczej osoba, która nie podejmie żadnej formy służby wojskowej NIE PONOSI żadnych kosztów odbycia tego szkolenia.

Do wniosku dołączyć należy:

- życiorys
- odpis skrócony aktu urodzenia
- inne dokumenty potwierdzające poziom wykształcenia i posiadane kwalifikacje
- informację o osobie z Krajowego Rejestru Karnego, ze względu na opłatę, WKU uzyskuje we własnym zakresie (po złożeniu wniosku przez osobę zainteresowaną ).

W roku 2011 planowane jest powołanie do służby przygotowawczej na potrzeby korpusu szeregowych, w terminach: 7 marca, 29 czerwca i 2 grudnia.

\* \* \*

### **Wojskowy Komendant Uzupelnień w Mielcu informuje o naborze ochotników do NARODOWYCH SIŁ REZERWOWYCH (NSR)**

W związku z powołaniem części żołnierzy Narodowych Sił Rezerwowych (NSR) do zawodowej służby wojskowej, WKU w Mielcu prowadzi kolejny nabór żołnierzy rezerwy do służby w NSR, w jednostkach wojskowych na terenie Podkarpacia, oraz w jednostkach poza terenem województwa.

Do służby wojskowej w NSR można powołać żołnierzy rezerwy, którzy odbyli zasadniczą służbę wojskową albo przeszkolenie wojskowe studentów lub absolwentów uczelni wyższych, oraz spełniają łącznie następujące warunki:

- są osobami niekaranymi za przestępstwo umyślne
- posiadają obywatelstwo polskie
- posiadają odpowiednią zdolność fizyczną i psychiczną do pełnienia czynnej służby wojskowej
- ukończyły osiemnaście lat i posiadają wykształcenie
  - co najmniej wyższe – korpus oficerów
  - co najmniej średnie – korpus podoficerów
  - co najmniej gimnazjalne – korpus szeregowych

Dla żołnierzy NSR przepisy prawne regulujące tok pełnienia tej służby przewidują szereg uprawnień:

Należności finansowe:

- uposażenie za każdy dzień czynnej służby wojskowej (ćwiczeń wojskowych),
- zwrot kosztów przejazdów do miejsca pełnienia tej służby
- prawo do nagród z tytułu wzorowej realizacji zadań służbowych,



Świadczenia rzeczowe w czynnej służbie:

- bezpłatne zakwaterowanie zbiorowe,
- bezpłatne wyżywienie,
- umundurowanie (polowe) i wyekwipowanie wojskowe.

Świadczenia zdrowotne:

- żołnierze NSR w czasie czynnej służby wojskowej mają zapewnioną opiekę medyczną i stomatologiczną oraz zaopatrzenie w produkty lecznicze.

Żołnierze NSR stanowią podstawową grupę osób, z której rekrutuje się kandydatów do zawodowej służby wojskowej w jednostkach wojskowych. Utrzymana jest oczywiście zasada zgłoszenia ochotniczego (złożenie wniosku) i procedura kwalifikacji do służby zawodowej.

Wniosek do służby w NSR osoby zainteresowane mogą pobrać na stronie internetowej WKU, na której podane zostały także dokumenty, które należy dołączyć do wniosku.

Wojskowa Komenda Uzupełnień w Mielcu ul. Legionów 25 przyjmuje wnioski osób zainteresowanych służbą w Narodowych Siłach Rezerwowych od poniedziałku do piątku w godzinach od 7.30 do 15.30, w poniedziałki do 18.00.

Kontakt w sprawach służby przygotowawczej i Narodowych Sił Rezerwowych

Wojskowa Komenda Uzupełnień  
39-300 Mielec ul. Legionów 25  
tel. 17 / 5862071 w. 539 lub 587  
e-mail [wkumielec@sow.mil.pl](mailto:wkumielec@sow.mil.pl)  
[www.wkumielec.sow.mil.pl](http://www.wkumielec.sow.mil.pl)



**Grupa Rekonstrukcji Historycznej**

# „RUSAL”

- » **Interesujesz się historią czy militariami ?**
- » **Bliskie są ci losy „małej ojczyzny” ?**
- » **Chcesz realizować swoje zainteresowania w nietypowym hobby ?**
- » **Masz powyżej 17 lat ?**


**Dołącz do grupy rekonstrukcji historycznej oddziału partyzanckiego Obwodu AK Mielec**

**Kontakt: [obiet172@interia.pl](mailto:obiet172@interia.pl), tel. 68 454 26 46**

Włodzimierz Gąsiewski

# Lager Mielec

**niemieckie obozy wojskowe,  
pracy przymusowej i zagłady  
na Ziemi Mieleckiej**



Według oryginalnej niemieckiej mapy sztabowej:  
Poligon Wehrmachtu „Południe” (Truppenübungsplatz Süd)  
Lager Mielec - Lager Dęba - wykaz obozów i opisy  
ISBN 9788387549350

Mielec 2010

## MAPA LAGER MIELEC

Jeśli chcesz wiosną, latem, jesienią, a może nawet i zimą wędrować po podmieleckich lasach, będących częścią prastarej Puszczy Sandomierskiej i jeśli chcesz, poza jej walorami naturalnymi odkrywać także jej dzieje, zwłaszcza te najnowsze, koniecznie musisz zaopatrzyć się w wojenną, niemiecką mapę sztabową, którą właśnie oferuje Agencja Wydawnicza „Promocja” w Mielcu.

Jednak mapa ta, to nie tylko kartograficzno-militarne odwzorowanie tego terenu, została ona wzbogacona w krótkie opisy oraz wykaz obozów, jakie urządzili tu Niemcy, później Sowietci, a potem jeszcze żołnierze LWP. Lasy te, mimo że tak bardzo spenetrowane zawierają jeszcze niejedną tajemnicę. Musiały mieć one szczególne znaczenie, jeśli odwiedził je m.in. feldmarszałek Erwin Rommel, szef SS – Heinrich Himler, a potem marszałek LWP Konstanty Rokossowski. Być może z naszą mapą je odkryjesz...

Można ją nabyć w niektórych księgarniach mieleckich, w naszej Redakcji, Mielec, ul. Mickiewicza 7 oraz w sklepie internetowym i na aukcjach z naszej strony:

[www.promocja.mielec.pl](http://www.promocja.mielec.pl)

Zapraszamy

W. Gąsiewski

**GRAWERSTWO**  
 MIELEC, ul. Hetmańska 6  
 tel. 17 585 35 13  
 właściciel Józef Kardys

**WYRÓB PIECZĄTEK**  
 SZYBKO, SOLIDNIE I TANIO!  
 Zapraszamy od 7.00 do 17.00

**LESTA**  
**LOMBARD**  
 Niskie oprocentowanie!  
 Pożyczki pieniężne pod zastaw

MIELEC, ul. Lwowska 4  
 tel. 17 583 09 18  
 tel. kom. 601 887 251

**UBEZPIECZENIA**  
**INTERRISK**  
**PZU ★ HDI**  
 Mateusz Rydzowski  
 tel. 608-237-878  
 Al. Niepodległości 5

**Mielecka STREFA KALENDARZE 2012**  
**REKLAMA Regionalna**  
**PRASOWA**  
**WIZYTÓWKI**  
**POLIGRAFIA**  
**GADŻETY**

MIELECKA STREFA - WIĘSCI REGIONALNE - NADWISŁOCZE  
 Kwartalnik MIELECKO-PODKARPACKI  
 ULOTKI - NOTESY - TECZKI - PAPIERY - PLAKATY - DRUKI ITP.  
 REKLAMOWE - KLASYCZNE - SRŁADANE  
 CERAMIKA - TEKSTYLIA - DŁUGOPISY - KOMPLETY PIŚMIENNE  
 UPOMINKI METALOWE - ELEKTRONIKA

Agencja Wydawnicza z **Promocja**  
**AWP**

**39-300 Mielec, ul. Mickiewicza 7**  
 tel./fax 17 5831498 , tel. kom. 602 739 362

**UBEZPIECZENIA**  
**ERGO**  
**HESTIA**  
 R 17-583-04-28  
 A J Al. Niepodległości 5

**NIE WYRZUCAJ KSIĄŻEK !!!**  
**SKUP MAKULATURY**  
**KSIĄŻKOWEJ !!!!!**

**KOREPETYCJE**  
**Z MATEMATYKI**  
 na poziomie szkoły podstawowej, gimnazjum i liceum.  
**Przygotowanie do matury**  
 rozwiązywanie zestawów maturalnych.  
**Telefon: 606 389 218**

Także starych czasopism, map, dokumentów, listów, kopert, druków, dyplomów, znaczków, pocztówek, umów, klisz, zdjęć itp - prowadzimy skup makulatury książkowej

Kupimy lub przyjmujemy w komis obrazu olejne, akwarele, ikony, rzeźby i inne dzieła sztuki, Poszukujemy różnych antyków i staroci. Kupimy stare narzędzia, militaria, zegary, srebra, platery, porcelanę, starą biżuterię i art. gosp. domowego. Także patefony, gramofony, radia i stare TV.

Kupimy także płyty, kasety magnetofonowe i płyty kompaktowe

NIE SKUPIJEMY PODRĘCZNIKÓW DO SZKÓŁ PODSTAWOWYCH, GIMNAZJALNYCH I ŚREDNICH !

**art.1 studio** Mielec Starówka  
**galeria** ul. Mickiewicza 7  
 ntykuwariat tel.17 5831498; 602 776197, 602 739362

**KOMPUTEROWE**  
**PRZEPISYWANIE**  
 PRAC MAGISTERSKICH, TEKSTÓW ITP.  
 WYDRUKI kolorowe i czarno-białe, SKANOWANIE  
**tel. kom. 606 389 218**

**KREDYTY**  
 PROSTA HIPOTEKA DLA FIRM I SPÓŁEK NA OŚWIADCZENIE BEZ DOKUMENTOWANIA DOCHODU NAWET DLA NOWO POWSTAŁYCH FIRM DO 1 MLN ZŁ, KREDYT POD ZASTAW SAMOCHODU NA OŚWIADCZENIE DLA FIRM ROLNIKÓW I PRACUJĄCYCH BEZ DOKUMENTOWANIA DOCHODU I ZAŚWIADCZEŃ Z US/ZUS. HIPOTEKI NA OŚWIADCZENIE DLA

tel. 14 6813667, 501730095 CZYNNE OD 9-21

**www.drukarniaautograf.pl/sklep**

tel. 17 788 61 04  
 kom. 500 267 502

WYKONUJEMY:  
 ULOTKI  
 PLAKATY  
 FOLDERY  
 KALENDARZE  
 ITP.

ul. Gajowa 13  
 39-300 Mielec  
 drukarnia\_autograf1@gazeta.pl



# ERGO HESTIA<sup>®</sup> UBEZPIECZENIA

ODDZIAŁ GRUPY  
*Jerzy Wąs*

MAJĄTKOWE, KOMUNIKACYJNE I ŻYCIOWE  
UBEZPIECZENIA FIRM

FILIA ODDZIAŁU  
Mielec, ul. 3-go Maja 9  
tel./fax 17 780 07 80  
Czynne: pn.-pt. 9-18

ODDZIAŁ GRUPY  
Mielec, ul. Wolności 27B  
tel./fax 17 788 54 77  
Czynne: pn.-pt. 8-18, sob. 8-12

FILIA ODDZIAŁU  
Mielec, ul. Piotra Skargi 9  
tel./fax 17 788 54 54  
Czynne: pn.-pt. 9-17

tel. kom. 608 317 231 e-mail: [jerzy.was@ag.hestia.pl](mailto:jerzy.was@ag.hestia.pl)

# CHŁODNICE KLIMATYZACJA



- CZYSZCZENIE TAPICEREK SAMOCHODOWYCH
- MECHANIKA POJAZDOWA
- FILTRY, OLEJE, SMARY, PŁYNY CHŁODZĄCE
- CZĘŚCI SAMOCHODOWE

REGENC - PIĄTKOWIEC 14A k/Mielca, tel. 17 585 31 19  
kom. 602 756 640, 606 383 823, 694 737 718  
[www.regenc.com.pl](http://www.regenc.com.pl)



## "DREW-BIK" ZAKŁAD PRZETWÓRSTWA DRZEWNEGO

**Oferujemy:**

**Oferujemy:**

- WIĘZBY DACHOWE
- PALETY PRZEMYSŁOWE EUR, FITOSANITARNE
- TARCICĘ OBRZYNANĄ I NIEOBRZYNANĄ
- ALTANY DREWNIANE
- SKRZYNIE DREWNIANE
- PRZYSTANKI DREWNIANE

WSZYSTKIE WYROBY WYKONUJEMY Z KAŻDEGO RODZAJU DREWNA  
I MATERIAŁÓW POCHODNYCH

**Rożniaty 87, 39-340 Padew Narodowa**

**tel./fax +48 15 811 92 19**

**tel. kom. +48 604 105 319**

**e-mail: [info@drewbik.pl](mailto:info@drewbik.pl)**

**SPRAWDŹ NASZĄ OFERTĘ! [www.drewbik.pl](http://www.drewbik.pl)**

